



JOHN D.

KLASYK AMERYKAŃSKIEJ POWIEŚCI KRYMINALNEJ

MacDONALD

TRAVIS MCGEE
Koszmar na różowo

JOHN D.
MacDONALD

TRAVIS MCGEE
Koszmar na różowo

Z angielskiego przełożył
TOMASZ WYŻYŃSKI



Wydanie elektroniczne

JOHN D. MACDONALD
(1916-1986)

Jeden z najwybitniejszych i zarazem najpłodniejszych twórców amerykańskiego kryminału, z dorobkiem literackim obejmującym kilka zbiorów opowiadań oraz prawie siedemdziesiąt powieści. Do inspiracji jego twórczością przyznają się tak znani autorzy, jak Stephen King, Dean Koontz, Carl Hiaasen, Kurt Vonnegut Jr. i Lee Child. King nazwał go „jednym z najważniejszych pisarzy amerykańskich XX wieku”; Vonnegut napisał, iż „za jakiś tysiąc lat na nowo odkryta spuścizna literacka MacDonalda okaże się znaleziskiem na miarę skarbów z grobowca Tutenchamona”. W wywiadzie prasowym Koontz stwierdził, iż wszystko, co napisał MacDonald, „czytał cztery czy pięć razy”. W 1980 pisarz otrzymał najbardziej prestiżową nagrodę literacką w USA – National Book Award. Najważniejsze w jego dorobku pozycje stanowią takie tytuły, jak *The Executioners*, *The Dead Low Tide*, *The End of Night*, *A Bullet for Cinderella* i *Condominium*. Światową sławę przyniosła twórcy seria 21 powieści z prywatnym detektywem Travisem McGee. Filmowcy niejednokrotnie sięgali po powieści MacDonalda. *The Executioners* była dwukrotnie ekranizowana jako *Przylądek strachu* – najpierw z Gregorym Peckiem i Robertem Mitchumem, w latach 90-tych z Nickiem Nolte'em i Robertem de Niro.

Tego autora z Travisem McGee

NIEBIESKIE POŻEGNANIE

KOSZMAR NA RÓŻOWO

PURPUROWA ŚMIERĆ

Tytuł oryginału:
NIGHTMARE IN PINK

Copyright © John D. MacDonald Publishing Inc. 1964
Copyright renewed © Maynard MacDonald 1992
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2013

Polish translation copyright © Tomasz Wyżyński 2013

Redakcja: Marzena Wasilewska-Ginalska

Ilustracja na okładce: Lev Dolgachov/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-095-3

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

1

Pracowała w jednym z wieżowców na Park Avenue, które chętnie fotografują turyści. Miło je odwiedzać, lecz nikt nie chciałby w nich mieszkać.

Niewielka, pretensjonalna firma mieściła się na dziewiętnastym piętrze i zajmowała się projektowaniem opakowań. Przyjechałem o piątej, jak się umówiliśmy, i podałem w recepcji swoje nazwisko, a ona wyszła do mnie w fartuchu, co świadczyło, że oderwałem ją od deski kreślarskiej.

Nina Gibson. Pulchna, niska dziewczyna. Widziałem jej zdjęcie jako dwunastolatki. Mike nosił je w portfelu. Teraz, gdy była dwukrotnie starsza, wyglądała inaczej. Miała bujne kruczoczarne loki, intensywnie błękitne oczy Mike'a, drobną, przekorną twarz i mlecznobiałą cerę.

Zachowała figurę dziewczynki, ale taką, jaką mają te o już kobiecych kształtach. Wąska talia i obfite, przyjemne krągłości u góry i u dołu.

– Przykro mi, musi pan chwilę poczekać – rzekła.

– Więc jak pani wróci, niech się pani uśmiechnie i przywita.

– A powinnam? To spotkanie to nie mój pomysł, panie McGee.

– Tak nakazuje uprzejmość, Nino.

– Nie będziemy mieli wielu okazji do wymiany uprzejmości – odpowiedziała i wróciła do arkanów swojej profesji. Siedziałem wśród gablotek, w których wystawiono opakowania popularnych artykułów gospodarstwa domowego. Miękka plastikowa butelka za trzy centy plus homogenizowana papka o wartości dwóch centów, plus reklamy telewizyjne w najlepszym czasie antenowym oznaczają roczną sprzedaż dwudziestu ośmiu milionów butelek po sześćdziesiąt dziewięć centów za sztukę. Serce amerykańskiego przemysłu. Siedziałem i obserwowałem recepcjonistkę. Była przyzwyczajona, że ludzie na nią patrzą, i wyraźnie to lubiła. Ona również wydawała się opakowana. Recepcjonistka, sztuk jeden, apetyczna, opakowana w afektowany angielski akcent i ziemiański tweed. Firma była niewielka, lecz no-

woczesna. Zatrudnili dziewczynę, która wyglądała, jakby owiewał ją wiosenny wiatr znad wrzosowisk, a w korytarzu czekał uwiązany rumak.

Nina wyszła – w rękawiczkach, z torebką, w kapeluszu i jesiennym kostiumie zbyt dopasowanym jak na jej figurę. Towarzyszył jej wąty, bezbarwny mężczyzna. Zatrzymali się i zaczęli rozmawiać, a Nina rzekła:

– Freddie, mój drogi, doskonale wiesz, że jeśli pokażesz mu trzy projekty, to zgłupieje. Z tym swoim ptasim mózdzkiem nie jest w stanie się zdecydować nawet na jeden z dwóch, chyba że wybór jest oczywisty. Dlatego przedstaw mu propozycje Tommy’ego i Mary Jane. Pierwsza jest najlepsza, druga najgorsza, więc wybierze projekt Tommy’ego i jesteśmy w domu.

Freddie wzruszył ramionami, westchnął i wrócił do pracowni. Nina władczo skinęła do mnie głową, po czym zjechaliśmy na dół windą, w której grała muzyka, i przeszliśmy półtorej przecznicy do niewielkiego cichego hotelu. W holu lampy reflektorowe rzucały snopy światła na wymuskane damskie i męskie fryzury, futra i marynarki szyte na miarę, lśniące kieliszki i eleganckich ludzi, którzy nakłaniali się do nieopisanych rzeczy, wymieniając uśmiechy, rozmawiając ściszymi głosami i popijając zabójcze martini. Usiedliśmy w ustronnym miejscu na kanapie pod ścianą. Nina zdjęła rękawiczki, zapaliła papierosa, przyjmując podany przeze mnie ogień, i zamówiła wytrawne sherry.

– Legendarny Travis McGee – rzuciła ironicznie, by pokryć niepewność.

– Mike mówił o panu jak o postaci z bajki. Dziękuję, już wyrosłam z bajek.

– Widziałem panią tylko na bardzo starej fotografii i nie sądziłem, że jest pani aż tak ładna.

– Zawsze byłam ślicznotką.

Wolałbym się nie zbliżać do tej ślicznotki na tysiąc kilometrów. Wolałbym nie siedzieć w październiku w Nowym Jorku. Wolałbym być z powrotem na pokładzie Busted Flush, zacumowanej przy kei F-18 w Bahia Mar w Fort Lauderdale. Busted Flush była szesnastometrową, zbudowaną na zamówienie łodzią, na której mieszkałem i na którą mogłem zapraszać ślicznotki w swoim typie: opalone, beztroskie, ochoczo harujące w kambuzie, otwierające piwo, łowiące ryby, szczęśliwe dziewczyny w wyblakłych od słońca ciuchach, o spłowiałych włosach i pupach szorstkich od piasku. Ale Nina patrzyła na mnie szczerymi błękitnymi oczami swojego brata Mike’a, a on po raz pierwszy o coś mnie poprosił.

– Opowiem pani pewną historię – rzekłem.

– Zamieniam się w słuch.

– Pojawiła się możliwość otrzymania przepustki na trzydzieści sześć godzin i nasz kapitan nie chciał puścić jednocześnie mnie i Mike’a. Rozstrzygnęliśmy to za pomocą zakładu i wygrałem. Pojechałem jeepem do miasta i złapałem samolot do Japonii. Spędziłem cały czas w lekkim drewnianym pawilonie o wypolerowanej podłodze ze ślicznotką, której imienia nie potrafiłem wymówić, więc nazywałem ją Missy. Nosiliśmy jedwabną szatę i kąpaliśmy się razem w kamiennym basenie wypełnionym gorącą, parującą wodą. Myła mnie, karmiła i kochała. Miała sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu i chichotała, zasłaniając usta dłonią. Myśl o tym, że biedny Mike został w bazie, sprawiała, iż było mi jeszcze przyjemniej. Wsiadłem do samolotu, wróciłem jeepem do jednostki i dowiedziałem się, że Mike nie żyje. Zmarł na punkcie opatrunkowym, w szpitalu bazy albo w drodze do szpitala ogólnego; nikt nie był pewien. Potem powiedzieli, że ciągle żyje, ale umrze. A teraz, oczywiście, jest, jak mówią, pod opieką państwa; nie widzi, nie może chodzić i w uroczyste dni wywożą go na wózku inwalidzkim, by posiedział przez godzinę na słońcu. Mimo to udało się go utrzymać przy życiu dzięki wspaniałym postępom wiedzy medycznej. Puenta tej historii to poczucie winy, Nino. Poczucie winy, ponieważ jestem zadowolony, że spotkało to Mike’a, a nie mnie, a przecież uważam się za kogoś niezwykłego i wspaniałego. Nie chcę być zadowolony, lecz jestem. Istnieje również drugie źródło poczucia winy. Odwiedzam go przeciętnie raz do roku. Czy jeżdżę do niego, by sobie udowodnić, że to się przytrafiło jemu zamiast mnie? Czy powinienem go widywać częściej, czy wcale? Nie mam pojęcia. Wiem tylko jedno. Pielęgniarka napisała, że Mike chce się ze mną zobaczyć. Pojechałem do niego. Opowiedział mi o pani wizycie. Kazał mi ustalić, co się stało. Więc to zrobię, z pani pomocą lub bez niej, Nino.

– Strasznie to miłe z pana strony! Niesłychanie przyjacielskie! – rzekła z przekąsem. – Nie powinnam się zwracać do Mike’a ze swoimi problemami, panie McGee. Postąpiłam egoistycznie. Wytrąciłam go z równowagi i nic nie osiągnęłam. Jak mógłby cokolwiek sprawdzić? Dlaczego nie wymyśli pan po prostu jakiejś uspokajającej historyjki i nie wróci do swojego próżniaczego życia na Florydzie?

– Mike jest inwalidą, ale nie kretnem.

– Już za późno. Jeśli zacznie pan się tym zajmować, nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Może są jakieś pytania, na które chcielibyście znaleźć odpowiedzi?

Przez chwilę na jej twarzy malował się ból.

– Odpowiedzi? Jakie odpowiedzi? Howie nie żyje.

– Mogę dyskretnie się rozejrzeć.

– Pan, dyskretnie? Doprawdy, panie McGee! Jest pan wyjątkowo wysokim mężczyzną, tak mocno opalonym, że wygląda to wręcz wulgarnie, i zwraca pan na siebie uwagę. Ma pan w sobie trochę chłopięcego uroku, ale to nie sprawa dla dyletanta, amatora, kolegi z wojska, który chce wyświadczyć przysługę staremu kumplowi. Żaden wielki sympatyczny facet o szarych oczach i szerokim uśmiechu nie rozwiąże moich problemów. Niczego nie zyskam, jeśli zacznie pan grzebać w moim życiu. Dziękuję za wspaniałomyślny gest, ale nie występujemy w telewizji. Nie potrzebuję namiastki starszego brata. Czemu nie wróci pan po prostu do swojego beztróskiego życia na Florydzie?

– Zrobię to, jak będę gotowy.

– Mój narzeczony nie żyje. Howard Plummer nie żyje. – Spojrzała na mnie groźnie i uderzyła w stół drobną piąstką. – Jest martwy i spoczywa na cmentarzu! Okazał się kimś innym, niż sądziłam. Próbuję sobie z tym poradzić, pogodzić się z myślą, że go straciłam i że byłam idiotką. Więc proszę nie rozgrzebywać tej sprawy!

– Co zrobiła pani z pieniędzmi?

Umilkła i popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– Jakimi pieniędzmi?

– Tymi, o których zaczęła pani mówić Mike’owi.

– Nic mu nie powiedziałam. Ugryzłam się w język.

– Nino, Mike się domyślił. Leży samotnie w swoim pokoju i odtwarza w wyobraźni wszystkie pani niedopowiedzenia. Właśnie dlatego nie mogę tam pojechać z uspokajającą historyjką. Co z pieniędzmi?

– Nie pańska sprawa.

– Teraz również moja.

– Proszę, niech pan nie będzie taki natrętny i apodyktyczny, panie McGee. Nie chcę pańskiej pomocy.

– Przyjechałem grzebać w pani życiu na prośbę Mike’a. Plummer został zamordowany w sierpniu. Policja wszczęła śledztwo. Mogę wkroczyć na scenę i powiedzieć, że Plummer ukrył znaczną kwotę w gotówce i że przejęła ją jego narzeczona. Zasugerować, że ma to jakiś związek z zabójstwem.

– Nie zrobiłby pan tego!

– Dlaczego nie?

– Nie istnieje żaden związek! To głupie. Wpadłabym w poważne tarapaty. Boże, mój brat poprosił pana, by mi pan pomógł, a nie wpakował w kałużę! Nie chcę żadnej pomocy!

– Muszę pani coś wyjaśnić, Nino – powiedziałem, uśmiechając się rozbrajająco. – Jestem próżniakiem, a to wymaga pieniędzy, jeśli chce się żyć z fasonem. Aby otrzymywać pieniądze regularnie, trzeba na nie pracować, lecz wtedy straciłbym swój status. Muszę je zdobywać po trochu, w nieregularnych odstępach, co pozwala mi prowadzić obecny tryb życia. Raczej nie zainteresowałbym się historią Niny Gibson, gdyby nie zasugerowała pani swojemu bratu, że narzeczony podkradał komuś znaczne kwoty. Kiedy to usłyszałem, natychmiast nadstawiłem uszu. Jeśli gdzieś pojawiają się pieniądze, oznacza to, że w pobliżu może ich być jeszcze więcej. Lubię przybywać na ratunek do miejsc, gdzie są pieniądze.

Nina wydawała się wstrząśnięta. Drżącą ręką uniosła do ust pusty kieliszek. Pochwyciłem usługny wzrok przechodzącego kelnera i zamówiłem następną kolejkę.

– Kim pan właściwie jest? – szepnęła.

– Pani przyjacielem i opiekunem, Nino.

Usiłowała się roześmiać.

– Mówi pan ironicznie, prawda? Biedny Mike chciał pomóc młodszej siostrze, a przysłał wielkiego, cynicznego potwora!

– Odbędziemy wiele miłych rozmów, siostrzyczko.

Przymrużyła intensywnie błękitne oczy. Jej rzęsy były bardzo czarne, bardzo gęste, bardzo długie.

– Nie chcę żadnych miłych rozmów. Wiem, że postąpiłam głupio w sprawie pieniędzy. Nie tknęłam ich. Nikomu o nich nie powiedziałam. Omal się nie wygadałam przed Mikiem, lecz poza tym trzymałam język za zębami. – Spojrzała na naszych sąsiadów na kanapie, zniżyła głos i pochyliła się lekko w moją stronę. – McGee, gdybym choć przez chwilę podejrzewała, że te pieniądze mogą mieć jakiś związek ze śmiercią Howiego, sama powiedziałabym o tym policji. Przez cały czas udawał świętoszka, zapewniając mnie o swojej uczciwości i odpowiedzialności, a jednocześnie okradał pana Armistera tak samo jak inni. Znalezienie tych pieniędzy na zawsze złamało mi serce. Nie chcę ich. Nie chcę kradzionych pieniędzy. Zastanawiałam się,

czy ich nie spalić. Może pan rozwiązać mój drobny problem. Dam je panu. Niech pan je weźmie i odejdzie. To dużo pieniędzy. Dokładnie dziesięć tysięcy dolarów.

– Dlaczego pani uważa, że je ukradł?

– Myśli pan, że się nie zastanawiałam, skąd mógł je wziąć? Rozważyłam wszystkie możliwości. Zamierzałam go poślubić. Kochałam go. Myślałam, że wiemy o sobie wszystko. Sądziłam, że dziwnie się zachowuje, bo martwi się tym, co robią panu Armisterowi. Ale kiedy znalazłam pieniądze, zrozumiałam, dlaczego był taki dziwny. Dam je panu, McGee. Proszę odejść i zostawić mnie w spokoju!

Straciła panowanie nad sobą. Na jej rzęsach zalśniły łzy. Otworzyła torebkę, wyjęła chusteczkę i wydmuchała nos. Zerknęła na mnie z desperacją i podreptała do toalety.

Popijałem nowego drinka i przypomniałem sobie zmartwiony głos Mike'a w popołudniowej ciszy domu opieki dla weteranów w Karolinie Północnej.

– Problem polega na tym, że Nina zawsze była przez wszystkich kochana – powiedział. – Może to źle. Człowiek staje się od tego straszliwie pewny siebie; wierzy, że świat da mu szansę, by się zrealizował. Plummer wydawał się odpowiednim typem mężczyzny. Otworzyła przed nim serce, do końca. Ludzie, których zawsze kochano, potrafią bardzo dużo dać z siebie innym. Teraz, kiedy Plummer nie żyje, Nina nie może mu wybaczyć. Męczy ją to. Trav, mogę pokryć wszystkie koszty, jeśli...

– Do diabła z kosztami!

– Czy był kanciarzem? Nina nie dostrzega odcieni: wszystko jest dla niej czarne lub białe. Nigdy się nie oszukiwała. Chciałbym, żebyś się czegoś o nim dowiedział, a potem wytłumaczył jej, dlaczego robił to, co robił. Inaczej może zniszczyć w sobie to coś wyjątkowego, co zawsze w sobie miała.

– Nie będzie chciała, żebym się wtrącał.

– Wstrząśnij nią w razie potrzeby, Trav. Zmartwiło mnie jej zachowanie, gdy tu przyjechała. To nie w stylu Niny. Cała ta gorycz... Próbuje nienawidzić samej siebie. Może uważa, że w sprawie Plummera zachowała się jak idiotka.

– Mike, nawet najpiękniejsze dziewczyny wpadają w sieci nieprzyjemnych typów.

– Jeśli tak rzeczywiście było, dowiedz się tego na pewno. Zobacz, co możesz zrobić, by pomóc jej dojść do siebie. Ale nie poświęcaj na to zbyt dużo czasu.

Nie podobały mi się te słowa. Kiedy spytałem, co ma na myśli, przyznał, że po prostu nie chce, bym marnował dużo czasu na osobistą przysługę tego rodzaju. Po wyjściu rozmawiałem przez chwilę z pielęgniarką, która opiekowała się nim od kilku lat – muskularną, bezbarwną kobietą niskiego wzrostu. Kiedy spytałem ją o Mike’a, spojrzała na mnie i jej oczy powoli wypełniły się łzami, lecz ich nie odwróciła. Nagle skinęła głową.

– Znów chcę go operować. Spytał, czy mogą to odłożyć na pewien czas.

– Jakie jest ryzyko?

– Bez operacji wkrótce umrze. Nawet jeśli zabieg się uda, może niedługo umrzeć. Długo wszystkich oszukiwał. Mike to wspaniały człowiek. Wszyscy zwieramy mu się ze swoich kłopotów, nawet niektórzy lekarze. I w ogóle nie możemy mu pomóc. Zazdroszczę panu, panie McGee, że jest pan w stanie coś dla niego zrobić. Podobno kiedyś był zgorzkniały, ale ja jeszcze tu nie pracowałam. Kocham go. Mam męża, którego również kocham. Rozumie pan, co chcę powiedzieć?

– Chyba tak.

– Kiedy umrze, nie będę mogła tu zostać. Nie zniosłabym tego.

– Nie pierwszy raz wszystkich oszukał, siostró.

Skinęła głową, odwróciła się i odeszła szybkim krokiem, unosząc ramiona, jakby się spodziewała ciosu i próbowała się przed nim zasłonić.

A zatem wytrąciłem z równowagi młodszą siostrę Mike’a, którą tak kochał. Zatrzasnęła drzwi serca. Nie liczyła na pomoc życzliwego nieznajomego, lecz mogła na nią wpłynąć groźba chciwego intruza.

Wróciła z toalety lekko zaróżowiona, ale nosiła się dumnie i wyglądała dobrze. Usiadła na kanapie i powiedziała:

– Nie żartowałam. Mówiłam poważnie o tych pieniądzach.

– Może pani sobie pozwolić na taki kosztowny gest?

– Mam dobrą pensję. Stać mnie na wszystko, czego pragnę. Ale pan także musi dotrzymać warunków umowy i zostawić mnie w spokoju.

– Dlaczego to takie ważne?

– Wielu ludzi uważało Howarda za bardzo miłego człowieka. Chcę, by tak zostało. I chyba nie chcę wiedzieć więcej niż teraz.

– Kiedy mam pieniądze w garści, mięknie o wiele łatwiej, kotku.

– Nie wierzy mi pan?

– Obejrzyjmy je. A może umieściłaś je w skrytce bankowej?

Dopiła sherry i odstawiła kieliszek.

– Możemy zobaczyć te pieniądze w każdej chwili, panie McGee.

– Trav.

Wzruszyła ramionami.

– W porządku, Trav. Ale przechodzenie na ty nie ma większego sensu. Nie zamierzam zawierać z tobą bliższej znajomości. Mike pewnie by nie chciał, żebym poznała cię za dobrze. I nie sądzę, że on cię dobrze zna.

– Kiedyś znał. Ale ludzie się zmieniają.

– Nie powinien się domyślić, że chodzi o pieniądze.

Zaczęłam o tym mówić, ale urwałam w pół słowa. Szkoda, że się domyślił.

Dopiłem drinka i uniosłem dłoń, prosząc o rachunek.

– Dzięki temu się spotkaliśmy, Nino.

– Cudownie! Bardzo się cieszę!

2

Mieszkała w niewielkim apartamencie z jedną sypialnią, na drugim piętrze budynku przy Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy, niedaleko Drugiej Alei. Hol miał w sobie coś dziewczęcego, a w stęchłym powietrzu unosiła się leciutka woń mydła i perfum. Takie zapachy często występują razem. Kiedy pojawi się jeden z nich, wkrótce dołączają zaprzyjaźnione aromaty – nigdy ich nie brakuje.

Nina Gibson była czysta, lecz nie porządna. Wielkie stosy czasopism o wzornictwie przemysłowym, dekoracji wnętrz i rzemiośle artystycznym. Półki z modelami projektów, których nie przekazano do realizacji. Wysoka deska kreślarska z przymocowanymi lampami wyglądającymi jak wielkie, szare, metalowe koniki polne. Książki o sztuce. Abstrakcyjne obrazy w stylu Franza Kline'a, ale bez jego powagi i godności. Wielka tablica z przypiętymi rysunkami. Rozrzucone drobiazgi, zestaw do odtwarzania muzyki.

Kobiety sztywnieją, gdy zapraszają mężczyznę do swojego gniazda. Domyślam się, że to jedna z oznak współczesnej nowej wolności. Mężczyzna i kobieta przebywający razem w miejscu, gdzie się je i śpi. Oto jaskinia, w której żyję. Sztywność, nienaturalna swoboda i śmiech (cha! cha! cha!) – powtarza się to za każdym razem. I zbyt długie chwile milczenia między banalnymi uwagami. Moim zdaniem dzieje się tak dlatego, że przebywanie pod jednym dachem skupia uwagę na podtekstach seksualnych. W mieszkaniu, za zamkniętymi drzwiami, kobiety stają się ostrożne i czujne. Stale przychodzi im do głowy podstawowe pytanie, które nigdy nie zostaje wypowiedziane na głos: Jak byłoby nam razem? Oczy stają się trochę rozbiegane. Wymówki są wygłaszane podniosłym tonem, a szczególne zalety wymienia się nadętym głosem greckiego przewodnika oprowadzającego turystów po zrujnowanych świątyniach.

– Przepraszam za bałagan – rzekła. – Dużo pracuję w domu.

Ni stąd, ni zowąd wybuchnąłem śmiechem. Popatrzyła na mnie, jakbym zwariował. Nie mogłem jej opowiedzieć o zdumiewającym, freudowskim przejęzyczeniu, które nagle sobie przypomniałem. Przed laty zabrałem pewną nieśmiałą dziewczynę na kolację. Miała ogromny apetyt; zjadła dwie porcje ciasta z kremem kokosowym. Poszedłem do jej mieszkania na drinka, w oczywistym celu. Sublokatorka wyjechała na weekend. Sondowaliśmy się nawzajem, gawędziliśmy na banalne tematy, tworząc zmysłowe napięcie. Czekałem na okazję, by ją pocałować, a ona zastanawiała się, kiedy to nastąpi i jak zareagować: przyjąć moje zaloty czy je odrzucić. Nagle westchnęła, uśmiechnęła się, dotknęła swojej spódnicy i powiedziała: „Mój Boże, powinnam była zrezygnować z drugiej porcji majtek”.

– Co cię tak strasznie śmieszy? – spytała Nina.

– Nic, ja tylko... – Uratował mnie dzwonek telefonu. Pośpieszyła do aparatu i podniosła słuchawkę.

– Halo? O, cześć, Ben! Co takiego? Nie. Nie, przykro mi, chyba nie. Nie, kochany, to nie tak. Pracuję w tej chwili nad dwoma zleceniami i po prostu nie mam czasu.

Uprzejmym, sympatycznym tonem bezwzględnie odrzucała kolejne propozycje Bena. Podszedłem do tablicy z przypiętymi rysunkami i zacząłem oglądać jej prace. Zafascynował mnie jeden z projektów. Przedstawiał słoik odznaczający się surowym, klasycznym pięknem. Nina odłożyła słuchawkę i zbliżyła się do mnie.

– Podoba ci się? – spytała.

– Bardzo.

– Masz dobre oko, McGee. Klientowi się nie podobało. Wmawiamy sobie, że dobry gust to gwarancja sukcesu komercyjnego. Może tak jest, we właściwym czasie i miejscu. Ale najłatwiej odnieść sukces dzięki wulgarności podrasowanej w taki sposób, by wyglądała jak trafiająca w dobry gust. A najlepsi w branży są ludzie, którzy potrafią tworzyć takie projekty w sposób naturalny i naprawdę wierzą, że są świetne.

Spojrzałem na jej zamyśloną twarz.

– Problem z tym słoikiem polega na tym, że nie wiadomo, co w nim sprzedawać, Nino?

– Masz rację. Zaczekaj.

Weszła do małej sypialni i zamknęła drzwi. Zacząłem krążyć po mieszkaniu. Obejrzałem książki i płyty. Mimo niezdrowego zamięłowania do

kwartetów smyczkowych i nieco naiwnego doboru popularnych książek z zakresu socjologii, zdała test Trávisa McGee na czwórke z plusem. Do licha, nawet na piątkę z minusem! Książki Vance'a Packarda mogła dostać od kogoś w prezencie. Ma on lukratywną umiejętność: potrafi przedstawiać rzeczy oczywiste w taki sposób, że wydają się nowe i zdumiewające. W ten sam sposób Norman Vincent Peale wymyślił chrześcijaństwo, a James Jones zaprojektował karabin M-1. W porównaniu do artystycznego słoika Niny ich dzieła wydawały się podrasowaną wulgarnością.

Nagle wyszła z sypialni, zbliżyła się do mnie i wręczyła mi dziesięć tysięcy dolarów. Usiadłem na kanapie, podrzuciłem je w dłoni i zdjąłem dwie spinające je gumki. Trzy paczki używanych banknotów z banderolami oznaczonymi inicjałem kasjera. Dwie zawierające po pięćdziesiąt pięćdziesięciodolarówek i jedna z pięćdziesięcioma setkami. Nina stała przede mną, ubrana w jasnoszarą bluzkę, spódnice, nylonowe pończochy i ciemne buty na wysokich obcasach. Na jej twarzy malowało się niezadowolenie i patrzyła na mnie wyzywająco. Wyrażała w ten sposób swoje rozczarowanie miłością i żałowałem, że muszę wszystko popsuć. W milczeniu przesunąłem palcem po brzegach banknotów, założyłem z powrotem gumki, po czym cisnąłem wszystkie trzy paczki w stronę głowy Niny. Uchyliła się instynktownie i uniosła rękę, ku swojemu zdziwieniu łapiąc jedną z paczek. Wpatrywała się we mnie pustym wzrokiem.

– O co chodzi? – spytała.

Uniosłem nogi i z dłońmi splecionymi na karku wyciągnąłem się na kanapie.

– To bardzo ładne złote jajko, kotku, ale chciałbym spotkać kure.

– Ty sukinsynu! – zawołała, tupiąc nogą.

– Trochę mnie kusiły te pieniądze, ale niewystarczająco. Zdaje się, że kura nazywa się Armister.

– Wynoś się stąd!

– Porozmawiajmy spokojnie.

Wpadła we wściekłość i nierozważnie rzuciła się, by ściągnąć mnie z kanapy. Chwyciłem ją za nadgarstki. Była niska, lecz bardzo silna. Omal nie zatopiła zębów w mojej dłoni, lecz w końcu objąłem ją przedramieniem za szyję. Próbowwała kopać, ale nie miała miejsca ani punktu oparcia. Mimo to walczyła – prychała, wiła się, wrywała, aż wreszcie wylądowała w pozycji siedzącej obok kanapy; towarzyszył temu głuchy odgłos. Po chwili poddała

się, ciężko dysząc z wyczerpania; spomiędzy rozczochranych kruczoczarnych włosów spoglądało błękitne oko.

– Niech cię cholera! – jęknęła. – Niech cię jasna cholera!

– Wysłuchasz mnie?

– Nie!

– To bardzo proste. Co ze wspaniałym Howardem Plummerem, znakomitym kandydatem do małżeństwa? Jak możesz go traktować w taki sposób?

– Nie słucham cię!

– To twoja stała cecha, kotku, bardzo męcząca. Gdyby Howie żył, prawdopodobnie jego też byś nie słuchała. Załóżmy, że znalazłaś pieniądze i zaczynasz z nim rozmawiać. Wyobrażam sobie tę scenę. Twoje oczy miotają błyskawice. Wsparłaś się gniewnie pod boki. Mówisz cholernie nieprzyjemnym tonem. Howie, kochany, udowodnij, że nie jesteś złodziejem, i postaraj się zrobić to przekonująco. Tak naprawdę ten biedaczyna miał wielkie szczęście, że cię nie poślubił, ślicznotko. Howie, mój drogi, mam nadzieję, że ta mała czerwona plamka na twoim kołnierzyku to krew, a nie szminka, ty sukinsynu. Howie, kochany, jeśli wychodzisz z naszego szczęśliwego gniazdko, muszę wiedzieć, gdzie jesteś, co do minuty.

– Ty... ty plugawy...

– Biedna mała świętoszka. Biedna cnotka.

– O co ci właściwie chodzi?

– Chcę, żebyś go traktowała w taki sposób, jak potraktowałyby go każdy sąd. Obowiązuje domniemanie niewinności. Poza tym sąd nie poszedłby z nim do łóżka przed wydaniem wyroku bez dowodów, skarbie.

Puściłem jej nadgarstki. Zadała mi mocny cios, po czym natychmiast uderzyłem ją otwartą dłonią w twarz, aż się zachwiała. Popatrzyła na mnie szeroko otwartymi błękitnymi oczami, które na chwilę zmętniały. Po chwili zobaczyłem w nich przerażenie i łzy. Zaczęła rozpaczliwie szlochać; pochyliła się i oparła policzek o bok mojego kolana. Pogłaskałem ją po włosach. Jej ciałem wstrząsały dreszcze jak w trakcie wymiotów po alkoholu. Zastanawiałem się, czy naprawdę płakała po śmierci Howiego. Pozbywała się trucizny, wyrzucała ją z siebie. Trwało to bardzo długo, aż wreszcie trochę się uspokoiła. Wstałem, pomogłem jej usiąść na kanapie, odnalazłem łazienkę i przyniosłem mokrą, chłodną ściereczkę i duży miękki suchy ręcznik. Usiadłem na podłodze obok kanapy i głaskałem ją co pewien czas. Zapadła się w sobie, wydawała się straszliwie zmęczona; dostała czkawki.

Westchnęła i obróciła twarz w moją stronę. Otarłem ją zimną ściereczką i wysuszyłem ręcznikiem. Patrzyła na mnie spokojnie i uroczyście jak sprawiedliwie ukarane dziecko.

– Trav. Trav, zachowałam się okropnie...

– A zatem?

– Nie rozumiesz? Nie dałam mu żadnej szansy. Nie mógł się wytłumaczyć. Nie dałam mu szansy...

– Wiesz, dlaczego tak postąpiłaś, Nino?

– N... nie.

– Musiałaś w jakiś sposób stłumić ból i zmniejszyć poczucie straty, więc starałaś się sobie wmówić, że kłamał i oszukiwał. Ale tak naprawdę nie mogłaś w to uwierzyć. To dowód, jak bardzo go kochałaś.

– Potraktowałam go tak niesprawiedliwie...

– Nie jego, kotku. Co najwyżej pamięć o nim.

– Co... co powinnam teraz zrobić?

– Jest tylko jedna rzecz, którą możemy zrobić. To, po co przyjechałem i o co prosił Mike. Dowiedzmy się, co się stało.

– Sugerowałaś, że to tylko kwestia pieniędzy...

Odgarnąłem włosy z jej podpuchniętego oka.

– Mike powiedział, że może będę musiał tobą wstrząsnąć.

Spojrzała na mnie, pokręciła powoli głową i się skrzywiła.

– Wy dwaj, ty i Mike... Jak to możliwe, że wiecie o mnie więcej niż ja sama?

– Umowa stoi?

Uśmiechnęła się słabo, lecz jednak się uśmiechnęła.

– Będziemy mogli odbyć ze sobą dużo miłych rozmów.

Kiedy odzyskała dość energii, aby sprawdzić spizarnię, powiedziała mi, jak daleko i w jakim kierunku muszę iść, by znaleźć najbliższe delikatesy. Gdy wróciłem, przebrała się w luźne spodnie i obszerny różowy włochaty dres. Poprawiła makijaż i fryzurę, po czym nakryła do stołu koło okna. Rozpakowała siatki, oskarżając mnie o dziwaczny, ekstrawagancki gust. Ale okazało się, że jest bardziej głodna, niż się spodziewała. Głos miała ciągle zachrypnięty od płaczu, a na jej lewym policzku pojawił się niewielki siniak.

Kiedy zjedliśmy kolację i odniosła talerze do kuchni, usiedliśmy z drinkami na kanapie.

– Dowiedziałam się, że go zabito, dopiero następnego dnia o dwunastej w południe – odezwała się cichym, zamyślonym głosem. – Kompletnie się załamalam. Prawie nie pamiętam, co się ze mną działo. Środki uspokajające, przyjaciele, którzy usiłowali mnie pocieszać... Ja też chciałam umrzeć. Stracić go w ten sposób wydawało się koszmarnym absurdem. Miałam wrażenie, że zginął przez pomyłkę. Nagle pojawiło się chore, wstrętne zwierzę, chciwe, przestraszone i nieostrożne, i zaatakowało. Ale udało mi się jakoś wytrzymać. Z Kalifornii przyleciała siostra Howarda. Odprawiono nabożeństwo żałobne, bo miał przyjaciół w Nowym Jorku. Siostra zajęła się jego rzeczami; część rozdała, ofiarowała mi kilka pamiątek, które jej zdaniem mogłabym chcieć zatrzymać, zlikwidowała mieszkanie. Ciało przewieziono do Minnesoty, by je pochować w grobie rodzinnym z ojcem i matką. Nie zniosłabym drugich uroczystości pogrzebowych i nie pojechałam. Myślę, że siostra Howarda zrozumiała. Mam taką nadzieję. Dopiero po jej wyjeździe przypomniałam sobie o rzeczach, które u mnie zostawił. Byłam kompletnie oszołomiona. Nie mieszkaliśmy razem, po prostu nocował u mnie od czasu do czasu. Po ślubie zamierzaliśmy zamieszkać tutaj i zrezygnować z jego mieszkania. Tak byłoby wygodniej. Miał klucz i trzymał u mnie trochę rzeczy osobistych. Nie wiedziałam dokładnie, co przyniósł. Przełożyłam swoje ubrania, by zrobić mu trochę miejsca. Ustaliliśmy, które meble przywieziemy z jego mieszkania. Dałam mu połowę półek w szafie. W końcu zebrałam się na odwagę, by przejrzeć rzeczy, które przywiózł; od czasu do czasu przerywałam i strasznie płakałam. Nad drobnostkami. Musiałam stanąć na krześle, by dosięgnąć końca półki. Pieniądze znajdowały się z tyłu, w rogu. Były owinięte w szary papier i związane sznurkiem. Howie zginął tydzień przed moimi dwudziestymi czwartymi urodzinami, i nie chciałam otwierać pakunku, bo się bałam, że to schowany prezent dla mnie i że na zawsze złamie mi to serce. Usiadłam na łóżku, rozwinęłam papier. i zobaczyłam pieniądze. I nagle poczułam chłód w sercu i doszłam do wniosku, że... że...

– Spokojnie, Nino.

– Jeśli myślisz, że wiesz o kimś absolutnie wszystko, a potem...

– Oboje rozumiemy, że to reakcja obronna.

– Szkoda, że nie jestem tego tak pewna jak ty, Trav. Może jestem głupią małą świętoszkowatą cnotką.

– Po prostu się dowiedzmy, skąd wziął te pieniądze.

Skinęła głową i ujęła moją rękę.

– Tak, myślałam o tym. Teraz wiem, że muszę się dowiedzieć. I dlatego... dlatego chcę ci podziękować. Co z nimi zrobimy?

– Zastanowimy się później. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wezmę je i umieszczę w sejfie hotelowym. Teraz opowiedz mi o swojej pracy.

Po chwili zaczęła ziewać. Zrozumiałem, że dała mi już wszystko, co mogła ofiarować w ciągu jednego dnia. Znalazła dużą szarą kopertę, po czym zakleiłem w niej pieniądze. Odprowadziła mnie do drzwi i, senna jak dziecko, odruchowo nadstawiła twarz do pocałunku. Miała miękkie wargi. Cofnęła się nagle i uniosła dłoń do szyi.

– Nie chciałam być...

– Połóż się do łóżka, Nino. Idź spać. Niech ci się przyśni coś miłego.

– Może mi się przyśni, może...

3

Po śniadaniu dowiedziałem się telefonicznie, z którym komisariatem powinienem się skontaktować. Poszedłem tam i przedstawiłem swoją prośbę. Dyżurny zajrzał do książki. Sprawą zajmował się sierżant T. Rassko wraz z ekipą wydziału zabójstw. Dowiedziałem się tego, dopiero gdy przyjął mnie niejaki porucznik Bree, który zaczął mnie podejrzliwie wypytywać.

– Nic nie rozumiem – powtarzał, kolebiąc się i poklepując po brzuchu. – Co właściwie próbuje pan osiągnąć?

Podjąłem kolejną próbę.

– Wie pan, jacy są weterani wojenni, poruczniku?

– Niech pan nie zgrywa spryciarza.

– Ten człowiek od powrotu z Korei przebywa w domu opieki dla weteranów. Jest niewidomy i sparaliżowany. Plummer chciał poślubić jego młodszą siostrę. Jestem najlepszym przyjacielem tego weterana. Poprosił mnie, bym się dowiedział, jak Plummer zginął.

– Co właściwie próbuje pan osiągnąć? Wszystko było w gazetach. Zamierza pan udowodnić, że źle pracujemy? Powiedzieć nam coś, czego jak dotąd nie wiemy? Nic z tego nie rozumiem.

– Panie poruczniku, proszę, niech pan sobie wyobrazi, że jest pan niewidomym weteranem wojennym przebywającym w domu opieki. Zamordowano narzeczonego pana siostry.

– To lepsze niż wyjście za mąż za człowieka, którego poślubiła moja siostra.

– Czy zadowoliliby się pan, gdyby ktoś odczytał panu krótką wzmiankę w gazecie, czy raczej wysłałby pan przyjaciela, by się dowiedział, co się stało, i wszystko panu zrelacjonował?

Wreszcie zaczął rozumieć i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Hej, chce mu pan po prostu opowiedzieć o sprawie?

– Zgadza się.

– Czy mógłbym jeszcze raz obejrzeć pańskie dokumenty, panie McGee?

Przestudiowałem moje prawo jazdy wystawione na Florydzie. Znajduje się w nim rubryka na wpisanie zawodu, która stanowi zaproszenie do fantazjowania. W tym roku wpisałem tam wyraz „dyrektor”. Kiedy porucznik Bree oddał mi prawo jazdy, uważnie przyjrzał mi się fachowymi oczami policjanta – ocenił krój mojego ubrania, materiał, kołnierzyk koszuli, knykcie, paznokcie, połysk butów, fryzurę, wszystkie subtelne atrybuty statusu społecznego.

– Czym się pan zajmuje, panie McGee?

– Jestem konsultantem w zakresie żeglugi morskiej.

– Rozumiem. Proszę usiąść i zaczekać, a ja zobaczę, co się da zrobić.

Odszedł ciężkim krokiem, tęgi, siwowłosy i tępy. Zająłem miejsce na wytartej ławce i obserwowałem interesantów. Było to równie dramatyczne, jak oczekiwanie w urzędzie pocztowym; czułem ten sam zapach ludzkiego ciała, potu, środków dezynfekujących i tuszu do powielaczy. Dwa procent pracy policji ma związek z morderstwami; cała reszta to powolne, irytujące, zawile procedury dotyczące naruszeń nieistotnych przepisów, skarg złożonych ze złośliwości lub ignorancji, kłótni ludzi żyjących w zbyt wielkiej ciasnocie. Typowy policjant jest zmęczony, uprzejmy, protekcyjny i rozdrażniony.

Sierzant Thomas Rassko wyglądał i zachowywał się jak młody sprzedawca w modnym sklepie z męską odzieżą. Był spokojny, znudzony, obojętny, blady i zwinny jak kot; nosił garnitur w stonowanym kolorze. Choć Bree mnie zaanonsował, Rassko najwyraźniej uznał rozmowę ze mną za stratę czasu. Kazał mi usiąść na krześle koło swojego wielkiego biurka, wyszedł i po chwili wrócił z cienką teczką z dokumentami.

Usiadł, otworzył ją, przejrzał zawartość i powiedział:

– Denat to biały Amerykanin w wieku dwudziestu siedmiu lat. Zgon nastąpił przypuszczalnie między dwudziestą trzecią a dwudziestą czwartą w sobotę dziesiątego sierpnia. O trzeciej osiemnastej ciało znaleziono na podjeździe dla ciężarówek prowadzącym do magazynu na Zachodniej Dziewiętnastej Ulicy. O pierwszej trzydziści odebraliśmy zgłoszenie dozorca magazynu. – Wyjął kilka lśniących fotografii formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów i podał mi jedną z nich. – To da panu najlepsze wyobrażenie.

Howard Plummer leżał na brzuchu pod ceglanym murem, zwrócony w stronę ściany, oświetlony jaskrawym błyskiem flesza. Dotykał policzkiem asfaltu i przygniótł sobie rękę, miał rozrzucone nogi i zadartą połą jasnej marynarki. Boczne kieszenie spodni i jedna z kieszeni marynarki były wywrócone na lewą stronę.

– Właściwie można to nazwać przypadkową śmiercią – stwierdził Ras-sko. – Standardowy rozbój, który źle się skończył. Tacy bandyci zwykle działają parami. Wybierają kogoś dobrze ubranego, może trochę podpitego, i śledzą go z bliskiej odległości. Kiedy nadarza się odpowiedni moment i w pobliżu nikogo nie ma, silniejszy z bandziorów chwytą ofiarę od tyłu, zakładając jej rękę na szyję, i wciąga do ciemnego kąta. Później drugi ob-szukuje kieszenie i zabiera portfel, zegarek, wszystkie wartościowe przed-mioty. Jeśli ofiara jest jeszcze przytomna, opuszczają jej spodnie do kostek, mocno popychają i uciekają. Plummer był dobrze zbudowany, na tyle silny, by ich zdenerwować. Może za bardzo się szarpał albo byli amatorami? Cza-sami znajdujemy zabitych marynarzy, którzy usiłowali odebrać swoje rze-czy bandziorom. Przedramię założone na szyję jest bardzo niebezpieczne. Prawdopodobnie myśleli, że po prostu zemdłał, ale krtań została zmiażdżo-na. Kiedy upadł, uciekli, a on potem się udusił.

– Żadnych tropów?

– To bardzo pospolity typ przestępstwa, panie McGee. Pojawiają się tu gówniarze z różnych dzielnic, z Queens, Brooklynu, nawet New Jersey, więc nie musiał tego zrobić ktoś miejscowy. Może w ogóle się nie zoriento-wali, że nie żyje? Tacy ludzie nie czytają gazet. Nasi informatorzy nie prze-kazali jak dotąd żadnych wskazówek. Nie było żadnych śladów dla labora-torium. Nie znaleźliśmy nikogo, kto cokolwiek widział. Oceniamy, że miał przy sobie około pięćdziesięciu dolarów. Jego portfel zniknął. Nikt, nawet narzeczona, nie mógł podać marki zegarka, jaki nosił, więc nie możemy sprawdzić, czy wstawiono go do lombardu.

– Co robił w tej okolicy?

Rassko wzruszył ramionami:

– Była gorąca sobotnia noc. Jego dziewczyna musiała iść do hotelu na kolację z partnerami biznesowymi. Wyszedł z mieszkania około szóstej. Nie odtworzyliśmy trasy, jaką przebył. Może po prostu spacerował? Nie wiemy, czy w chwili napadu szedł na wschód, czy na zachód. Może odpro-wadził do domu jakąś dziewczynę i szukał taksówki? Szkoda. Miły facet,

wykształcony, mający dobrą pracę i zamierzający wkrótce się ożenić. Tak jak mówiłem, to prawie przypadkowa śmierć. Ale dobrze ubrany mężczyzna nie powinien spacerować tu samotnie w środku nocy, zwłaszcza po kilku kieliszkach. Sam się o to prosił.

– Mieliście jakieś problemy z identyfikacją?

– Nie. Jego nazwisko znajdowało się na metce garnituru i znaleźliśmy je w książce telefonicznej. Aby przyspieszyć identyfikację, zrobiliśmy polaroidem zdjęcie twarzy i wysłaliśmy funkcjonariusza, by pokazał je sąsiadom. Już pierwszy potwierdził tożsamość. Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić. Jutro lub w przyszłym roku możemy złamać kogoś aresztowanego w związku z innym śledztwem, po czym wszystkiego się dowiemy i zamkniemy sprawę. W wypadku takich przestępstw istnieje pewien limit pracy, jaką możemy wykonać; ze względu na nawal roboty nie ma sensu podejmować dalszych czynności. Ale nie zapominamy o takich zabójstwach. Formalnie śledztwo ciągle trwa.

Podziękowałem za czas, jaki mi poświęcił. Wyszedłem na ulicę i ruszyłem w zamyśleniu w stronę śródmieścia. Był piękny jasny październikowy dzień. Minęło południe i na ulicach pojawiły się tłumy urzędników. Nagle wpadł na mnie barczysty mężczyzna, idący szybciej ode mnie, a ja z kolei potrafiłem wysoką dziewczynę. Oboje odwrócili się w moją stronę i warknęli coś gniewnie.

Myślę, że to się zacznie w Nowym Jorku. Widzę, jak się zbliża. Entomolodzy zbadali mechanizmy takich zachowań szarańczy. Zanim populacja szarańczy osiągnie pewną gęstość, owady zachowują się jak normalne koniki polne. Ale kiedy zostanie przekroczony punkt krytyczny, zaczynają szaleć i tworzą rój, który pożera wszystko na swojej drodze. Zbliżamy się do punktu krytycznego. Pewnego dnia dwóch nieznanymi ludźmi wpadnie na siebie w samo południe w środku Nowego Jorku. Lecz tym razem nie warkną na siebie i nie pójdą dalej. Zatrzymają się, wbiją w siebie wzrok, a potem skoczą sobie do gardeł w straszliwej ciszy. Zaraza zacznie się rozprzestrzeniać na wszystkie strony, poczynając od tego punktu. Starsze panie będą rozbijać ludziom czaszki morderczymi torebkami, samochody wjadą na zatłoczone chodniki, a przechodnie wyciągną i zdeptają kierowców. We wszystkich wielkich miastach świata zapanuje chaos, a o świcie następnego dnia zapadnie okropna cisza – wszędzie będzie widać martwe ciała, rozbite samochody, wypalone budynki i snujący się dym. Pozostaną tylko bardzo

nieliczni żywi ludzie, najsilniejsi, obszarpani i zakrwawieni, którzy zaczną się powoli tropić i zabijać.

Wróciłem do swojego sterylnego, radosnego, plastikowego, cudownego prostopadłościanu wysoko na górnym piętrze nowoczesnego hotelu. Zrzuciłem marynarkę i położyłem się na wznak na piankowym materacu, wdychając powietrze nawiewane przez precyzyjne maszyny, pogrążony w cichym szumie zagłuszającym wszystkie dźwięki miasta.

Myślałem o śmierci, pieniądzach i błękitnych oczach wypełnionych łzami. I innych błękitnych oczach, które oślepyły. Nie pasowało mi to, że mam zobowiązania emocjonalne. Czułem się niezręcznie w tej niewygodnej roli. Chciałem być po prostu Travisem McGee, jasnookim, kędzierzawym podrywaczem, wielkim opalonym próżniakiem, który spaceruje po plażach, łowi małe drapieżne ryby, podważa autorytety, sprzecza się z ludźmi, uśmiecha i w nic nie wierzy – wyrzutkiem, który żyje na marginesie uporządkowanego społeczeństwa i czeka, aż zaczną kończyć mu się pieniądze, po czym wychodzi i odbiera je oszustom, zatrzymuje połowę, a resztę zwraca niewinnym ofiarom. Najlepiej robić to bez emocji.

Tym razem byłem zaangażowany. Kiedy Missy, zanurzona po szyję, kąpała się ze mną w gorącej wodzie w starym kamiennym basenie, chichotała i obejmowała mnie mocnymi drobnymi nogami, ktoś oślepił Mike'a Gibsona i go okaleczył.

Ściągnąłem brwi i spojrzałem na dźwiękoszczelny sufit, zastanawiając się, jak można poprawić obsługę gości hotelowych. Kierownik, technik i pokojówka chodzą po pokojach. Czy jest pan zadowolony? Niezupełnie. Stają wokół łóżka, otwierają niewielki schowek w wezłowie, wyciągają rurki dostarczające rozkoszy i podłączają je do żył, rozwijają kable i podłączają do elektrod stymulujących ośrodek przyjemności w mózgu. Regulują natężenie prądu. Czy tak lepiej, proszę pana? O tak. Kiedy pan wyjeżdża? Odłączcie mnie w przyszły wtorek. Dziękujemy! Życzymy miłego pobytu w Nowym Jorku! Szczęśliwych halucynacji!

Odkryłem powód swojej niechęci do wykonania następnego ruchu. Bałem się, że mogę wszystko zepsuć przez ignorancję.

Następnym ruchem była rozmowa z Robertem.

Nina stwierdziła, że jeśli uda mi się go namówić do rozmowy, może mi opowiedzieć o pracy Howarda Plummera więcej niż ktokolwiek inny. Ro-

bert Imber. Pracował w dziale powierniczym jednego z banków na Piątej Alei.

Robert przyjął mnie w swoim sanktuarium, cichym, niewielkim pomieszczeniu z matowego szkła, w którym stały skórzane fotele i wyczuwało się atmosferę pieniędzy. Siedział, woskowy, ubrany w ciemny garnitur; miał małe, blade, jakby wessane do środka usta i ciemnokasztanowe, lśniące włosy. Nikt nigdy nie nazwał go Bobem lub Bobbym. Był Robertem o czujnych brązowych oczach.

– Tak, wydarzyła się straszna rzecz – rzekł. – Nowy Jork to dżungla. Mam nadzieję, że panna Gibson... dochodzi do siebie. Prawie jej nie znam. Odszedłem z firmy Armister-Hawes prawie rok temu, gdy Howard zaczął się spotykać z panną Gibson.

– Jeszcze nie rozumiem, czym właściwie jest firma Armister-Hawes.

Zaczerwienił się, jak przyłapany na okropnym błędzie.

– Tak naprawdę nie jest to firma Armister-Hawes. Kiedyś, przed laty, owszem. Był to bank inwestycyjny z filiami w Londynie, Brukseli i Lizbonie. Ale przedsiębiorstwo ciągle mieści się w pięknej starej siedzibie i przy wejściu wisi mosiężna tabliczka z napisem „Armister-Hawes”, toteż wszyscy tak mówią z przyzwyczajenia. W rzeczywistości jest to centrum operacyjne zajmujące się sprawami finansowymi rodziny Armisterów.

– Potrzebne jest do tego centrum operacyjne?

– O tak, panie McGee. I dość duży personel. To bardzo stara fortuna, ogromna. Trzeba zarządzać wieloma nieruchomościami i dość skomplikowaną strukturą przedsiębiorstw holdingowych, fundacji, funduszy inwestycyjnych i powierniczych, a także, oczywiście, licznymi portfelami papierów wartościowych, które wymagają bardzo aktywnego podejścia. Najważniejszą rolę w zarządzaniu majątkiem odgrywa Charles McKewn Armister Czwarty jako głowa rodziny.

– Dlaczego pan odszedł?

Obserwował mnie uważnie. Był tak nieruchomy, że zastanawiałem się, czy oddycha.

– Słucham?

– Nie chcę być wścibski. Przyszło mi po prostu do głowy, że musiała to być bardzo ciekawa praca.

– O tak. I doskonałe miejsce do zbierania doświadczeń. Zarządzanie majątkiem Armisterów wymaga skomplikowanej wiedzy z wielu dziedzin. Ale pojawiła się możliwość uzyskania posady w tym banku. Poza tym gdybym tam został, istniało prawdopodobieństwo, że mógłbym stracić pracę. Miałem niższe stanowisko niż Howard Plummer.

– Chce pan powiedzieć, że redukowali personel?

– Niezupełnie. Trochę trudno wyjaśnić to laikowi. Wdrożyli długoterminowy plan zmniejszania aktywnych obowiązków w zakresie zarządzania. Na przykład duży budynek biurowy oznacza mnóstwo papierkowej roboty; trzeba załatwiać sprawy związane z wynajmem, serwisem technicznym, podatkami i tak dalej. Zaczęli się stopniowo pozbywać tego rodzaju aktywów. Upraszczała również procedury lokat w papiery wartościowe, zmniejszając liczbę transakcji. I przestali inwestować w nowe przedsięwzięcia.

– Jeśli tak to wyglądało, zastanawiam się, dlaczego Howard również nie odszedł.

– Mam powody przypuszczać, że rozważał taką opcję. Ale dość dobrze zarabiał i był lojalny wobec pana Armistera. Domyślam się, że długo by tam nie został. Był bardzo rozsądnym człowiekiem, panie McGee. Doskonale oceniał ryzyko inwestycyjne.

– Jestem laikiem, panie Imber, lecz zastanawiam się nad pewną kwestią. Skoro zmieniono politykę firmy i zaczęto wyprzedawać aktywa, czy nie ułatwiłoby to defraudacji części majątku Armisterów?

Wybałuszył oczy.

– Cóż za zdumiewające pytanie!

– Nie byłoby to możliwe?

– Chyba pan żartuje, panie McGee! To absolutnie wykluczone; nie ma pan nawet pojęcia, jak bardzo. Wszystkie transakcje są nieustannie monitorowane przez urzędy podatkowe. Księgowość posiada własne narzędzia kontrolne. Pan Armister jest bardzo czujny. Szef działu prawnego, pan Baynard Mulligan, to bardzo kompetentny i szanowany człowiek. Podobnie pan Lucius Penerra, szef działu księgowości. Żadne ważniejsze działania nie są podejmowane bez wiedzy i aprobaty pana Armistera. Nie, panie McGee, wysuwanie takich oskarżeń jest nie tylko dość głupie, lecz wręcz niebez-

pieczne. Podejrzewam, że rzucanie oszczerstw na ważne, szanowane przedsiębiorstwo handlowe zawsze może być niebezpieczne.

– Nie dałoby się uszczknąć czegoś z tych pieniędzy?

– W żadnym wypadku. Jak to się stało, że zaczęliśmy rozmawiać na ten temat?

– Jeszcze jedno pytanie, panie Imber. Sądzi pan, że ta zmiana polityki była sensowna?

– To zależy.

– Od czego?

– Jeśli chciałby pan optymalnie zarządzać fortuną w wysokości sześćdziesięciu, siedemdziesięciu milionów dolarów, zachować ją i powiększyć, a jednocześnie wykorzystać każdą ulgę podatkową i zmianę koniunktury gospodarczej, poprzednia opcja była lepsza. Ale istnieją również czynniki ludzkie. Na przykład pan Armister mógł dojść do wniosku, że taka praca jest zbyt monotonna i wymagająca, toteż należy zastosować podejście pasywne, a nie aktywne. Plan mógłby polegać na tym, by w końcu zlikwidować centrum operacyjne i przekazać wszystkie środki finansowe departamentom powierniczym banków. Jego roczne dochody zmniejszyłyby się o pięć punktów procentowych, czyli o jakieś trzy miliony dolarów. Byłaby to cena, jaką zapłaciłby za możliwość niepodejmowania ryzyka.

– Ile lat ma pan Armister?

– Obecnie około czterdziestu czterech. Odziedziczona fortuna to straszliwy obowiązek, panie McGee. Może się stać brzemieniem nie do zniesienia. Naturalnie nie mam prawa zgadywać, jakie są intencje pana Armistera.

– Czy Howard kiedykolwiek krytykował nową politykę firmy?

– Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać?

– By się czegoś dowiedzieć o pracy Howarda.

– Czemu?

– Ciekawi to pannę Gibson.

– Z jakiego powodu?

– Chciałbym to panu powiedzieć, panie Imber, ale dałem słowo.

– Mam nadzieję, że nie wątpi w uczciwość Howarda. Był absolutnie godny zaufania.

– Czy krytykował nową politykę?

– Tylko raz. Tuż przed moim odejściem. Opracowaliśmy bardzo rozsądny projekt zagospodarowania dużego obszaru ziemi w stanie Maryland

i oszacowaliśmy wielkość środków finansowych potrzebnych do rozpoczęcia pierwszej fazy inwestycji. Wtedy pan Mulligan powiedział Howardowi, że zapadła decyzja, by sprzedać ziemię. Było to dla nas gorzkie rozczarowanie. Howard próbował walczyć z tą decyzją, ale nic nie wskórał. Pamiętam, jak chodził tam i z powrotem przed moim biurkiem, przeklinając całą organizację. – Spojrzał na zegarek. – Bardzo mi przykro, ale...

Szybko wstałem. Podziękowałem za rozmowę. Uścisk jego dłoni był zdecydowany, chłodny i napięty. W drzwiach zerknąłem przez ramię na Imbera. Siedział wyprostowany, a na jego twarzy malowała się dezaprobata. Zniesławiałem jednego z jego bogów. Byłem lekkomyślnym laikiem. Podejrzewałem, że ma do siebie pretensje, iż mówił zbyt dużo i zbyt swobodnie. Jest tylko jeden sposób, by rozwiązać ludziom język – słuchać. Słuchać każdego słowa z intensywną, żarliwą uwagą, kiwać głową na znak zgody, cmokać potakująco. Nie wolno udawać; trzeba naprawdę słuchać. Manifestować wdzięczność. Znalezienie dobrego słuchacza sprawia taką przyjemność i jest tak rzadkim, zdumiewającym doświadczeniem, tak wielkim potwierdzeniem wartości człowieka, że ludzie chcą, by trwało jak najdłużej. Jedyny sposób to mówić dalej. Dobry słuchacz trafia się znacznie rzadziej niż dobry kochanek.

Miałem jeszcze jedno użyteczne źródło informacji, Constance Trimble Thatcher, pod warunkiem że przebywała w Nowym Jorku. Skończyła siedemdziesiąt dwa lata i kilka lat temu padła w Palm Beach ofiarą oszustwa. Choć była wyjątkowo sprytna, zręczny kanciarz odnalazł jej słaby punkt i bez litości ją oskubał. Odkryłem oszustwo prawie przez przypadek, odebrałem pieniądze, zaniósłem jej i wyjaśniłem, jakie są moje zasady pobierania honorariów. Zapłaciła bez szemrania połowę kwoty i zażądała tylko, bym nigdy nikomu nie wspomniał, jaką koszmarną idiotkę z siebie zrobiła.

Podąłem swoje nazwisko, po czym podeszła do telefonu i kazała mi się zjawić tuż przed przybyciem wyjątkowo nudnych gości zaproszonych na koktajl party. Pojechałem taksówką do jej ogromnej willi z widokiem na park. Czekałem w foyer. Wysokie stare pokoje z brytyjskimi meblami z początku dziewiętnastego wieku były ozdobione świeżymi kwiatami i brokatem ze złotem. Sądząc po bufecie, Connie spodziewała się co najmniej pięćdziesięciu gości.

Podbiegła do mnie truchtem, cała w uśmiechach, wydając ciche powitalne okrzyki. Nosila perły i zieloną suknię; jej siwe włosy były starannie

ufryzowane. Wciągnęła mnie do niewielkiego gabinetu przylegającego do foyer i zamknęła mahoniowe drzwi. Chwyciła moje dłonie, spojrzała na mnie i rzekła:

– McGee, McGee, ty przystojny, sprytny draniu, gdybym tylko miała trzydzieści lat mniej...

– Cieszę się, że znowu panią widzę, pani Thatcher.

– Pani Thatcher?!

– Miło cię znowu widzieć, Connie.

Zaprowadziła mnie na kanapę i usiedliśmy obok siebie.

– Nie mam nadziei, że przyszedłeś się spotkać ze starszą panią z sympatii i na znak pamięci o dawnych czasach, McGee. Chcesz czegoś ode mnie. Sądząc po twoim wyglądzie, jeszcze się nie ustatkowałeś i nigdy tego nie zrobisz. Jesteś zbójem, McGee.

– Nie znalazłaś dla mnie miłej dziewczyny, Connie.

– Wysłałam ci jedną, mój drogi, ale tylko w celach terapeutycznych.

– Jak się miewa Joanie?

– Wróciła do męża, ale musisz o tym wiedzieć, bo sam jej to doradziłeś, prawda? Powiedziała mi o tym. Urodziła trzecie dziecko. Podobno jest szczęśliwa. Czy postąpiłam jak niegodziwa stara kobieta, że ci ją wysłałam?

– Wiesz, że tak.

– Potrzebowała romansu i mogła wpaść w złe towarzystwo. Wróciła bardzo zadowolona. McGee, byłam czerwona z zazdrości. Powiedz mi, w jaką intrygę się wplątałeś i czy coś na tym zarobisz.

– Co wiesz o Charlesie McKewnie Armisterze Czwartym?

Popatrzyła na mnie z lekko przekrzywioną głową, mrużąc jedno oko. Kiedyś musiała być bardzo piękna.

– To ciekawe pytanie – odrzekła. – Wiem to, co wszyscy.

– Właśnie dlatego do ciebie przyszedłem.

– Jako mała dziewczynka spadłam z konia... zdarzyło się to wiele, wiele razy, i pomógł mi wstać jego dziadek. Przez jakiś czas myślałam, że poślubię ojca Charlesa, romantyka, który lubił się całować i pisać wiersze miłosne. Młody Charlie zawsze był sztywny, zachowywał się bardzo przyzwoicie. Ożenił się młodo. Zdaje się, że oboje mieli wtedy dwadzieścia lat. Poślubił Joannę Howlan. Również była bogata. Mieli letnie domy w Bar Harbor położone blisko siebie. Moim zdaniem świetnie się nadawała na jego

żonę. Krzepka, piegowata dziewczyna, dobrze grająca w tenisa, o miłym uśmiechu, równie przyzwoita jak Charlie. Mieli dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Syn ma w tej chwili dwadzieścia dwa lata i służy gdzieś daleko za granicą w Korpusie Pokoju, a córka skończyła osiemnaście lat i mieszka w Holyoke.

– Skrzywiła się, spoglądając w przestrzeń. – Nie wiem, jak to wyrazić, McGee. Charlie i jego żona nie mają talentu do korzystania z pieniędzy, przynajmniej nie tak wielkich pieniędzy. Wyznają kult prostoty. Pozbawiają bogactwo całej magii. To jakaś dziwaczna antyteza snobizmu, tak sądzę. Poczucie winy w wymiarze społecznym. Sama nie wiem. Mają starą rezydencję na Long Island, apartament w Nowym Jorku i niewielki dom w Hobe Sound na Florydzie. Są spokojni, mili, delikatni, nudni i, jak powiedziałam, świetnie grają w tenisa. Uprawiają również żeglarstwo. Podobno Charlie bardzo ciężko pracuje, pilnuje spraw finansowych, pomnaża rodzinną fortunę i zajmuje się dystrybucją zysków. To dziwne, że wcześniej wspomnieliśmy o romansie, bo słyszałam, że on również ma romans.

– Hm?

– W wieku, gdy można się tego spodziewać po mężczyźnie, który młodo się ożenił, McGee. Rok temu przeżył załamanie. Nerwica lękowa. Teraz jest w separacji z Joanną, ale nie ma mowy o rozwodzie. Ma własny apartament w Nowym Jorku. Kilka razy wywołał po pijanemu awantury w miejscach publicznych, po latach nienagannego zachowania. Słyszałam coś dziwnego o ludziach, którymi się otoczył. – Jej oczy się zamglily.

– Niech sobie przypomnę. Kiedy kobieta zapomina o plotkach, zbliża się do kresu swojej drogi. Co to było? Ach! Słyszałam, że mieszka ze swoim adwokatem i jego sekretarką. Dość szokujący układ, prawda? – Pokręciła głową. – Jak mogłam zapomnieć, drogi chłopcze? Jednak warto mieć pod ręką dobrego prawnika. Może przygotowuje wszystkie dokumenty, prawda? Nazywa się Baynard Mulligan. Poznałam go. Jest w miarę dowcipny i atrakcyjny. Pochodzi z dość dobrej rodziny z Wirginii, która straciła majątek, gdy był dzieckiem. Pozwól mi się zastanowić. W wieku trzydziestu lat ożenił się z Eleną Garrett; miała wówczas nie więcej niż dziewiętnaście lat. Małżeństwo okazało się nieudane. Zdaje się, że trwało cztery lata. Podobno Elena zaczęła pić. Później poślubiła jakiegoś profesorka z Princeton; w tej chwili jest bardzo szczęśliwa i rodzi kolejne dzieci. Baynard nie ożenił się ponownie. Niech no pomyślę, co jeszcze wiem o Charliem Armisterze...

– Jesteś fantastyczna, Connie. Bardzo ci dziękuję, ale od ostatnich pięciu minut słyszę, jak przybywają twoi goście.

– McGee, kochany, barek jest w widocznym miejscu, a to wyjątkowi nudziarze. Gdyby Armisterowie nie byli w separacji i przebywali w Nowym Jorku, pewnie też bym ich zaprosiła. Organizuję specjalne przyjęcia, na które zapraszam wszystkich największych nudziarzy i pozwalam im przebywać w swoim towarzystwie. To lepsze niż zapraszanie ich po trochu, by psuli zabawę moim normalnym przyjaciółom. Wyjdę do nich, jak będę gotowa. Jedną z najciekawszych osób związanych z Charliem Armisterem jest szwagierka, starsza siostra Joanny. Daj mi chwilę, a podam ci jej pełne nazwisko. Teresa Howlan Gernhardt... ach... Delancy Drummond. Nazywają ją Terry. Należy do międzynarodowej śmietanki towarzyskiej, jest urocza, piekielnie rozpustna i ma znakomitą figurę jak na swój wiek. Ma około czterdziestu sześciu lat. Zwykle przebywa w Rzymie lub Atenach, ale słyszałam, że w tej chwili jest w Nowym Jorku. Zapewne pociesza siostrę. To niezwykle, jak bardzo się od siebie różnią. McGee, kochany, wiem, że jesteś wystarczająco bezczelny, by zapytać Terry o Charliego; będzie tak zirytowana, że prawdopodobnie ci odpowie. Gdzie możesz ją znaleźć? Mmm... Albo w hotelu Plaza, albo w apartamencie Armisterów. Spróbuj w obu miejscach, mój drogi. Tylko nie pomyśl apartamentów. Terry mieszka w starszym, przy Wschodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej; zdaje się, że kryjówka Charliego jest trochę dalej. Teraz chyba powinnam dołączyć do gości, choć budzi to we mnie trwogę. Musisz spotkać się ze mną znowu i opowiedzieć mi, z jakich to skandalicznych powodów jesteś zainteresowany Charliem Armisterem. Nikomu nic nie zdradzę.

– Do diabła z Charliem! Interesuje mnie ta sekretarka.

Wstaliśmy. Pochyliłem się i pocałowałem ją w miękki pomarszczony policzek.

– Szybko się wymknij, mój drogi, nim przyczepi się do ciebie któraś z tych starych bab i zacznie cię zanudzać.

I zadzwonię wkrótce.

Wyszedłem uśmiechnięty. Stara winda wjeżdżała z kłopotem na górę, toteż zbiegłem na dół po schodach. Constance Trimble Thatcher to mądra kobieta, na swój sposób. Kiedyś myślałem, że postradała rozum – tego ranka, gdy na trapie mojej łodzi pojawiła się Joanie, blada, nerwowa, ubrana jak turystka. Wyglądała żałośnie i podała mi drżącą ręką list. Kiedy go przeczy-

tałem i spojrzałem na nią, zauważyłem, że trzęsie się jej podbródek. List, napisany przez Connie fioletowym atramentem, brzmiał następująco: „Bądź bardzo dobry dla tego drogiego, wyczerpanego, nieszczęśliwego dziecka. Jacyś idioci chcieli ją wpakować do sanatorium dla nerwowo chorych. Jestem jej matką chrzestną i myślę, że lepiej wiem, czego jej potrzeba”.

Następnego dnia wyszedłem w morze i popłynąłem w stronę Florida Keys ze swoją ponurą, skuloną, zdenerwowaną pasażerką. Trzy tygodnie później odprowadziłem ją na lotnisko w Miami, skąd miała polecieć z powrotem do Nowego Jorku. Ważyła pięć kilogramów więcej, była opalona na ciemny brąz, jej włosy pojaśniały od słońca, ręce stały się szorstkie od wiosłowania, a mięśnie jędrne i sprężyste. Długo całowaliśmy się na pożegnanie, a Joanie śmiała się i płakała – nie z powodu hysterii, tylko dlatego, że miała rzeczywiste powody do śmiechu i płaczu. Oboje wiedzieliśmy, że może teraz poskładać swoje życie i zbudować coś, co będzie miało sens. Kapitan McGee. Prywatne rejsy wycieczkowe. Indywidualna terapia. Kiedy samolot wystartował, McGee poczuł lekkie ukłucie bólu, bo był za blisko rozważania, co mogłoby być... Jeśli nie odczuwamy bólu i straty, wszystko jest tylko zabawą; pozostawmy ją norkom. Ludzi należy cenić.

Dowiedziałem się, że panią Drummond można zastać w jej apartamencie w hotelu Plaza, ale nie tak wcześnie w piątek wieczorem, toteż pojechałem taksówką do domu Niny przy Wschodniej Pięćdziesiątej Trzeciej. Nie wróciła jeszcze z biura. Otarłem kurz z murku przy schodach wejściowych, usiadłem i czekałem, obserwując ludzi, którzy po powrocie z biur wyprowadzali na spacer swoje udęczone psy. Niemal słyszałem, jak zwierzęta wzdychają z ulgą po dotarciu do odpowiedniego słupka. Najwięcej było pudli.

To jedna z najniezwyklejszych ras. Pudle są trochę za inteligentne, by posłusznie odgrywać rolę niewolników. Ich samotność jest bardziej dręcząca, powitania bardziej gorączkowe; te psy z całych sił starają się sprawiać ludziom przyjemność. Zachowują się, jakby myślały, że jeśli okażą się grzeczne, nie będą zamykane w pustych domach, by chodzić z miejsca na miejsce, spać, snuć ponure rozmyślenia, walczyć z narastającą potrzebą wysikania się. Starają się to wyrazić. Pewnego dnia pojawi się superpudel równie inteligentny, jak najgłupsze bezpańskie koty, i wreszcie to zrozumie. Zda sobie nagle sprawę, że jego samotność jest tylko produktem ubocznym wykorzystywania go do złagodzenia samotności właściciela. Powie to innym pudlom i któreś nocy zaczną przegryzać ludziom gardła.

Minęła mnie wysoka dziewczyna prowadząca na smyczy niewielkiego szarego pudla w obróżce wysadzonej perełkami. Spojrzał na mnie małymi małpimi oczkami. Dziewczyna, mająca ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, nosiła obcisłe spodnie w kwiaty i włochaty biały sweter. Zerknęła na mnie z ukosa z zamyśloną miną i poszła dalej. Jej pośladki poruszały się dostojnie w rytmie kroków. Pudel patrzył na mnie. Spieprzaj, pomyślał. Ona może kochać tylko mnie. Znam cię: jesteś moim wrogiem.

– Elegancka okolica, prawda? – spytała Nina.

Zerwałem się z miejsca.

– Podkraślaś się do mnie – rzuciłem.

– Nazywamy tę dziewczynę Królową Śnieżką. Ma około czterdziestu sweterków. Wszystkie obcisłe i białe.

– Jest bardzo wysoka.

– Długo czekałeś? Chodźmy na górę. – Kiedy wspinaliśmy się powoli po schodach, odezwała się: – Spałam jak zabita, Trav. Nawet nie usłyszałam budzika. Przez cały dzień ledwo trzymałam się na nogach. Gdybym zamknęła oczy, natychmiast bym zasnęła. To chyba reakcja na naszą rozmowę.

– Wczoraj wieczorem wyrzuciłaś z siebie mnóstwo złych emocji.

– I przepaliłam bezpieczniki. – Oparła się o ścianę, podała mi klucz i ziewnęła. Otworzyłem drzwi i weszliśmy do środka. Mieszkanie wydawało się uporządkowane.

– Posprzątałaś? – spytałem.

– Trochę, w nocy. Wszędzie był bałagan.

– Dziś wieczorem zabiorę cię na kolację.

– Pozwól mi zdjąć buty, napić się czegoś i zastanowić się nad tym, mój drogi. Przygotuj mi whisky z lodem, dobrze? Wiesz, gdzie jest barek. Zapukaj do łazienki i podaj mi szklaneczkę. Muszę wziąć prysznic. Może wtedy się ocknę.

– Nie chcesz sherry?

Uśmiechnęła się do mnie smutno.

– Piłam sherry, bo się bałam, co się ze mną stanie po czymś mocniejszym. Obawiałam się, że stracę nad sobą kontrolę. Tak naprawdę lubię whisky.

Powlokła się do sypialni i zamknęła drzwi. Przygotowałem drinki. Kiedy zastukałem w drzwi sypialni, nikt nie odpowiedział. Usłyszałem szum prysznica. Wszedłem do sypialni. Na nieposłanym łóżku leżało ubranie Niny. Drzwi do łazienki były uchylone. Pluskała woda. Czułem ciepły, parny, bujny zapach kobiety. Zapukałem. Po chwili w szparze pojawiło się mokre ramię. Podałem Ninie szklaneczkę. Ręka się cofnęła.

– Dziękuję! – zawołała. – Wiesz co?

– Co?

– Dostanę premię.

– To miłe.

– Za opakowanie dla Marvissy. Dostaliśmy zlecenie. Wybrali mój projekt. Urządzili konkurs. Pięćset dolarów.

– Gratuluję.

– Byłam taka zmęczona, że tylko pokornie się uśmiechnęłam. Wyjdę za kilka minut.

Poszedłem z powrotem do salonu. Miałem wrażenie, że podąża za mną upojny zapach namydlonej dziewczyny. Nakazałem sobie przestać myśleć o Ninie pod prysznicem. Widziałem całe plutony kobiet biorących prysznic i swego czasu szorowałem niejedne lśniące plecy. Nie był to dobry moment na młodzieńcze fantazje erotyczne. Prośba o drinka nie stanowiła zawołanego zaproszenia; Nina zachowywała się niewinnie i przyjaźnie. Była młodszą siostrą Mike'a. Seks z nią miałby posmak kazirodztwa. Kiedy Mike powiedział, że powinienem nią wstrząsnąć, rozumiał przez to co innego. Spacerowałem po pokoju, oglądając ze sztucznym, ironicznym uśmiechem rysunki Niny, i zmusiłem się do myślenia o innych rzeczach.

W końcu wyszła w pantoflach rannych obszytych białym puszkami i długim różowo-czarnym szlafroku związanym mocno w talii. Nad jej górną wargą lśniły kropelki potu, a końce kruczoczarnych włosów były mokre.

– Ubiorę się, gdy zdecydujemy, dokąd pojedziemy.

– Jasne. Dolać ci?

– Proszę.

Usiedliśmy z nowymi drinkami i opowiedziałem jej o spotkaniach z sierżantem Rassko, Robertem i Constance Trimble Thatcher. Opisałem cały swój dzień. Relacja na temat Rassko nie była dla niej przyjemna, toteż kiedy doszedłem do Roberta, przedstawiłem go zabawniej, niż na to zasługiwał, i Nina się zaśmiała. Była zaintrygowana Connie i tym, że plotkuje ze mną dama należąca do śmietanki towarzyskiej Nowego Jorku.

– Musisz się cieszyć jej specjalnymi względami, Trav.

– Wyświadczyłem jej kiedyś przysługę, gdy wpadła w depresję. Straciła szacunek do siebie. Zna niewielu ludzi takich jak ja. Chyba ją bawię. I w jakiś paradoksalny sposób jesteśmy do siebie podobni.

– Ty i Constance Trimble Thatcher?

– Oboje nie znosimy oszustwa, a także pretensjonalności i sztuczności. Ona może sobie na to pozwolić. W moim wypadku to ekstrawagancja.

– Czy ja jestem sztuczna?

– Projektujesz proste opakowania i sprzedajesz je prostym ludziom. Kiedy zaczynasz w to wierzyć, stajesz się nieuczciwa, Nino. Dostosowujesz się do realiów życia, a ja nie. To nie cnota, tylko choroba. Jestem wiecznym nastolatkiem. Kiedy człowiek przestaje udawać, staje się podejrzany, kotku.

– Opakowania dla Marvissy są ohydne.

– Oczywiście.

– Ale jestem dumna z premii, Trav.

– Dlaczego nie? Nino, kiedy akceptujemy warunki kompromisu, trzeba być cholernym głupcem, by nie wykonać swojej pracy jak najlepiej w ramach istniejących ograniczeń. Pokonać wszystkich na ich własnym terytorium i być z tego dumnym.

– Zgadza się.

– Dobrze. A teraz jeszcze kilka pytań na temat tego, co Howie mówił o kradzieży.

– Wspomniałam ci, że tylko podejrzewałam, że coś takiego się zdarzyło. Bardzo się tym martwiłam. Twierdził, że nie może niczego udowodnić. Spytałam dlaczego. Odpowiedział, że musiałabym skończyć kurs księgowości, by mógł zacząć mi to wyjaśniać. Mimo to próbował to zrobić. Kazał mi sobie wyobrazić sto wiader wypełnionych wodą i sto pustych wiader. Jeśli ktoś zacznie nagle błyskawicznie przelewać wodę między wiadrami, nikt nie zauważy, że cały czas jej ubywa. Można to sprawdzić tylko wtedy, gdy zatrzyma się przelewanie i starannie zmierzy objętość wody.

– A nazwiska?

– Nie chciał o tym mówić. Prosiłam go, by się zwolnił. Powtarzałam, że jeśli dzieje się coś niedobrego, ktoś może zwalić na niego winę. A poza tym wprowadzało go to w ponury nastrój.

– Jak zareagował na propozycję, by stamtąd odejść?

– Powiedział, że to dobry pomysł. Że za jakiś czas to zrobi. Irytowało go, że nie może usiąść i porozmawiać poważnie z panem Armisterem. Mówił, że kiedy się tam zatrudnił, omawiano różne rzeczy, dyskutowano o planach na przyszłość i tak dalej. Twierdził, że pan Armister miał rozsądne pomysły. Ale potem nagle się zmienił: wszystko przestało go obchodzić, stał się wesoły i rubaszny. Howie mówił, że musi się w tym kryć jakiś spisek z udziałem kierownictwa firmy; zastanawiał się, czy nie są to machinacje finansowe Armistera, który próbuje transferować pieniądze do Szwajcarii, by unik-

nać płacenia podatków. Uważał, że chyba stał się zbyt wścibski, bo Mulligan zaczął sugerować, by się przeniósł do innej firmy; proponował wysoką premię i doskonałe listy polecające.

– Ale nigdy nie znalazł niczego konkretnego?

– Nic o tym nie wiem.

– Co zamierzał zrobić, gdyby coś znalazł? Wspominał o tym?

– Nie. Wydawał się bardzo ponury i wściekły, jakby planował pójście na policję. Kochałam go, Trav, ale muszę powiedzieć, że Howie był trochę sztywny. Miał bardzo surowe poglądy na temat tego, co jest dobre, a co złe. Tłumił w sobie pewne rzeczy... – Zarumieniła się lekko. – Wierzyłam, że po ślubie stanie się swobodniejszy.

Odchyliłem się do tyłu i powiedziałem:

– Sześćdziesiąt do siedemdziesięciu milionów to dużo wody do przelewania z wiadra do wiadra. Sporo może się rozlać. Dziesięć procent oznacza sześć lub siedem milionów. Czy znasz nazwisko tej sympatycznej sekretarki?

– Naturalnie. Bonita Hersch. Howie jej nie znosił. Wcześniej była sekretarką Mulligana i awansowała, gdy sekretarka Armistera przeszła na emeryturę.

– Dlaczego jej nie lubił?

– Chyba dlatego, że kiedy została sekretarką Armistera, wszystko się zmieniło. Wiesz, jak wyglądają biura, prawda? Może w nich panować miła atmosfera albo przeciwnie, bardzo oficjalna. Bonita Hersch wzniosła mur wokół Armistera, nikogo do niego nie dopuszczała i zaczęła szcuć ludzi na siebie. Trav?

– Tak, Nino?

– Co tak naprawdę o tym wszystkim myślisz?

Odwróciłem się i spojrzałem w niespokojne błękitne oczy o długich rzęsach, na drobną młodą twarz otoczoną kruczoczarnymi kręconymi włosami.

– Moim zdaniem chodzi o duże pieniądze. Jesteśmy ciągle drapieżnikami, a naszym pokarmem są pieniądze. Jeśli w grę wchodzi wielkie kwoty, ludzie mogą się posunąć do bardzo dziwnych rzeczy, by je zdobyć. Gdy nadarza się dobra okazja, prawie nie ma ludzi odpornych na takie pokusy. Wiem, że ja sam nie jestem odporny.

– Czy to właśnie są te realia życia, o których robiłeś mi wykład?

– Traktowałem cię protekcjonalnie, moja droga. Lubię dużo gadać. Czasami zaczynam dzięki temu wierzyć, że wiem, kim jestem. McGee, wolny duch, różne bzdury tego rodzaju. Wszystko, czego kiedykolwiek dokonałem, to zamiana jednego rodzaju niewoli na inny. Padam ofiarą własnych zawadiackich wyobrażeń o sobie. W gruncie rzeczy, Nino, jestem leniwy, egoistyczny i dość pokrętny. Muszę to sobie jakoś zrekompensować, więc idealizuję swoje wady i robię ładnym kobietom wykłady na temat prawdy i piękna. Czy jesteś na tyle mądra, by to zrozumieć? Jeśli tak, to również dostatecznie mądra, by się nie nabrać na mój fałszywy wizerunek.

– Myślę, że jesteś bardzo dziwnym człowiekiem.

– Nie bądź zaintrygowana. Nie warto. Jestem po prostu eleganckim próżniakiem wylegującym się na plażach. Równie trwałym jak siniak pod okiem.

Zdarzają się chwile, gdy ludzie spoglądają sobie w oczy, a pole widzenia się zwęża i skupia w jednym punkcie, aż pozostają jedynie wpatrzone w siebie oczy. W tych momentach człowiek czuje dziwny dreszcz i wstrzymuje oddech – jest to forma komunikacji pozwalająca wyrazić to, czego nie da się wypowiedzieć słowami.

Nina oblizała wyschnięte wargi i cicho wyszeptała:

– Zdarzało mi się odbijać od zamkniętych drzwi.

Miewałam siniaki pod oczami. Dałam sobie z tym radę.

– Nie gadaj.

– Mike mówił, że byłeś cholernie dobrym żołnierzem.

– Wynik uważnej obserwacji. Zauważyłem, że im lepszy żołnierz, tym dłużej żyje. Zacząłem się starać z czystego strachu.

– Mike twierdził, że po powrocie zamierzałeś pracować w firmie brata.

– Kiedy przyjechałem, nie było żadnej firmy. Odebrali mu ją. Włożył w nią mnóstwo pracy i popełnił samobójstwo.

Błękitne oczy się zbliżyły i Nina odezwała się szeptem:

– Mike mówił, że masz dziwny stosunek do kobiet.

– Uważam je za ludzi, a nie ładne zabawki. Moim zdaniem grzech pierworodny to robienie innym krzywdy. Zwycięstwo dla samego zwycięstwa pomniejsza człowieka. Nie cenię kobiet, które nie cenią samych siebie. To moje credo. Dlatego nie uchodzę za playboya. Nie mam ochoty na zabawy z króliczkami.

Jej wargi znajdowały się pięć centymetrów od moich.

– Mike powiedział, że nie wolno grać z tobą w pokera – rzekła, opuszczając powieki.

– Mieszkam na pokładzie swojej wygranej. Łódź nazywa się Busted Flush.

– Zabierz mnie na przejażdżkę po morzu – powiedziała, oparła pięści na mojej piersi i pocałowała mnie z cichym westchnieniem. Na początku pocałunek był łagodny, lecz szybko stał się niepokojąco słodki, pełen bolesnej namiętności, większej, niż można się spodziewać po pocałunku. Zarzuciła mi ręce na szyję i westchnęła głęboko. Odsunąłem ją od siebie. Spojrzała na mnie rozszerzonymi oczami, po czym podeszła do ściany, na której wisiały robocze wersje projektów, i zaczęła je leniwie porządkować.

– Trav?

– Musimy zdecydować, gdzie pójdziemy coś zjeść, więc możesz się ubrać.

– Trav?

– Włóż coś czarnego, co pasowałoby do pieczonych małży, spaghetti, dużej sałaty z czosnkiem, butelki bardolino i kawy.

– Trav, do cholery!

– I wygodne buty, bo po kolacji pójdziemy na krótki spacer. Popatrzymy na światła i na ludzi.

Odwróciła się, spojrzała na mnie, pokręciła ze smutkiem głową, po czym weszła do sypialni i zamknęła drzwi.

Dopóki nie zaczęliśmy pić drugiej filiżanki gęstej gorzkiej kawy, zabawiąłem ją banalną rozmową. Opowiadałem legendy popularne na Florydzie i anegdotki na temat portu jachtowego Bahia Mar – o Alabamie Tigerze, właścicielu sąsiedniego jachtu na kei, który urządzał nieustanne przyjęcia, o tym, jak złowić belonę, o najlepszym gatunku rumu w Nassau i podobnych rzeczach. Umilkłem na chwilę.

– Trav? – odezwała się tym samym tonem jak poprzednio i znów spostrzegłem intensywność błękitu jej oczu.

– Jak powiedziałaś na samym początku, zawsze byłaś ślicznotką. Stałaś się bezbronna, bo dziesiątego sierpnia wydarzyło się coś strasznego, a wczoraj wieczorem wypłułaś z siebie tyle emocji, że wystarczyłoby na dziesięć sesji u psychoanalityka. Chcesz przelać na mnie więcej uczuć, niż powinnaś. Zbyt chętnie obdarzasz innych zaufaniem i miłością, co mnie przeraża. Kiedy jakiś cholerny głupiec strzela do ryb w beczce, niszczy ją.

- To wszystko?
 - Kiedy wymyślę coś jeszcze, to ci powiem.
 - Nie jestem harcerką i nie potrzebuję drużyny, która by mną kierowała. Potrafię świadomie podejmować ryzyko. Z własnych powodów.
 - Jak dorosły?
 - Och, cicho! Źle działasz na moją próżność, McGee!
 - Skup się na swojej pięćsetdolarowej premii.
- Długo się zastanawiała, po czym wzruszyła ramionami na znak zgody.
- Niech tak będzie, drużyno. Jaki jest twój program na sobotę?
 - Zamierzam się spotkać z Terry Drummond, szwagierką Charliego Armistera. Mam nadzieję, że zdobędę jakieś wskazówki. Gotowa? Chodźmy na spacer.

Poszliśmy Piątą Aleją, rozmawiając przyjaźnie i opowiadając żarciki, które wydawały się zabawniejsze niż w rzeczywistości, a potem wstąpiliśmy na ostatniego drinka do baru u George'a w hotelu Algonquin. Wreszcie złapałem taksówkę i odwoziłem ją do domu. Kiedy dotarliśmy na miejsce, poprosiłem kierowcę, by zaczekał, i odprowadziłem ją do drzwi.

– Tchórz! – szepnęła, cmoknęła mnie w policzek jak dziecko i zaczęła wchodzić po schodach, ostentacyjnie, kokieteryjnie poruszając biodrami, co robiło komiczne wrażenie. Po chwili się odwróciła, pomachała mi ręką, uśmiechnęła się i pobiegła na górę.

Za dziesięć jedenasta zadzwoniłem przez hotelowy telefon do pani Drummond, która zaprosiła mnie na górę. W salonie jej niewielkiego apartamentu znajdował się jakiś mężczyzna. Nosił okulary w drucianej oprawce, miał wysokie czoło i zachowywał się z pełną szacunku uprzejmością. Przedstawiła go jako mecenasa Kinga.

– O czym chciałby pan ze mną rozmawiać? – spytała. Była wysoka i szczupła, ciemnoskóra jak Indianka Navaho. Miała czarne, przyprószone siwizną włosy upięte w beztroski kok. Nosiła dopasowane szare spodnie, złote sandały i jedwabną bluzkę z rękawami trzy czwarte w niezwykłym szarozielonym odcieniu, który podkreślał żywą, zaskakującą zieleń jej dużych oczu. Zachowała szczupłą, zgrabną figurę, delikatną jak u młodej dziewczyny. Nawet grzbiety smukłych dłoni wyglądały młodo. Ale lata pozostawiły ślady na jej twarzy, która była pomarszczona i brązowa jak u małpy. Miała młode zielone oczy i głęboki głos, ochrypli od whisky i tytoniu. Palila papierosa w męski sposób.

Spojrzałem na Kinga, a Terry Drummond rzekła:

– Mecenas King również chciałby wiedzieć, o co chodzi.

Czasem należy podjąć ryzyko bardzo szybko, nim człowiek zdąży się przestraszyć.

– Chcę wiedzieć, co się dzieje z Charliem Armisterem.

– Dlaczego?

– To przysługa dla przyjaciela. Może przy okazji, korzystając z zamieszania, uda mi się zarobić trochę pieniędzy.

– Chcesz go naciągnąć, chłopcze?

– Nie za wszelką cenę, pani Drummond.

Odwróciła się w stronę Kinga.

– Możesz już iść, mój drogi.

– Myślę, że powinienem...

– Proszę.

– Ale z uwagi na to, co pan McGee...

Podeszła do niego powolnym, wdzięcznym krokiem, poklepała po policzku, wzięła za ramię i odprowadziła do drzwi.

– Będę z tobą w kontakcie.

Opuścił pokój z wyraźnym wahaniem. Podeszła do niskiego biurka, usiadła na blacie i zaczęła machać smukłymi nogami.

– To mój adwokat – wyjaśniła, uśmiechając się do mnie jak małpa. – Jest strasznie troskliwy. Ludzie miewają okropne pomysły i lubię go mieć w pobliżu, gdy muszę kogoś ocenić.

– Czy wyglądam aż tak nieszkodliwie?

– Wcale nie, mój drogi. Ale zadzwoniła do mnie stara Connie Thatcher i powiedziała, że jeśli do mnie przyjdiesz, powinnam być dla ciebie miła, bo jesteś kochany. Obawiałam się, że jesteś taki sam jak inni sympatyczni młodzi mężczyźni. Nie doceniłam Connie. Nazwała cię zbójem. Przygotuj mi drinka, kochany. Gin Plymouth na dwa palce i jedna kostka lodu.

Patrzyła na mnie w milczeniu, gdy napełniałem szklaneczkę. Kiedy podałem jej drinka, chwyciła mnie wolną ręką za nadgarstek. Jej palce były szczupłe, gorące i silne. Machinalnie nie pozwoliłem obrócić sobie dłoni. Natychmiast mnie puściła i się uśmiechnęła. Poczuję się jak koń, który wygrał próbny wyścig; zajrzała mi w zęby przed zaproponowaniem ceny.

– Jesteś silnym zwierzęciem, Trav. Connie twierdzi, że tak się skraca twoje imię. Mów do mnie Terry. Nie pijesz?

– Nie teraz, dziękuję.

– Obraziłam cię, prawda?

– Przyczep mi do uzdy niebieską wstążkę i każ mnie odprowadzić do stajni.

Roześmiała się basowo.

– Czego się po mnie spodziewasz, kochany? Nieśmiałości, na litość boską?! Jestem prostą, szczerą kobietą, która ocenia walory dobrej klasy ogiera. Rzadko spotykam mężczyzn twojego gatunku. Najczęściej to ładni chłopcy, nudne umięśnione woły albo starzejące się mięczaki. Ładnie się poruszasz, McGee. Podobają mi się twoje głęboko osadzone szare oczy, twarde zarysy szczęki i zmysłowe usta. Uganiaasz się za dziewczynami?

– Naturalnie.

– Jestem dla ciebie za stara, słodziutki. Ale nie za stara, by nie myśleć o przespaniu się z tobą. – Zamieszała drinka palcem, a potem go oblizała. – Connie nie mówiła ci, że słynę z obcesowości?

– Na pewno bardzo się starasz, Terry.

Lśniące zielone oczy zwęziły się na moment, a potem się roześmiała.

– To ja powinnam wyprowadzać cię z równowagi, kochany, a nie ty mnie.

– Więc przyjmijmy, że mamy remis. Jestem możliwym do zaakceptowania ogierem, a ty Miss Universe od szyi w dół. Gdybyśmy mieli kiedykolwiek pójść ze sobą do łóżka, prawdopodobnie stwierdzilibyśmy, że jesteśmy w tym niezli. Ale przyszedłem porozmawiać o Charliem.

– Bezczelny z ciebie sukinsyn, co?

– Jasne. Oboje jesteśmy kalekami emocjonalnymi, Terry. Nigdy się nie ożeniłem, a ty stale się rozwodzisz, więc może jedyne, co mamy, to to, że jesteśmy niezli w łóżku, ale to cholernie jałowe. Porozmawiajmy o Charliem, dobrze?

Zeskoczyła z biurka, spojrzała na mnie z wściekłością, a w jej oczach pojawiły się łzy. Po chwili wybiegła do sypialni i zatrzasnęła drzwi.

Podszedłem do barku i przygotowałem sobie słabego drinka. Stałem z nim przy oknie i przyglądałem się ludziom spacerującym parkowymi alejkami. Zerknąłem na czasopisma leżące na stoliku do kawy, usiadłem i przejrzałem jedno z nich. Znajdowały się w nim znakomite kolorowe reprodukcje trzech ostatnich obrazów Antoniego Tapiesa – spalone słońcem, wysuszone, wzniosłe, chwytające za serce krajobrazy jego ojczystej Hiszpanii.

Marzyłem o posiadaniu takiego malowidła. Mógłbym uwieść kobietę o małpiej twarzy i wyciągnąć od niej mnóstwo pieniędzy; kupiłaby mi jeden z tych obrazów w prezencie. A do tego ubrania. Bardzo szybko zacząłbym wyglądać jak pedałowaty instruktor narciarski. Zabrałaby mnie do Aten. Teresa Howlan Gernhardt Delancy Drummond McGee. Zastanawiałem się, ile godzin dziennie musi poświęcać, by utrzymać taką wspaniałą figurę. Dieta, sauna, masaże, ćwiczenia, toniki, hormony, trening oparty na dynamicie napięcia. I mnóstwo seksu – najskuteczniejszego środka wyszczuplającego. Od szyi w dół była żeńskim odpowiednikiem Doriana Graya, drżącym ze strachu przed magiczną chwilą, gdy nagle z dnia na dzień staną się widoczne wszystkie jej ekscesy.

Po dwudziestu minutach otworzyła ostrożnie drzwi i spojrzała na mnie. Jej brązowa twarz była nieco opuchnięta.

– Och... – westchnęła.

– Powinienem był wyjść?

– Nie bądź idiotą.

– Gin na dwa palce z jedną kostką lodu?

– Proszę. – Usiadła w wysokim fotelu przy oknie. Podałem jej drinka. Popatrzyła na mnie z bladym uśmiechem. – Wiesz, McGee, jesteś doskonałym środkiem wymiotnym. Wielkim, grubym paluchem tkwiącym w moim gardle.

Uśmiechnąłem się.

– Nie chciałaś się zadowolić remisem. Koniecznie musiałaś mnie prowokować, Terry.

– W porządku. Okazałeś się dominującym samcem. To ty wszystkim rządzisz. Ale nikt nie mówi do mnie w ten sposób.

– Bo jesteś bogata. Wszyscy twoi znajomi strasznie się tym przejmują. Bogacze są jak przybysze z kosmosu.

– A ty się nie przejmujesz?

– Oczywiście, że się przejmuję. Ale nie mogę cię naciągać i jednocześnie lizać twoje śliczne sandałki.

– Mój Boże, naprawdę czuję się przy tobie znowu jak młoda dziewczyna, Trav.

– Powinnaś czuć ulgę, że potrafisz przestać udawać.

– Chyba tak. Coś w tym rodzaju. Ale co mam robić, by się bronić?

– Zachowuj się poważnie i skromnie.

– Jezu! – Roześmiała się ochryple. – W porządku, zostaliśmy przyjaciółmi. Jeśli nie jestem dobra w takich relacjach, to dlatego, że mam niewielu przyjaciół, jak dotychczas same kobiety. – Wyciągnęła rękę. Uścisnąłem ją i usiadłam na kanapie. – Teraz możemy porozmawiać o Charliem – dodała.

– Mam nadzieję, że szczerze.

– Taki z ciebie spryciarz, co? Cholerny Charlie. Charles McKewn Armister Czwarty. Moja siostra Joanna jest w tym samym wieku co on. Byli do siebie dość podobni: krzepcy, spokojni, uśmiechnięci. Marzyciele snujący poważne plany. W wieku dwunastu, trzynastu, czternastu lat grali razem w tenisa i zdobyli wszystkie możliwe puchary w turniejach klubowych. Byli prawie niepokonani w mikście. Wszyscy wiedzieli, że się pobiorą

i będą mieć zdrowe piękne dzieci, co okazało się prawdą. Byłam niemłą nastolatką, dwa lata starszą. Kiedy Charlie miał szesnaście lat, a ja osiemnaście, próbowałam go uwieść. Tak naprawdę wcale mi na nim nie zależało. Robiłam to dla żartu. Zawsze wydawał mi się dziwnie bezpłciowy. Może byłam po prostu ciekawa? Charlie cholernie długo się nie domyślał, o co chodzi, a kiedy wreszcie go olśniło, wpadł w przerażenie. Spanikował i uciekł. Kiedyś myślałam, że postępowałam strasznie źle, ale byłam po prostu głupia, nieszczęśliwa i lekkomyślna. Musiałam załatwić sobie aborcję w Bostonie, dostałam sepsy i o mało nie umarłam. Zastanawiam się, kim mogłoby być to dziecko, gdybym je urodziła. Ale to nie historia Charliego, prawda?

Wróćmy do Charliego. Rzadko się widywałam z nim i z Joanną. W moim parszywym, skomplikowanym życiu wydawali się miłym, dalekim symbolem normalności. Byłam nieokrzesana, a Joanna grzeczna. A teraz ona siedzi w swoim brzydkim szarym zamku na Long Island i zastanawia się, czy Charlie kiedykolwiek wróci. Chodzę tam, upijam ją i pozwalam jej się wygadać. Zawsze uważałam ich za straszliwie normalne małżeństwo. Ale było inaczej. Charlie wydawał mi się jednym z tych rubasznych mężczyzn, którzy najpierw wesoło klepią żonę w pupę, idą z nią do łóżka, a siedem minut później zasypiają i chrapią jak bizony. Miałam kiedyś takiego męża, Boże, zlituj się nade mną! Traktował seks tak samo jak śniadanie. Menu w ogóle go nie obchodziło: chciał po prostu zjeść normalne, zdrowe śniadanie, które nie trwa zbyt długo. Ale siostra wreszcie powiedziała mi po pijanemu, że Charlie miał straszne problemy, prawdopodobnie z powodu swojego okrutnego, romantycznego ojca, zimnego sukinsyna. U mnie było podobnie, tylko w drugą stronę. Kłębowski psychopatycznych kompleksów związanych z seksem. Często zdarzały mu się niepowodzenia w łóżku i czuł lęk, że się nie sprawdzi. Mógł uprawiać seks tylko wtedy, gdy był bardzo zmęczony lub trochę podpity. Jednak Charlie i Joanna kochali się i byli dla siebie bardzo dobrzy. Wszyscy uważali ich za normalną, szczęśliwą parę.

Rok temu Charlie przeszedł kompletne załamanie. Utrzymano to w tajemnicy. Trafił do prywatnej kliniki. Kiedy z niej wyszedł, po prostu nie wrócił do Joanny. Widziała go kilka razy. Wydawał się wesoły, trochę zbyt hałaśliwy i robił głupie dowcipy. Powiedział, że wynajął w mieście apartament i że co miesiąc na jej konto trafi odpowiednia suma pieniędzy;

wszystkie rachunki kazał jej przesyłać do biura. Tak naprawdę nie mogła się z nim porozumieć; nie było z nim kontaktu.

– Jak długo przebywał w klinice?

– Dwa i pół miesiąca.

– Odwiedzała go?

– Poinformowano ją, że to niewskazane. Podobno cierpiał na ostrą nerwicę lękową. Próbowałam się z nim skontaktować, spędziłam tam dwa tygodnie, lecz mimo to nie zdołałam się z nim zobaczyć. Nie chodzi już do żadnego ze swoich klubów. Mieszka w ogromnym apartamencie z pięcioma sypialniami na Wschodniej Siedemdziesiątej Pierwszej razem ze swoim osobistym adwokatem, Baynardem Mulliganem, prywatną sekretarką, panną Bonitą Hersch, oraz kucharką. Mają również pokojówkę i szofera. Codziennie spędza dwie godziny w swoim biurze. Kilkanaście razy zostawiałam wiadomość, by do mnie zadzwonił. Nie zrobił tego. – Wstała, podeszła do barku i przygotowała sobie kolejnego drinka. Później usiadła obok mnie ze szklaneczką w ręku i przyjrzała mi się uważnie. – A teraz zrobiłam z siebie cholerną idiotkę, opowiadając zupełnie obcemu mężczyźnie o prywatnych sprawach swojej rodziny.

– Ale nie powiedziałaś wszystkiego.

– Doprawdy?

– Podałaś fakty, lecz pominęłaś podejrzenia, Terry.

– Czy powinnam wiedzieć, jaką rolę odgrywasz w tej sprawie?

– Raczej nie.

Skinęła głową.

– W takim razie powiedz mi, co podejrzewam.

– Przemyślałaś wszystko. Jesteś dość sprytna. Niemal od urodzenia zdajesz sobie sprawę, że polują na ciebie różnego rodzaju naciągacze. Więc masz instynkt i wiesz, że coś jest nie tak. To wszystko sugeruje, że jacyś ludzie zdołali uzyskać wpływ na Charliego Armistera, przykleili się do niego. Mają nad nim pełną kontrolę. Widziałaś kiedyś minoga?

– Co takiego?

– To ryba podobna do węgorza. Ukrywa się w wodorostach na dnie jeziora. Czasami czeka bardzo długo. Kiedy obok przepływa duży pstrąg, minóg wyskakuje i chwytą okrągłą zębatą paszczą biały brzuch ryby. Pstrąg walczy przez chwilę, a potem rezygnuje i zajmuje się swoimi sprawami, holu-

jąc minoga. Pływa, je i żyje jeszcze długo, ale staje się coraz chudszy i słabszy. Kiedy umiera, minóg odchodzi i wraca między wodorosty.

– Mulligan?

– A także Bonita Hersch i grupa niezbędnych pomocników. To duży, skomplikowany spisek. Nie jednorazowa kradzież, tylko rodzaj symbiozy.

– Myślisz, że naprawdę tak jest?

– Po pierwsze, od roku likwidują zyskowe interesy i nie robią nowych inwestycji kapitałowych. Po drugie, pracował tam uczciwy młody człowiek, który uparcie próbował się dowiedzieć, co się naprawdę dzieje, ale dwa miesiące temu został napadnięty na ulicy i zabity.

Wytrzeszczyła na mnie oczy.

– Zwariowałeś?!

– Im większe zyski, tym większe ryzyko.

– Ale... Jeśli kontrolują Charliego, powinniśmy natychmiast iść na policję!

– Jasne. Co powiemy?

– Oskarżymy Baynarda Mulligana o spisek!

– I każemy go aresztować?

– Naturalnie.

– Nawet gdybyśmy zdołali w jakiś sposób wymusić przeprowadzenie audytu ksiąg rachunkowych, okazałoby się, że wszystko jest w porządku i że każda podjęta przez nich decyzja jest usprawiedliwiona. Charlie prawdopodobnie by się wściekł, a Mulligan wytoczył nam obojgu dziesięć procesów sądowych. To, co się dzieje, zapewne odbywa się za zgodą Charliego. Nie można przez długi czas kontrolować człowieka wbrew jego woli. Złapali go na haczyk i postarali się, żeby był zadowolony.

– Haczyk?

– Może go od czegoś uzależnili? Na przykład od demerolu podawanego doustnie. To syntetyczny twardy narkotyk, który uzależnia dwa razy silniej od heroiny. Byłby absolutnie szczęśliwy i całkowicie zależny od jedyne go znanego źródła.

– Jakie to wstrętne! Okropne!

– To tylko domysły. Twierdzę po prostu, że nie należy tego wykluczać. Dysponując nieograniczonym źródłem demerolu, mogliby go utrzymywać w dobrej kondycji fizycznej przez bardzo długi czas. Wystarczająco długo, aby zdefraudować mnóstwo pieniędzy, Terry.

– Cholernie mnie przestraszyłeś, Trav.

– Właśnie o to mi chodziło. Nie chcę, żebyś zrobiła coś lekkomyślnego. Nie wolno ich przedwcześnie alarmować.

– Kiedy doszedłeś do wniosku, że może chodzić o coś takiego?

– Gdy opowiadałaś o Charliem.

– Ostatni brakujący element układanki?

– Nie. Trzeba znaleźć jeszcze kilka.

– Co zamierzasz zrobić? Chciałabym pomóc.

– Będę szukać słabego ogniwa. Kogoś, kto coś wie i zgodzi się mówić. Nie mam pojęcia, jak mogłabyś pomóc. Najlepsza rzecz, jaką możesz zrobić, to trzymać język za zębami.

Zacisnęła usta i skinęła głową.

– Tak. Tak, oczywiście, Trav. Natknąłeś się na to przypadkowo?

– Siostra mojego najlepszego przyjaciela była zaręczona z chłopakiem, który został zabity.

– Ach...

– Nie znam świata bogaczy. Możesz być moją przewodniczką. Na jej twarzy znów pojawił się mały uśmiech.

– Jesteśmy tacy sami jak wszyscy – rzuciła. – Czy Hemingway nie powiedział czegoś takiego Fitzgeraldowi?

Jesteśmy tacy sami jak wszyscy, tylko mamy więcej pieniędzy. Moim zdaniem doskonale sobie z nami radzisz. Cóż, może nie jesteś miły, ale bezpośredni. – Uniosła szklaneczkę. – Jeszcze trochę tego samego.

Przygotowałem drinka i gdy podawałem go Terry, popatrzyłem na nią uważnie, by sprawdzić, czy widać skutki dotychczas wypitego alkoholu. Zielone oczy były jasne i czujne. Wargi nie obwisły.

Miałem przed sobą międzynarodową wiedźmę, specjalny podgatunek gwiazd show-biznesu. Kiedyś opowiadała mi o tym dziewczyna mająca kilka milionów dolarów. Porównywała to do góry lodowej.

Prawdziwa elita skrywa się pod powierzchnią, niewidoczna. Może jak w wypadku Charliego i Joanny Armisterów w latach, gdy byli razem. I starej Connie. Ludzie, którzy stają się publicznie znani, bo wywołują skandale, to margines. Niespokojne duchy jak Terry Drummond, wątpliwi arystokraci, nowobogacy wylegujący się na pokładach luksusowych jachtów z seksbombami obu płci, patrzący ze znudzeniem w obiektywy aparatów fotografów robiących zdjęcia do kronik towarzyskich. Moja milionerka nazywała

ich „farukersami” – tego słowa używają członkowie amerykańskiej śmietanki towarzyskiej, gdy mówią o ludziach wykorzystujących swoje pieniądze w sposób wulgarny i ostentacyjny. Zielonooka Terry nie była wcale taka elegancka. Miała zbyt wiele zbyt głośnych przygód, zbyt często się rozwodziła, robiła za dużo scen, jej wiecznie dziewczęcy tyłek był zanadto aktywny. Kiedyś może było w niej coś wzruszająco samotnego, ukryta bezbronność, ale teraz otaczał ją kokon blizn po dawnych romansach i mogła tylko udawać emocje, które jej zdaniem powinna odczuwać.

Ale nie straciła wrażliwości na nastroje i opinie. Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Nie mów mi, że jesteś tak bardzo konwencjonalny, McGee.

– Co masz na myśli?

– Czy nie wyczułam ponurej drobnomieszczańskiej dezaprobaty?

– Drobnomieszczańskiej ciekawości – sprostowałem.

– Próbowałam wszystkiego, i to dwukrotnie, kochany. Czy to satysfakcjonująca odpowiedź? – Jej śmiech zabrzmiał gardłowo, a oczy były równie stare jak Egipt.

– Zastanawiałem się po prostu, jak możesz wypić tyle ginu i zachowywać się w taki dziewczęcy sposób.

– Ach, o to chodzi! Boże! To moje jedyne źródło kalorii, mój drogi! Przestałam jeść dawno temu. Moja pokojówka, mój skarb, dwa razy dziennie przygotowuje mi ohydnapapkę zawierającą białko, substancje mineralne i witaminy, a ja grzecznie ją połykam. Mój organizm znajduje się w stanie idealnej równowagi, kotku. Zahartowałam się i jestem prawdziwym okazem zdrowia. Lekki rausz nie zaburza mojej świadomości i mogę normalnie funkcjonować. Dziś o trzeciej mam jazdę konną. Chcesz mi towarzyszyć? Na weekend wybieram się do Connecticut. Wrócilibyśmy w poniedziałek przed południem. Mielibyśmy czas, by szczegółowo podyskutować o tych wszystkich okropnościach.

– Nie, dziękuję. Jest tylko jedna rzecz, o której musimy podyskutować. Jak przerwać magiczny krąg? Od czego zacząć? Jaki temat dać na pierwszą stronę?

Zacisnęła wargi i przyłożyła smukły palec do nosa.

– Mmm. A może zaprosiłabym pannę Hersch na kolację? Jako sekretarka powinna być oczarowana. Poprosiłabym, by pomogła pogodzić Charliego

z moją siostrą. Na Boga, mogłabym nawet zaproponować jej łapówkę i zobaczyć, co się stanie! Co o tym sądzisz, Trav?

– Myślę, że to byłoby ciekawe. Przypadkiem bym do was dołączył. Ale czy mogę ci zaufać? Nie pozwolisz jej się domyślić, że podejrzewasz, iż pomaga Mulliganowi oskubać Charliego?

– Pytasz, mój drogi, czy jestem zdolna do intryg?

– Coś w tym rodzaju.

– McGee, kochany, masz przed sobą mistrzynię intryg. Potrafię być tak przewrotna, że sama nie mogę tego znieść.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Kiedyś pewna seksowna flądra zalecała się do mojego trzeciego męża i pozbyłam się jej, aranżując jej małżeństwo z młodszym bratem mojego drugiego męża. A potem namówiłam jednego ze swoich przyjaciół, by zaproponował mu pracę w Brazylii. Nikt się nigdy nie domyślił, że miałam z tym coś wspólnego.

– Niezwykłe.

– Jeśli nie potrafiłabym sobie poradzić z jakąś tłustą, tępą, drobną urzędniczką, oznaczałoby to, kotku, że w ogóle do niczego się nie nadaję.

– Myślisz, że mogłabyś się z nią umówić na poniedziałek?

– Spróbuję.

– A jeśli się nie zgodzi?

Wydawała się rozbawiona.

– Drogi chłopcze, wyobraź sobie, że jesteś dwunastoletnim początkującym graczem w baseball i zaprasza cię na lunch Mickey Mantle. Odmówiłbyś?

– Masz rację.

Wygięła lekko plecy.

– Gram w pierwszej lidze.

6

W sobotę po południu poszedłem obejrzeć apartament Armistera przy Wschodniej Siedemdziesiątej Pierwszej. Budynek wydawał się dość nowy, może dziesięcioletni. Miał baldachim nad wejściem, portiera, wypielegnowane klomby obsadzone roślinami ozdobnymi, recepcję, a w foyer pokrytym boazerią kilka pretensjonalnych rzeźb z brązu. Zajrzałem do środka i natychmiast wyszedłem. W takich budynkach mieszkańcy płacą za izolację, a pracownicy mają chłodne oczy. Widzieli różne sztuczki i potrafią sobie z nimi radzić.

Odszukałem uliczkę prowadzącą na tyły budynku. Znajdowała się tam szeroka rampa prowadząca do podziemnego parkingu. Zszedłem na dół. W świetle lamp umieszczonych na suficie lśniły duże luksusowe samochody. Za klatką z drucianej siatki znajdowały się drzwi wind; obok nich pod osłoniętą lampą siedział stary mężczyzna. W miejscu przeznaczonym do mycia samochodów zobaczyłem Murzyna, który powoli, starannie polerował ciemnozieloną lancję.

– Czy mógłbym panu w czymś pomóc? – spytał stary człowiek.

– Owszem. Mam odebrać mercedesa pana Thayera. Uprzedzano pana o tym.

– Słucham?

– Czarny mercedes 300 SL. Powinien być gotowy do jazdy.

– Pana Thayera?

– Zgadza się.

– Chyba pomylił pan adres, proszę pana.

– To dom numer dwadzieścia jeden?

– Tak, ale nie mieszka u nas żaden pan Thayer.

– Przepraszam, czy mógłbym skorzystać z telefonu?

– Jasne, proszę.

Odszukałem numer Niny. Wiedziałem, że jest w tej chwili w biurze. Wykręciłem numer, odczekałem dziesięć dzwonek i odłożyłem słuchawkę.

– Teraz sam nie wiem, co robić – rzekłem. – Są na wsi i kazali mi sprowadzić samochód.

– Jest pan pewien, że chodzi o Wschodnią Siedemdziesiątą Pierwszą?

– Tak mi powiedziano.

– Dostał pan zły adres.

– Może mógłbym odczekać kilka minut i zadzwonić jeszcze raz?

– Żadnych rozmów zamiejscowych.

– Oczywiście, że nie.

Z windy wyszły dwie młode dziewczyny. Murzyn wycofał tyłem lancię z miejsca przeznaczonego do mycia samochodów i złożył dach. Odjechały rampą z głośnym warkotem. Do garażu, pogwizdując, wszedł dostawca paczek, przywitał się ze starym mężczyzną i ruszył schodami do wejścia służbowego do foyer. Stałem po drugiej stronie klatki i zacząłem oglądać plan garażu z nazwiskami właścicieli miejsc parkingowych.

– Nie ma tam żadnego Thayera – rzekł stary człowiek.

– Przekonał mnie pan o tym, przyjacielu. Jak ma na imię pan Armister?

– Charles.

Zauważyłem miejsce parkingowe oznaczone nazwiskiem Mulligan, niedaleko od miejsca Armistera. Przy obu znajdował się numer apartamentu dziewięć A.

Mężczyzna wydawał się zaniepokojony, że studiuje plan. Znów próbowałem zadzwonić i znów nie uzyskałem połączenia.

– To śmieszne – powiedziałem, gdy wtem zadzwieczał służbowy telefon starego człowieka.

– Tu garaż. Tak, proszę pana. Już się robi – rzekł mężczyzna, odłożył słuchawkę i zawołał do Murzyna: – Dobie, podjedź szybko cadillakiem do frontowych drzwi. – Odwrócił się w moją stronę i dodał: – Jeśli zdoła go uruchomić. Nie używają tego wozu od półtora miesiąca.

Właśnie na to zawsze czekamy i liczymy: na okazję stworzoną przez innego człowieka.

– Jak się nie ma szofera, samochód w Nowym Jorku to straszny kłopot – powiedziałem.

– Mamy około piętnastu aut prowadzonych przez szoferów. Właśnie one najczęściej jeżdżą.

Na rampę wjechał cadillac; jego silnik pracował trochę nierówno.

– To kosztuje mnóstwo pieniędzy – rzuciłem.

– W tym domu jest dużo pieniędzy, proszę pana. Chce się płakać, gdy się o tym myśli. Weźmy na przykład pana Armistera, którego nazwisko pan zauważył. Mógłby mieć dziesięciu szoferów i nawet by nie zauważył wydatku.

– Ale męczy się z jednym, co?

– Zgadza się. Jego szoferem jest Harris, najpodlejszy sukinsyn, jakiego kiedykolwiek... – Urwał, zorientowawszy się, że powiedział za dużo. Zmrużył oczy. – Czy w książce telefonicznej jest adres tego pana Thayera?

– Numer zastrzeżony.

Poruszył się nerwowo na krześle.

– Oni nie lubią, gdy ktoś się tu kręci, proszę pana.

– W porządku. Dzięki za pomoc.

– Powodzenia.

Poszedłem piechotą do biurowca Niny na Park Avenue. Panowała sobotnia cisza, w której rozbrzmiewało echo moich kroków. Wsiadłem do jednej z automatycznych wind. Muzyka była wyłączona. Kilka razy zastukałem do drzwi w korytarzu i wreszcie wpuściła mnie chuda rudowłosa dziewczyna w fartuchu roboczym. Paliła niewielkie cygaro. Zaprowadziła mnie do Niny, do zagraconych pomieszczeń, gdzie projektowano plastikowe butelki na płyny do mycia naczyń. Nina miała ciemną plamę na podbródku. Z radia stojącego na stole dobiegała muzyka stacji WQXR – suchy, żyłasty, atonalny utwór. Patrzyłem, jak Nina pracuje, aż powiedziała, że moja obecność wytrąca ją z równowagi. Wyszedłem i wypłem piwo z rudą dziewczyną. Było letnie, korzystaliśmy z papierowych kubeczków. Rozmawialiśmy o nowym realizmie, używając brzydkich słów.

Nina zabrała mnie i wyszliśmy na dwór. Zrobiło się zimno, w późnym popołudniowym słońcu widać było pierwsze słabe, niewyraźne oznaki zimy. Dotarliśmy do hotelu, w którym rozmawialiśmy po raz pierwszy. Ponieważ od tamtej pory staliśmy się dla siebie innymi ludźmi, czuliśmy się jak w innym miejscu. Było pustawo. Siedzieliśmy przy zakrzywionym ba-

rze pokrytym skórą. Moja dziewczyna pijąca whisky, nieskażona, z pięknymi błękitnymi oczami.

Zdumiało mnie, że tak ją interesuje Teresa Howlan Gernhardt Delancy Drummond. Głos, włosy, ubranie, każdy niuans rozmowy.

– Powiedziałeś jej coś takiego! – Przerażenie. Konsternacja.

Na początku mnie to bawiło, lecz potem poczułem irytację.

– Nie zeszła z Olimpu, kotku. Topo prostu niespokojna kobieta, to wszystko. Nigdy nie musiała dorosnąć. Przez długi czas była tylko ozdobą. Teraz już mniej. A gdy nie ma już ogierów, zostają tylko zielone oczy, pieniądze i gin.

Będzie bardzo męczącą staruszką o cholerycznym temperamencie.

– Dlaczego próbujesz ją obrazić?

– Nie obrażam, Nino, naprawdę. Nie zachowuj się jak uczennica mówiąca o gwiazdzie filmowej. Terry nie zasługuje, by tak się nią fascynować.

– Przestań mnie traktować protekcyjnie. Może nie posiadam twoich zalet, McGee. Jestem prostą dziewczyną z Kansas z dyplomem Pratt Institute. Bywam naiwna, gdy mówię o celebrytach opisywanych w gazetach.

– O co my się właściwie kłócimy?

– O to, że okazałam zupełnie zrozumiałą ciekawość...

– Nośła szmaragd wielki jak torebka do parzenia herbaty.

– Gdzie? Na pasku od spodni?

– W pępku, moja droga.

Popatrzyła na mnie, po czym nagle się roześmiała.

– W porządku, Travis, wygrałeś. Spróbuję przestać udawać, że jestem zafascynowana.

Atmosfera zaczęła się poprawiać. Opowiedziałem jej o wizycie w apartamentowcu Armistera, o ścisłej izolacji mieszkańców. Zapadł chłodny, błękitny zmierzch i poszliśmy do mieszkania Niny. Po drodze układaliśmy plany. Nie widziałem sposobu, by przyspieszyć rozwój wypadków. Musiałem poczekać na lunch Terry z Bonitą Hersch. Mieliśmy wolny sobotni wieczór i postanowiliśmy, że Nina przebierze się w swoim mieszkaniu, a ja zacze-
kam, po czym pójdziemy do mojego hotelu, zostawię ją w jednym z barów koktajlowych, a potem z kolei ja zmienię ubranie. Przyjaciele Niny urządzali przyjęcie w Greenwich Village; zamierzaliśmy wpaść do nich po kolacji i zostać, jeśli atmosfera okaże się przyjemna, lub wyjść, gdyby było inaczej.

Znowu wspięliśmy się po schodach. Nina wyjęła klucz, lecz okazało się to niepotrzebne. Zamek był nienaruszony, lecz framugę wyrwano ze ściany. Otworzyła drzwi, zapaliła światło i wydała okrzyk przerażenia. Wyciągnąłem ją na korytarz i szybko rozejrzałem się po mieszkaniu, by się upewnić, że nie przerwaliśmy komuś pracy. Wszystkie pokoje dokładnie, metodycznie przeszukano. Nieznany intruz wysypał na podłogę zawartość każdej szuflady, opróżnił szafy. Nina biegała po mieszkaniu, wydając ciche okrzyki gniewu i oburzenia. Nie zauważyłem śladów wandalizmu. Kiedy mnie mijiała, chwyciłem ją za rękę i potrząsałem.

– Hej! Puść mnie!

– Uspokój się. Sprawdź kosztowności.

Pośpieszyła do sypialni. Poszedłem za nią. Biurko odsunięto od ściany i wyciągnięto z niego wszystkie szuflady. Nina usiadła na podłodze i zaczęła grzebać w stosie swoich rzeczy. Umieściłem szuflady na miejscu i przysunąłem biurko do ściany. Znalazła kasetkę pokrytą czerwoną skórą, w której przechowywała biżuterię. Otworzyła ją i przejrzała pośpiesznie.

Uniosła na mnie wzrok i powiedziała:

– Niczego nie brakuje!

– Jesteś pewna?

– Oczywiście, że tak. To złoty łańcuch. Zobacz, jaki ciężki. Jest warty dwieście dolarów. – Nagle krzyknęła cicho i pobiegła do małej kuchni. Wszystko leżało na podłodze. Rozejrzała się, znalazła kopertę i zerknęła do środka. – O cholera! Pieniądze zniknęły!

– Ile?

– Ponad dwieście dolarów, może dwieście pięćdziesiąt. Chowałam do tej koperty pięciodolarówki, zbierając na etolę z nerek. Cholera!

Kazałem jej starannie sprawdzić całe mieszkanie. Była tak wściekła, że z trudem zachowywała się racjonalnie, ale w końcu ustaliliśmy, iż skradziono jedynie pieniądze. Fotele odwrócono do góry nogami i przecięto tapicerkę. Postawiłem jeden z nich w normalnej pozycji, po czym kazałem Ninie usiąść i spróbować się uspokoić. Obejrzałem mieszkanie kompetentnym okiem; miałem już do czynienia z włamaniami.

– Ucisz się na chwilę, Nino. Przedostanie się przez drzwi na dole nie jest trudne. Wystarczy dzwonić przez domofon, aż ktoś otworzy. Również twoje drzwi nie stanowiły problemu. – Dokładnie obejrzałem ślady włamania. –

Ktoś po prostu je wyważył niewielkim łomem. Złodziej działał szybko i dokładnie.

– To moje mieszkanie! – rzuciła ostro. – Nikt nie ma prawa...

– Mamy pewien problem – przerwałem jej.

– Nikt nie ma prawa... Co takiego? Jaki problem?

– Albo złodzieje byli głupi, albo w ogóle nie starali się udawać.

– O co ci chodzi?

– W czasie normalnego włamania złodzieje przede wszystkim przeszukują miejsca, gdzie ludzie trzymają kosztowności. Szuflady w sypialni i w biurku, szafki kuchenne, półki w szafach. Nikt nie przewraca kanapy i nie rozcina siedzeń foteli. Szukali dziesięciu tysięcy dolarów.

– Ponad dwa miesiące później?

– Spróbuj wymyślić inne rozwiązanie. Natknęli się na niewielką kwotę w gotówce i zabrali ją. Dlaczego nie? To jak znalezienie dziesięciocentówki na chodniku. Gdyby chcieli, by wyglądało to jak normalne włamanie, zabraliby twoją biżuterię wartości kilkuset dolarów, aparat fotograficzny, radio; później, gdyby woleli nie ryzykować ich sprzedaży, mogliby je wyrzucić na śmieci. Jeśliby Plummer nie zostawił tu dziesięciu tysięcy, cała ta sprawa byłaby wielką zagadką. A gdybyś mi ich nie dała, znikłyby na zawsze i prawdopodobnie w mieszkaniu pozostałoby znacznie mniej śladów. Na początku złodziej przejrzał oczywiste miejsca.

– Dlaczego jesteś tego taki pewien?

– Nie jestem. Po prostu próbuję to sensownie wyjaśnić. Mogę sformułować jeszcze jedną hipotezę.

– Tak?

– Jak powiedziałaś, minęły dwa miesiące. Ktoś wiedział, że Plummer ma dziesięć tysięcy dolarów. Mogła je znaleźć i po cichu zabrać jego siostra, kiedy likwidowała mieszkanie brata. Większość ludzi postąpiłaby właśnie w ten sposób. Ktokolwiek się do ciebie włamał, musiał wiedzieć, że siostra nie ma tych pieniędzy i że nie zabrała ich do Kalifornii. Może mieszkanie Plummera przeszukano przed jej przyjazdem?

– Tak jak moje? Nic o tym nie słyszałam.

– W jakim byłaś stanie?

Zamknęła na chwilę oczy.

– Kompletnie zagubiona.

– Kto mógłby coś o tym wiedzieć?

Otrząsnęła się ze smutnych wspomnień.

– Danny, Danny Gryson. Bardzo mi pomógł.

Zatelefonowała do Grysona i złapała go tuż przed wyjściem z domu. Rozmawiała z nim przez kilka minut z nutą smutku w głosie; brzmiały w nim delikatne żałobne tony. Przygotowałem dwa drinki. Kiedy odłożyła słuchawkę, spojrzała na mnie, przygryzła wargę i pochyliła głowę.

– Kochany, powinnam przestać krytykować twoje domysły. W tamtą niedzielę ktoś się włamał do mieszkania Howiego i przewrócił wszystko do góry nogami. Danny nie zauważył, by coś zginęło. Ledwo zdążył posprzątać mieszkanie, od razu pojechał na lotnisko po Grace. Żona Danny’ego, Sally, siedziała tu ze mną; dostałam środki uspokajające. Danny nie zgłosił włamania na policję.

– Postąpił cholernie głupio. Nie zdawał sobie sprawy, że może istnieć związek między włamaniem a śmiercią Plummera?

– Howie padł ofiarą zwykłego napadu. Nikt nic nie wiedział o żadnych pieniądzach. I tyle się działo.

Ustawiłem sofę w normalnej pozycji i usiadłem.

– Coś tu się nie zgadza, Nino. Coś się zupełnie nie trzyma kupy, do licha!

– Dlaczego?

– Twój narzeczony stał się zagrożeniem dla bardzo wielkiego przedsięwzięcia. Chodzi o miliony dolarów. Załóżmy, że w sprytny sposób usunięto go z drogi. Dlaczego bardzo inteligentni ludzie, którzy kradną miliony, mieliby się narażać na niebezpieczeństwo, przeszukując mieszkanie Plummera nazajutrz po jego śmierci?

– Może myśleli, że opisał metodę kradzieży, i szukali jego notatek?

– Więc dlaczego ktoś splądrował twoje mieszkanie dwa miesiące później? Nie, kotku. Moim zdaniem sytuacja wygląda obiecująco, bo zdaje się, że ludzie kierujący tą operacją niezupełnie wszystko kontrolują. Dziesięć tysięcy dolarów to dla nich drobna kwota, ale może być znaczącą sumą dla jednego z ich podwładnych.

– Albo dla kogoś, kto był w zмовie z Howiem – rzekła cichym, napiętym głosem. Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że jest bliska płaczu.

– Daj spokój, Nino.

– Przepraszam. Czasami po prostu...

– Zabierzmy się do sprzątnia.

Zajęło to dużo czasu. Nina miała tani młotek i trochę gwoździ tapicerskich. Prowizorycznie naprawiłem drzwi i przybiłem oderwane obicia do spodnich części foteli. Kiedy doprowadziliśmy do porządku kuchnię, Nina rozłożyła na stole rzeczy, które przyniosłem z delikatesów. Był to rodzaj pikniku w trakcie sprzątanía. Nina nastawiła gramofon. Grecka muzyka ludowa. Dzieci Pireusu. Czuję się bardzo przyjemnie. Drinki, niewielkie pikantne kanapki, muzyka i wspólna praca.

Czekałem, aż coś powie. Układałem książki na półkach, a ona weszła do salonu i rzekła:

– Hej, Trav, to nie powinno wyglądać ładniej niż przedtem. Byłby to straszny komentarz na temat mojego... – Urwała i zauważyłem, że marszczy czoło. – Trav? – odezwała się po chwili milczenia.

– Tak, kochanie?

– Zawiadomimy policję?

– Nie.

– Gdybym nie wiedziała o dziesięciu tysiącach dolarów, natychmiast bym to zrobiła, prawda? Byłoby to naturalne.

– Owszem.

– Więc czy włamywacz nie będzie się zastanawiał, czy zawiadomię policję?

– Prawdopodobnie.

– Jeśli tego nie zrobię, czy nie pomyśli, że coś wiem o dziesięciu tysiącach dolarów?

– Nie można tego wykluczyć.

Usiadła na pobliskim stołku, położyła zaciśnięte ręce na kolanach i spojrzała na mnie, unosząc ciemne brwi.

– Co chcesz zrobić? Wykorzystać mnie jako przynętę?

– W jakiś sposób tak. Złodziej przyszedł tu dopiero po dwóch miesiącach. Przez ten czas mogłaś wydać większość pieniędzy. Tak czy inaczej, zawsze możemy zawiadomić policję. Zostaw kilka rozbebeszonych szuflad.

Przygryzła kciuk.

– Ale jeśli tego nie zrobimy, sprawy potoczą się szybciej?

– Niewykluczone. Nie dopuszczę, by coś ci się stało, Nino.

Wstała.

– W porządku. Zresztą nic mi się nie stanie. Chciałabym odzyskać pieniądze na norki. U Lois z dołu też było włamanie. Rok temu złodzieje kom-

pletnie wyczyścili jej mieszkanie. Wynieśli nawet niektóre meble. Była wtedy na wakacjach.

Wzruszyła ramionami, powoli zatoczyła krąg w takt greckiej muzyki, strzelając palcami, po czym odwróciła się i przeszła do sypialni. Po chwili podążyłem za nią i położyłem na łóżku materac, który zrzucono na podłogę. Nina zjadła kanapkę, polizała palce i usiłowała puścić do mnie oko. Nie była w tym dobra – nie potrafiła zamknąć jednego oka i otworzyć drugiego. Wyglądała, jakby miała zeza, i mrużyła oczy jak krótkowidz.

Kiedy w trakcie sprzątanía musieliśmy się minąć w wąskim przejściu, celowo trąciła mnie krągłym biodrem. Nuciała melodię dobiegającą z gramofonu. Miała zamyśloną minę; w jej wyglądzie było coś psotnego, a jednocześnie sprawiała wrażenie zadowolonej z siebie. Od czasu do czasu zerkała na mnie błękitnymi oczami. Kiedy pokazywała mi, gdzie należy schować jedną z rzeczy, przycisnęła do mojego ramienia jędrną, ciepłą pierś. Emanowała kobiecością. Znajdowaliśmy się w mieszkaniu należącym do kobiety, pełnym kobiecych zapachów i spojrzeń błękitnych oczu. Krótkie, banalne rozmowy nie miały żadnego związku z atmosferą, jaką stworzyła.

Wreszcie celowo się potknęła i o mało nie upadła prosto na mnie. Zdołałem ją chwycić w ostatniej chwili. Czułem jedwabisty ciężar jej ciała i ciepły oddech, a jej miękkie wargi zatrzymały się kilka centymetrów od moich. Spoglądała na mnie przebiegle.

Pomogłem jej się wyprostować i odsunąłem ją nieco od siebie.

– Spokojnie, Nino, do cholery! Daj mi minutę!

– Ojej! – westchnęła. – Etyka, młodsza siostra... Mówisz takie śmiałe rzeczy, że dziewczyna może dostać od tego kręcka. Chyba uważasz, że brzydko byłoby obiecać się mną zaopiekować, a potem za bardzo się angażować, co? Ale istnieją różne rodzaje świństw. Jesteś taki nadęty, że czuję się mała i głupia. Czy to nie świństwo?

– Nie denerwuj się.

– Zmuszam się, żeby nie płakać. Jesteś taki przywiązany do roli, którą postanowiłeś odgrywać. Mój Boże, Trav, jestem młodszą siostrą Mike'a, ale jestem też dorosła. Mówiłam ci już, że spotykały mnie niepowodzenia i nieprzyjemności. Moje małżeństwo okazało się katastrofą i bardzo szybko je unieważniono. A ty zawarłeś jakąś harcerską umowę z moim bratem... Czuję się upokorzona i... Cholera, idź sobie!

Roześmiałem się i objąłem ją. Krzyknęła i odskoczyła; powtarzała, że odpowiednia chwila minęła i że nie możemy naprawić sytuacji. Wszystko popsułem, trzeba o tym zapomnieć i tak dalej. Zasłaniałem jej usta i za każdym razem, gdy się odzywała, mówiła z mniejszym przekonaniem. W końcu stanęła potulnie, drżąc i oddychając głośno, a ja niezgrabnie odpiąłem haftkę z tyłu jej sukienki i rozsunąłem zamek błyskawiczny.

– To szaleństwo... – szepnęła.

Przyznałem jej rację. Przeprosiłem w duchu jej starszego brata. Przy najmniej próbowałem.

A potem nadszedł słodki, upajający czas odpoczynku, gdy wszystkie tajemnice stały się znane. Leżeliśmy w wąskim snopie światła padającego z lekko uchylonych drzwi łazienki. Byliśmy senni i odprężeni. W takich chwilach czas biegnie powoli, jak w podwodnym świecie. Przytuliła się do mnie w taki sposób, że prawie nie czułem ciężaru jej ciała. Oparła ciemną głowę o mój policzek i objęła mnie; jej biodra dotykały mego prawego uda, a piersi rozpląszczyły się na moim boku.

Od czasu do czasu oddychała głęboko i czułem na szyi lekkie, ciepłe podmuchy. Zamknąłem oczy i powoli, delikatnie gładziłem jej gładkie plecy – wilgotne, ciepłe barki, chłodny, suchy krzyż, głęboko wciętą talię, wąską jak u dziecka, i bujną krzywiznę bioder, które w dotyku wydawały się jeszcze krągłejsze, niż gdy się na nie patrzyło. Kiedy nieco mocniej naciskałem otwartą dłońią okolicę krzyża, wywoływało to lekkie drzenie bioder, skurcz palców i przyśpieszenie oddechu – gasnące echa tego, co było.

Czułem głupie zadowolenie, że sprawiłem jej tyle przyjemności. Mimo całej siły pożądania, jakie do siebie czuliśmy, zachowywaliśmy się trochę niezręcznie, jak obcy ludzie, którzy kochają się po raz pierwszy: poznawaliśmy się, uczyliśmy, zgadywaliśmy, dziwiliśmy się. I tak powinno być; chwile wahania i niepewne ruchy wywoływały potrzebę uśmierzenia niepokoj. Nagle wszystko stało się spokojniejsze, głębsze. Nina nie była symbolem miłostego szau. Zrozumieliśmy, że poznaliśmy siebie na tysiąc lat, że przestaliśmy być dla siebie obcy i wtopiliśmy się w głęboki, prosty, potężny rytm, który nabierał mocy, narastał, aż stał się dla Niny wyzwoleniem, ogromną erupcją energii, trwającą całą wieczność.

– Boże, Boże, Boże... – szepnęła, wzdychając.

– O tak...

– Co mnie przejechało?

– Odpowiedź musiałaby być trochę nieprzyzwoita, dziewczyno.

Zachichotała i przeciągnęła się jak kotka, przytulając się do mego boku.

– Mmm – mruknęła. – Miałam trochę tremy, wiesz. Kiedy zgasiłś światło i wróciłeś do mnie, zastanawiałam się, co się właściwie dzieje.

– Teraz też nie wiesz?

Zaśmiała się lekko.

– Dobrze się z tobą czuję, teraz, po wszystkim. Przyjemnie jest siedzieć, obejmować się i żartować. Mogę ci mówić, o czym chcę, również o Howiem. Nie masz nic przeciwko temu?

– Nie.

– Czułam się z nim niepewnie. Trochę jak wtedy, gdy zaprosi się nieznanomych na kolację i trzeba sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Czy nic się nie przypaliło, nie skwaśniało. Chciałam, by Howie mnie potem obejmował, ale zawsze zachowywał się sztywno, jakby robił to z obowiązku, i czułam się odrzucona. A ty, kochanie, mnie tulisz, bo to lubisz. Mój Boże, w ogóle nie muszę się zastanawiać, jak było. Ani tobie, ani mnie. Gdyby seks mógł być jeszcze przyjemniejszy, nikt by go nie uprawiał, bo nie dałoby się wytrzymać. – Uniosła się nieco, odgarnęła do tyłu czarne loki, oparła się na mojej piersi i pocałowała mnie w czubek nosa. – A może jesteś po prostu cholernie zręczny? – powiedziała. – Może wszystko sprowadza się tylko do techniki?

– Nie zaczynaj wątpić.

Spojrzała na mnie, wykrzywiając wargi, a na jej twarz padło światło odbite od mlecznobiałego ramienia.

– Nie jestem głupia, rozumiesz? Od razu podjęłam decyzję, że pozwolę ci się zaciągnąć do łóżka.

– Przestań się czuć niepewnie, Nino. Tracisz blask.

– Przed Howiem miałam dwóch chłopaków i przeżyłam krótkie koszmarne małżeństwo. Za każdym razem w pełni się angażowałam. Z Howiem również. Zawsze czułam, że kochanie się z mężczyzną bez pełnego zaangażowania byłoby paskudne i poniżające. Kobiety zawierają z mężczyznami umowy, prawda? Chcemy bezpieczeństwa i handlujemy swoimi ciałami, a przyjemność to dodatkowa premia. Pierwszy raz w życiu czuję się... Po-

stąpiłam lekkomyślnie, uległam zmysłom, może pojawiła się we mnie odrobina autodestrukcji i okazało się, że jeszcze nigdy nie było mi tak dobrze, do cholery! Ale nie chodzi tylko o przyjemność. To coś więcej. Nie jestem puszczalską, ale może kimś innym, niż myślałam. – Wróciła do poprzedniej pozycji, obejmując mnie ramionami, i westchnęła. – Rozmowy, rozmowy, rozmowy... Jeszcze nigdy nie czułam się taka rozluźniona, odprężona, zadowolona. O Boże, to cudowne... Nudziarze bez przerwy mówią o sobie. Głaszcz mnie. Nie chcę tracić blasku i wracać do chłodnej rzeczywistości. Czy mówię za dużo?

– Nie.

– Czy gdybym przestała paplać, zdrzemnąłbyś się?

– Nie.

Przez długi czas leżała w milczeniu, zamyślona, a potem wyswobodziła prawą dłoń i położyła na mojej piersi zaciśniętą piąstkę.

– Chcę dalej dobrze się czuć, ale znów zaczynam się bać. W inny sposób. Powiedz mi, że wszystko jest w porządku.

– Daję zbyt wiele wykładów.

– Musisz ze mną rozmawiać, nim znowu się staniesz obcym człowiekiem.

– Czego ode mnie chcesz? Zapewnień, że cię kocham? Mam w ten sposób pomóc ci odzyskać szacunek do samej siebie?

Zesztywniała. Szybko odsunęła się ode mnie. Usiadła zwrócona twarzą do mnie, obejmując rękami kolana. Pochyliła głowę i patrzyła na mnie. Czulem na boku dotyk jej krągłego biodra.

– To, co powiedziałaś, było okrutne, wstrętne i zimne jak lód, Trav.

– Terapia szokowa.

– Po co to robisz, do cholery?

– Skoro uprawianie przez nas seksu budzi twój niepokój, Nino, sugerujesz, że jesteśmy parą idiotów zajmujących się przyjemnymi czynnościami polegającymi na tarcu. Włóż majtki i odejdz, kończąc to wszystko. Moim zdaniem jesteśmy sobą zainteresowani, zaciekawieni, coś do siebie czujemy. Odkrywamy się nawzajem i czegoś się uczymy. Można się w ten sposób dowiedzieć czegoś również o sobie. Jeśli ma to jakiś wymiar duchowy, pojawia się czułość, szacunek i zrozumienie potrzeb drugiej osoby. Nie interesuje mnie inna moralność. Wybieraj, moja droga. Wszystko zależy od ciebie. Możesz patrzeć na nas od środka, możemy być Niną Gibson i Travi-

sem McGee, uszlachetnionymi, rozświetlonymi i wzbogaconymi przez coś, co zdarza się rzadko i co trzeba cenić. Albo możesz patrzeć z zewnątrz, a wtedy będziesz tą małą głupią cipką, którą przeleciałem w czasie pobytu w Nowym Jorku. Stanę się w ten sposób playboyem, który lubieżnie się uśmiecha i puszcza oko. To, co istotne, zmieni się w prymitywną zabawę.

Zamknęła oczy. W świetle padającym z łazienki jej twarz wydawała się mała, blada i nieruchoma. Splotła dłonie. Oparła policzek na krągłych kolanach. To jedna z klasycznych kobiecych pozycji, bardzo piękna.

Otworzyła oczy i powiedziała:

– Myślę, że mogę to zaakceptować, jeśli się postaram. Ale bądź cierpliwy. Mój stosunek do seksu jest bardzo konserwatywny, staroświecki i prymitywny. Nawet nie wiem, dlaczego chciałam cię uwieść. Czułam się strasznie zła i lekkomyślna. Jeśli coś teraz powiem, czy obiecasz, że potraktujesz to poważnie?

– W porządku.

– Kocham cię. Nie próbuję niczego odzyskać, zdobyć ani reklamować.

– Dziękuję, Nino.

Uśmiechnęła się.

– To jedyna rozsądna rzecz, jaką mogłeś powiedzieć. Miło mi. Miłość to dar, a nie transakcja. Domyślałam się, że trzeba się tego nauczyć. Ale czego ty mogłeś się nauczyć ode mnie?

– Że wąska talia to coś cudownego.

– Proszę, nie żartuj.

– Dowiedziałem się, że się starzeję.

– Co masz na myśli?

– Było w tobie, Nino, coś wyjątkowo słodkiego, czego nie rozumiałem. Smutna, mistyczna słodycz. Stało się to czymś w rodzaju rytuału miłosnego.

– Czułam to, kochanie.

– Było w tym coś dziwnie znajomego, rodzaj déjà vu. Teraz wiem, dlaczego odbierałem to w taki szczególny sposób. Miałem dziwne wrażenie, że możesz być moją ostatnią dziewczyną, w której wyczuję autentyczną niewinność, niemal dziecięcy zachwyty i intensywność: ostatnim takim źródłem słodyczy i goryczy. Czułem, że masz przed sobą całe życie, a ja wykorzystałem większość swojego.

– Nie! – szepnęła. – Chcę, żebyś był ze mnie zadowolony.

– Jestem. Nie szukam żalu. Może gdy radość jest czymś uwarunkowana, staje się ostrzejsza.

– Kochanie, nie czuję się dziecinna ani niewinna. Bóg jeden wie, że byłam wiele, wiele razy wykorzystywana. Nie traktuj mnie protekcjonalnie. Naprawdę uważam się za osobę dorosłą. Zarabiam sto sześćdziesiąt dolarów tygodniowo. Pochowałam mężczyznę, którego zamierzałam poślubić. Nie zachowałam się jak ciamajda, prawda? Uprawiam seks jak dorosła kobieta. Proszę, nie rób ze mnie symbolu dziewczyny w swoim smutnym, małym dramacie. Jak powiedziałaś, jestem Niną Gibson, po prostu sobą. Rytuał? Chyba się cieszę, że był to dla nas rytuał. Ale nie wylewaj krokodylich łez, Trav, mój drogi. Może to zwariowane, ale mimo wszystko chciałabym pójść na to przyjęcie. Stwórzmy między nami jakąś barierę. Potrzebuję czasu do namysłu.

– Jasne.

Wyprostowała się, pochyliła, pocałowała mnie i wstała.

Spojrzała na mnie. Snop światła padł na zewnętrzną stronę mojego prawego uda, gdzie znajdowała się długa poszarpana szrama – głęboka, pomarszczona, pokryta lśniąca białą tkanką.

Syknęła cicho przez zęby, po czym wyciągnęła rękę i kojąco przesunęła opuszkami palców po bliźnie. Oto test pozwalający rozpoznać autentyczną kobietę. Wstydlive odwracają się z grymasem wstrętu na twarzach. Są tylko w połowie kobietami, delikatnymi, onieśmielonymi, i w łóżku do niczego się nie nadają. Pełnokrwista kobieta jest związana z rzeczywistością bardziej od jakiegokolwiek mężczyzny; rozumie elementarną dynamikę życia – krew, ból, chaos, oczyszczanie i uzdrawianie. Właśnie w tym kryje się wieczna istota kobiecej psychiki, kobiecych żądz i potrzeb.

– Ktoś cię zranił – powiedziała. To również jest jedną z elementarnych prawd na temat życia.

– Kulałem od tego.

– Nie dziwię się.

– Doszło do zakażenia, a nie mogłem iść do lekarza.

– Dlaczego?

– Ktoś mnie szukał.

– Mogłeś stracić nogę.

– Wiem.

W przestronnym apartamencie odbywało się przyjęcie z udziałem przeszło czterdziestu gości. Na ścianach wisiały afrykańskie maski i abstrakcyjne obrazy; wszędzie stały podniszczone meble, a podłogę zaścielały poplamione poduszki. Stałem ze szklaneczką w ręku, oparty o ścianę, słuchając głośnych rozmów i haitańskiej muzyki. Połowa gości, podobnie jak Nina, wyglądała na nieco zażenowanych ludzi sukcesu, którym udało się zdobyć pracę w firmach mieszczących się w centrum Nowego Jorku; pozostali zachowywali się z hałaśliwą arogancją kolegów należących do zamkniętej grupy; rozmawiali tajemnym żargonem o swoich sprawach i spoglądali z pogardą na innych. Nic się nie zmieniło od czasu, kiedy przed czterema laty po raz ostatni uczestniczyłem w przyjęciu w Greenwich Village. Rozpoznawałem te same typowe postacie – gniewnych, smutnych, brodatych młodych ludzi w towarzystwie ubranych w baletki dziewcząt bez staników. Byli tam również: drażliwy homoseksualista, sztandarowy Murzyn, dzielne małżeństwa, zazdrosna lesbijka, obiecujący dramatopisarz, dziewczyna, która później zacznie wymiotować, typowy komunista, tradycyjna nimfomanka, zawodowy globtroter i stary mądry rzeźbiarz o nieświeżym oddechu.

Przez cały czas patrzyłem na Ninę, stojącą po drugiej stronie pokoju w ciemnozielonej sukience z miękkiej, puszystej dzianiny i naszyjniku ze złotych monet. Ceremonialnie pomogłem jej zapiąć zamek błyskawiczny, przez co o mało nie zrezygnowaliśmy z udziału w przyjęciu. Kiedy napotykałem spojrzenie jej błękitnych oczu po przeciwnej stronie pomieszczenia, miałem wrażenie, że jesteśmy zupełnie sami.

Bez przerwy podchodzili do mnie różni ludzie i próbowali się dowiedzieć, kim właściwie jestem. W pewnej chwili zbliżyła się do mnie koścista blondynka z wielką malinką na bladej szyi, pochyliła się w moją stronę i powiedziała:

– Ordynarne butelki, tubki, słoiki... Kiedyś Nina miała trochę autentycznego talentu... A ty czym się zajmujesz, kolego? Jesteś równie nudny, jak ten jej ostatni specjalista od inwestycji?

– Handluję morskim sprzętem żeglugowym – odpowiedziałem szczerze.

– Czym?!

– Amerykanie zaczęli spędzać wolny czas na jachtach. Pływający Amerykanie to zdrowi Amerykanie.

Odsunęła się ode mnie i przyjrzała mi się uważnie.

– O Boże!... – westchnęła.

– Wypuszczamy na rynek nową serię nylonowych lin w artystycznych kolorach.

Poruszyła wąskimi wargami, jakby się zastanawiała, czy nie splunąć. Odeszła, drapiąc się.

Pulchny młody człowiek o jasnych lokach opowiadał, jak on i jego drogi przyjaciel opisują to samo doświadczenie seksualne na pięciu stronach maszynopisu, posługując się tą samą maszyną do pisania i stosując tę samą interlinię. Później przecinają strony pionowo na połowy i sklejają ze sobą w taki sposób, że prawa i lewa strona każdej kartki jest dziełem innego autora. Potem trzeci drogi przyjaciel przepisuje dziesięciostronicowy maszynopis, łącząc obie części wymyślonymi przez siebie wyrazami i zwrotami.

– Ta dwoistość sprawia, że wszystko staje się wręcz magiczne – rzekł. – Otrzymujemy połączenie naszych wyobrażeń. Mamy już piętnaście tekstów i Charles uważa, że powinniśmy zacząć je publikować. Sprzedajemy akcje po pięćdziesiąt dolarów.

– Handluję morskim sprzętem żeglugowym – powiedziałem.

– Naprawdę?

– Może wykorzystalibyście wasz system do pisania tekstów reklamujących pokłady z imitacji drewna tekowego?

– Z pewnością żartujesz.

– Możecie się zgłosić do agencji. Czasem stosują dziwne techniki reklamowe. Wiesz, w stylu Picassa.

– W stylu Picassa – powtórzył cicho. Odszedł, gładząc się po lokach.

Poznałem kilku miłych ludzi, starych przyjaciół Niny: dziewczynę o dobrych spokojnych oczach i ironicznego, sympatycznego młodego człowieka, który pracował w jakimś wydawnictwie. Troszczyli się o nią i przyglądali mi się uważnie, z podejrzliwą aprobatą. Zaprowadziłem Ninę w kąt pokoju i spytałem:

– Masz już dość?

– Przekonajmy się, czy wytrzymamy jeszcze dziesięć koszmarnych minut.

– Pięć – odpowiedziałem, spoglądając w błękitną toń, skupiając się na niej, chwając się na skraju błękitnej głębi.

Nina przygryzła wargi i rozszerzyły jej się oczy.

– Trzy – odpowiedziała.

– Minuty czy sekundy?

– Znajdź mój płaszcz i pójdę się pożegnać.

Pojechaliśmy do domu taksówką, śmiejąc się przez cały czas, a potem weszliśmy po schodach. Później powoli, ostrożnie, robiąc tysiąc przerw, rozebrałem Ninę i zaprowadziłem do skrzypiącego łóżka. Bawiliśmy się wesoło jak para zakochanych dzieci, aż wreszcie spoważnieliśmy i nadeszła chwila ostateczna, gdy Nina zawołała: „Trav, Trav, Travisssss!”. W ciągu nocy kilkakrotnie zasypialiśmy i się budziliśmy. Z biegiem czasu pożądanie narastało, zamiast się zmniejszać. Byliśmy coraz wrażliwsi na siebie, z pewnością i bardziej świadomi, co może się stać naszym łupem. Rzadko się zdarza, by głód wzrastał po każdym jego zaspokojeniu. W takich chwilach sennie, odruchowe pieścizny, które wyrażają tylko czułość i wdzięczność za chwilę wyzwolenia, zmieniają się z czasem w uwerturę do następnego aktu miłosnego, do przekroczenia następnego progu, do niestrudzonego narastania żądy. Uczymy się nowych doznań, tworząc specjalne znaki i sygnały w prywatnym, wyjątkowym języku. Poznajemy nowe zapachy, smaki, odkrywamy niewyczerpaną teraźniejszość, nieubłagane tu i teraz.

W niedzielę ubrałem się powoli w porannym słońcu. Nina leżała w skołowanej pościeli, pachnąca, pogrążona w słodkim śnie. Kiedy byłem gotowy do wyjścia, usiadłem na skraju łóżka, a potem pocałowałem ją w słonawą skroń i jedną z powiek z rozmazanym tuszem do rzęs.

Zamruczała, leniwie uniosła ciężką głowę i spojrzała na mnie rozespanym wzrokiem. Później wyciągnęła ręce, objęła mnie i uwiesiła mi się na szyi.

– Nie wychodź... – wymamrotała.

– Wrócę.

– Ehem...

– Prześpij się, kochanie.

– Aha...

Pocałowałem ją i pogładziłem po plecach, aż, podniecona, przytuliła się do mnie z drzeniem. Roześmiałem się, uwolniłem z jej objęć i położyłem ją na łóżku. Przykryłem kołdrą, otuliłem i poklepałem po wysokim, krągłym

wzgórku biodra. Mruknęła coś i natychmiast zapadła w sen. Opuściłem rolety, by nie raziło jej słońce, i wyszedłem.

Początkowo chciałem znaleźć taksówkę, lecz po przejściu dwóch przecznic postanowiłem iść na piechotę. Byłem nieogolony i piekły mnie oczy. Po seksie czasem pojawia się dziwne uczucie podobne do depresji. Czułem się paskudnie; miałem wrażenie, że moje mięśnie nie są trwale przytwierdzone do kości, które stały się ciężkie jak ołów. Żądza i wyczerpanie wpisywały się w schemat zdrady. Zdradziłem niewidomego brata Niny, zdradziłem jej zmarłego narzeczonego, którego nigdy nie znałem, i zdradziłem ją samą. Świadomość własnej bezwzględności stała się źródłem smutku. Bardzo mnie pociągała dziwna świeżość błękitnookiej Niny, jej dziewczęcy urok, swoista niewinność. Dziewictwo to bardzo względne pojęcie. Idąc pustymi ulicami, nabrałem przekonania, że w dużej mierze zniszczyłem to, co mnie w niej pociągało. Było to przygnębiające, a zarazem w jakiś sposób romantyczne. Nina wyglądała jak dziewczyna, która jeszcze nigdy nie spędziła nocy takiej jak ostatnia. Zapach i smak jej ciała wydawały się świeże, nieskażone. Każdy zmęczony kochanek może łatwo zacząć się zachowywać jak kompletny krety. Miałem czelność opłakiwać utratę niewinności Niny. Konwencjonalny McGee, obwiniający się o deprawowanie dziewcząt. Przyszło mi do głowy, że kiedy się obudzi, kiedy wszystko sobie przypomni, ogarnie ją przerażenie na myśl o tym, jakie ordynarne, nieeleganckie rzeczy robiliśmy; w świetle dnia uzna je za groteskowe. Znużony kochanek staje się bardzo zasadniczy i oburzony na siebie. Zmienia się w konserwatystę gardzącego bachanaliami, w których sam uczestniczył.

Kiedy wróciłem do swojego pokoju, na telefonie migąło czerwone światło. Telefonistka poinformowała mnie, że kilka razy dzwoniła pani Drummond i prosiła, bym zatelefonował do niej po powrocie. Było dwadzieścia po ósmej.

Telefon odebrała pokojówka, z którą rozmawiałem poprzednio. Miała akcent Zsa Zsy Gabor. Zastanawiałam się, czy wszystkie służące są dobierane według akcentu. Kazała mi czekać, co trwało pięć minut.

– Uganasz się za babami, co? – warknęła do słuchawki Terry Drummond. – Jesteś trzeźwy, kochanie?

– Całkowicie.

– Ta głupia sekretarka ma się ze mną spotkać w hotelu. Zaprosiłam ją na wczesny lunch.

– Co z Connecticut?

– To wygląda bardziej interesująco. Jest jakaś szansa, że cię zna lub coś o tobie słyszała?

– Nie.

– Dobrze. Spotkam się z nią o pierwszej. Chciałabym, żebyś przyszedł o wpół do trzeciej. Powiem, że jesteśmy umówieni i na ciebie czekam. Kiedy się pojawisz, zrobię nieprzyjemną scenę. Dobrze wiem, jak to rozegrać, kochany. Będę się zachowywać jak obrzydliwa suka. Mam dużą wprawę w odgrywaniu tej roli. Potem wstanę i wyjdę, zostawiając cię z tą świnią. Przy okazji trochę ją zbesztam, żebyście oboje się czuli moimi ofiarami.

– Co w ten sposób osiągniemy?

– Skarbie, na pewno nie jesteś pijany? Kiedy rozmawialiśmy, wydawałeś się dość sprytnym krętaczem. Opalonym i bardzo atrakcyjnym w jakiś brutalny sposób. Na pewno świetnie ci idzie podrywanie sprzedawczyń ze sklepów. Dlaczego głupia urzędniczka miałaby się okazać bardziej odporna? Zaczynj ją bajerować. Po biednym Charliem będziesz dla niej miłą odmianą. Musimy się dowiedzieć, co się właściwie dzieje, prawda? Po prostu spójrz na nią swoimi okropnymi, bladoszarymi oczami, pokaż białe zęby i napnij mięśnie. Zaraz zmiękną jej kolana.

– Och, oczywiście.

– Hm... Mnie przecież zmiękły, prawda?

– Zawsze ci zmiękną, Terry. Słyniesz z tego.

– Ależ z ciebie sukinsyn! Do zobaczenia w hotelu o drugiej trzydzieści.

Rozebrałem się, wziąłem długi prysznic, splukując subtelne zapachy miłości, a później powiesiłem na drzwiach kartkę z napisem: „Nie przeszkadzać” i runąłem na łóżko.

Telefon wyrwał mnie ze snu na kilka minut przed dwunastą trzydzieści, na kiedy zamówiłem budzenie. Kiedy podniosłem słuchawkę, usłyszałem głos Niny:

– Co u ciebie?

– Och, cześć, kochanie!

– Pamiętasz jeszcze o swojej dziewczynie?

– Zaraz, niech sobie przypomnę... Jak masz na imię?

– Moje imię to: „Kocham pana, panie McGee”.

– Widzę, że jesteś w dobrym humorze.

– Czuję się fantastycznie. Mam głębokie, czarne kręgi pod oczami, łapią mnie skurcze, nad którymi nie mogę zapanować, uginają się pode mną nogi i jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa. Tęsknię za tobą. Strasznie. Co robisz? Śpisz? Co się z tobą dzieje? Opadłeś z sił?

– Kiedy się obudziłaś?

– Pięć minut temu. Zamierzam wziąć długą gorącą kąpiel i umyć włosy.

Opowiedziałem jej o telefonie Terry, lecz nie wspomniałem o planach dotyczących Bonity Hersch.

Była rozczarowana. Powiedziałem, że postaram się wrócić jak najszybciej.

Zatrzymałem się przy wejściu i popatrzyłem na część restauracyjną. Wiele stolików było już wolnych. Siedziały po prawej stronie, z boku. Terry zauważyła mnie i pomachała ręką. Miała na sobie codzienny tweedowy kostium i niewielki brązowy kapelusz; wyglądała elegancko i bardzo swobodnie. Kiedy szedłem w stronę stolika, przyjrzałem się drugiej kobiecie. Sie-

działa sztywno, ubrana w czarną sukienkę. Na oparciu krzesła wisało jej futro. Nosiła ozdobny kapelusz i miała złote włosy o pomarańczowym odcieniu. Z daleka wydawała się uderzająco podobna do księżnej Grace Kelly, ale gdy podszedłem bliżej, zauważyłem, że rysy jej twarzy są grubsze, bardziej pospolite. Miała około trzydziestu lat.

Kelner szybko przyniósł mi krzesło.

– Witaj, kochany! – rzekła Terry. – To Travis McGee, droga Bonito. Trav, panna Bonita Hersch. Spóźniłeś się kilka minut, mój drogi.

– Przepraszam.

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Nie jesteś zbyt grzeczny. Odnoszę przykre wrażenie, że cię nudzę.

– Nie możesz mnie nudzić, Terry – odpowiedziałem i poprosiłem kelnera o filiżankę kawy.

– Wygląda efektownie, prawda, Bonito? Popatrz na te monstrualne bary. Ale jest strasznie przyzwoity, nudny i trochę głupi.

– Spokojnie, Terry.

– Mój Boże, czy to rozkaz?! Stałeś się apodyktyczny! Chyba zaczynasz mnie nudzić.

– Daj spokój, Terry, na litość boską!

– Czujesz się zawstydzony, Trav? Boże! Czy to nie dziwne, że przyjaciele naszych przyjaciół zawsze wydają się nam mało interesujący? Kiedy znów spotkam Bunny, powiem jej, że okazałeś się wart zaliczki, ale w chłodnym świetle dnia wprawiasz mnie w przygnębienie. – Wzięła torebkę i papierosy, po czym wstała, patrząc na nas z małym uśmiechem na pomarszczonej twarzy.

Powoli uniosłem się z miejsca.

– Och, nie fatyguj się, kochany! Zaczekaj na kawę i porozmawiaj z Bonitą. Na pewno będziecie się doskonale rozumieć. To nudna, nędzna maszynistka, której się wydaje, że wyjdzie za mąż za męża mojej siostry. Biedaczo. Jest dość seksowna w prymitywny sposób, nie sądzisz? Dobrze się bawcie, kochani!

Odeszła szybko, uśmiechając się do przyjaciół siedzących na sali. Jej krok był młodzieńczy i pełen energii.

– Okropna, okropna kobieta... – rzekła Bonita drżącym głosem, w którym zabrzmiał nabożny lęk. – Nikt nigdy tak do mnie nie mówił.

Przyjrzałem się uważniej Bonicie Hersch. Wyglądała trochę zbyt idealnie. Starannie uczesane złociste włosy. Blade, szaroniebieskie, chłodne oczy. Górną wargę miała wąską, a dolną pełną i ciężką; obie pokrywała szminka. Jej dłonie były szerokie i dość pulchne, z krótkimi grubymi palcami.

– Zachowała się wobec pani bardzo niegrzecznie, panno Hersch.

– Zaprosiła mnie tutaj.

– Dlatego to niewybaczalne.

– Z pewnością. Poza tym kompletnie się myli. Wszystko wygląda inaczej, niż jej się wydaje. Dobrze ją pan zna?

– Niezbyt dobrze. Ktoś mnie poprosił, bym się z nią spotkał. To zepsuta kobieta, panno Hersch.

– Nie zamierzam się zastanawiać, dlaczego zachowała się tak ordynarnie.

– W jej głosie zabrzmiał ostry, władczy ton, lecz mówiła cicho, poufale.

– Spróbujmy zapomnieć o Terry Drummond. Nie muszę pić kawy. Może poszlibyśmy stąd i postawiłbym pani drinka?

Popatrzyła na mnie taksującym wzrokiem. W rogu ust pojawił się na chwilę ostry, różowy koniec języka. Zerknęła na niewielki zegarek wysadzany klejnotami, uniósłszy paznokciem kciuka ozdobną osłonę cyferblatu.

– Byłoby mi bardzo miło, panie McGee.

– Doskonale – odpowiedziałem. Wstałem, a ona uniosła się z miejsca i czekała, aż podam jej futro. Miała smukłe plecy i drobne, sterczące piersi. Znakomicie dopasowana czarna sukienka doskonale podkreślała dojrzałą, elegancką linię ciężkich bioder. Uśmiechnęła się do mnie na znak podziękowania, lekko trzepocąc rzęsami, a następnie ruszyła przodem. W jej chodzie była leciutka niezręczność, prawie niezauważalna, charakterystyczna dla kobiet o bujnych biodrach i udach. Przy każdym kroku pod nylonowymi pończochami napinały się mięśnie łydek, a kostki wydawały się drobniejsze niż w rzeczywistości.

Wsiadła do taksówki, rozsiewając woń perfum, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Jeśli mogłabym wybrać lokal...

– Naturalnie.

– Proszę nas zawieźć do Armitage Inn, Lexington, Pięćdziesiąt...

– Wiem, gdzie to jest, proszę pani.

– Kiedy pan mi przerwał, miałam zamiar powiedzieć, by pan podjechał do bocznego wejścia – zwróciła się do kierowcy. Jej jedwabisty głos zabrzmiał uprzejmie, lecz ostro, jakby strzeliła z bata.

Czuła się coraz pewniej. Zrozumiałem, co mi się w niej nie podoba. Była po prostu cholernie pretensjonalna.

– Mieszka pan w Nowym Jorku, panie McGee?

– Na Florydzie, panno Hersch.

– Czy możemy... Jak ona się do ciebie zwracała? Trav? Trav i Bonita? Muszę cię ostrzec. Proszę, pod żadnym pozorem nie nazywaj mnie Bonny. Zastanawia mnie twoja cudowna opalenizna, Trav. Prowadzisz interesy na Florydzie?

– Jestem próżniakiem, Bonito.

– Och, doprawdy? – Zauważyłem lekki powiew chłodu.

– Mam własną łódź, wybudowaną na specjalne zamówienie. Od czasu do czasu zajmuję się różnymi drobnostkami, lecz przeważnie nic nie robię.

– Brzmi to pięknie. – Chłód zniknął.

Zdałem sobie sprawę z inteligencji Terry. Przedstawiła Bonitę Hersch w tak złym świetle, że każda kobieta czułaby się zobowiązana do poprawienia swojego wizerunku. I sprawiła, że wydałem się Bonicie interesujący, a zarazem nieszkodliwy.

Podziwiałem jej wybór lokalu. Siedzieliśmy w odosobnionej kabinie, oddzieleni obitymi czerwoną skórą przepierzeniami od reszty gości, którzy nie mogli nas widzieć. W tle rozlegała się cicha muzyka, a przyćmione światło podkreślało kobiecą urodę. Obsługa była doskonała.

Bonita pokręciła ze smutkiem głową.

– Jak mnie nazwała ta kobieta? Nudną maszynistką. To dość zabawne. Rzeczywiście, umiem pisać na maszynie. Kiedyś byłam maszynistką. Ale nigdy nie nudną. Teraz jestem osobistą sekretarką Charlesa McKewna Armistera. I z pewnością nie marzę o małżeństwie. Wtedy czułabym się naprawdę nudna. Wie pan, że ta niewiarygodna kobieta zaproponowała mi ogromną sumę, bym skłoniła pana Armistera do powrotu do żony? Nie mogła się bardziej pomylić, doprawdy.

– Dlaczego uznała, że mogłabyś to zaaranżować?

– Błędnie oceniła sytuację. W pewnym sensie nie można jej za to winić. Domyślałam się, że wielu ludzi sądzi podobnie. Ale powinna wysłuchać moich wyjaśnień. Rzeczywiście, mieszkam w apartamencie pana Armistera.

Podobnie jak pan Baynard Mulligan, jego osobisty adwokat i szef działu prawnego firmy. A ponadto szofer i kucharka. Apartament jest duży. Pięć sypialni, cztery łazienki, nie licząc pomieszczeń dla służby. Przez kilka lat pracowałam dla pana Mulligana. Kiedy rok temu sekretarka pana Armistera przeszła na emeryturę, pan Mulligan zaproponował, bym ją zastąpiła. Pan Armister wyraził zgodę. Przyznaję, że to dziwne rozwiązanie, ale w pewnym sensie pełnię w domu rolę gospodyni. Kieruję personelem, odpowiadam za zakupy, układam menu. Pan Armister i pan Mulligan są bardzo zapracowani. To dla nich wygodne. Niewiele wydaję teraz na życie, ale byłam niezadowolona, że musiałam zrezygnować ze swojego niewielkiego mieszkania. Bardzo brakuje mi prywatności, Trav. Szkoda, że nie możesz zobaczyć mojego ukochanego mieszkania.

– Więc między tobą a Charliem Armisterem nic nigdy nie było?

Znów poczułem, że uważnie mnie taksuje.

– Nic ważnego ani trwałego. Po prostu głupie zauroczenie. Wszystko skończyło się wiele miesięcy temu. Przebywanie blisko siebie może być niebezpieczne, wiesz. A Charlie jest bardzo, bardzo kochany. Sprawił, że zapomniałam o jednej z podstawowych zasad. Dziewczyna nigdy, przenigdy, nie powinna nawiązywać romansu ze swoim szefem. To głupota. Takie związki zawsze się kończą, a potem strasznie niezręcznie jest pracować razem i zwykle mężczyzna pozbywa się jakoś sekretarki. Może to oznaczać konieczność podjęcia znacznie gorszej pracy. Często byłam świadkiem takich sytuacji. Więc przyjęłam zasadę, że nigdy nie wchodzę w tego rodzaju związki; Charlie okazał się wyjątkiem. Ale wszystko dobrze się skończyło i nie wpłynęło na nasze relacje w pracy.

– Mieliście szczęście.

– Tak, rzeczywiście. Jestem niezwykle lojalna, Trav. Wkładam w pracę całą swoją energię i umiejętności. Moje zadanie polega na zwiększaniu wydajności pracy szefa, chronieniu go, doradzaniu mu, gdy o to prosi. Taka relacja musi mieć dość oficjalny charakter, by dobrze funkcjonować, rozumiesz?

– Chyba tak.

– Każda mądra, ambitna kobieta oddziela życie zawodowe od prywatnego. Wyobrażam sobie, że pani Drummond słyszała jakieś plotki. Pewnie myśli, że to ciągle trwa. Oczywiście to nieprawda. Mogła równie dobrze

spróbować przekupić Marthę, naszą niemiecką kucharkę, by namówiła Charliego do powrotu do Joanny.

– Ich małżeństwo się rozpadło?

– Na to wygląda. Charlie był kiedyś strasznie pruderyjny, ale się zmienił i nie wierzę, że chciałby wrócić do życia, jakie prowadził wcześniej. Jest teraz bardzo szczęśliwym człowiekiem.

– Ma kogoś?

– Trav! Pamiętaj, jestem lojalna! Nie mogę plotkować o swoim szefie, prawda?

Słumiłem pokusę zapytania, co innego robi przez cały czas. Uśmiechnąłem się do Bonity i pomyślałem, że już dawno nie natknąłem się na tak paskudną babę. Wyczuwałem, że jest bezwzględna w sprawach związanych z karierą i zaspokajaniem swoich potrzeb seksualnych. Ukształtowała ją praca w kilkunastu wysoce konkurencyjnych firmach, gdzie nieustannie walczyły ze sobą różne koterie i prowadzono bezlitosne intrygi.

Serce miała zimne jak kamień na dnie górskiego jeziora.

Szefowie uważali ją za świetnego pracownika, a kochankowie za czarującą dziewczynę. Uosabiała wszystkie tanie techniki oddziaływania erotycznego, zręcznie pozując na seksowną singielkę. Wybierała kochanków w taki sam sposób, jak dział personalny IBM angażuje nowego menedżera sprzedaży. Najbardziej odpowiadali jej żonaci mężczyźni. Rzadko bywali kłopotliwi, robili sceny lub stwarzali problemy. Wyobrażałem sobie pochod eleganckich, nieco nadętych biznesmenów z niewielkimi czarnymi wąsikami, złotymi etui na banknoty, kabrioletami i opcjami na zakup akcji. Wszyscy twierdzili, że Bonita to fajna dziewczyna, która wie, jak sprawić, by mężczyzna czuł się niczym król. Nie mamy do siebie urazy. Jesteśmy ciągle dobrymi przyjaciółmi. Bardzo inteligentna dziewczyna. Wybredna.

Małe, przytulne mieszkanko i seksowna gospodyni, blask świec i przysmaki ugotowane w lśniących miedzianych rondelkach. Nastrojowa muzyka i wyrafinowana konwersacja, a później Bonita odnosi do kuchni talerze i rondelki, by następnego dnia zajęła się nimi jej mała, sympatyczna służąca. Przystrojona w jedwabie, uperfumowana, ufryzowana, ze starannie założonym krążkiem dopochwowym, ściemnia światło i niczym głodna moidliszka wciąga do łóżka biednego, oszołomionego sukinsyna, który nie może się nadziwić swojemu szczęściu. Kiedy dziewczyna nie uprawia seksu, robi się trochę nerwowa, a wielu specjalistów uważa, że miłość to forma

kuracji upiększającej. Reguluje wydzielanie hormonów i dobrze robi na cerę.

Ale jeśli biedny wąsaty Harry przypadkiem pracuje razem z Bonitą i wejdzie w drogę jej lub jej szefowi, poderżnie mu ona gardło z taką samą obojętną zręcznością, z jaką kroi rzodkiewki. A jeśli Harry za bardzo się do niej przyzwyczai, zacznie uważać, że te wszystkie stylizowane łaski mu się należą, i przestanie je przyjmować z pokorną wdzięcznością, Bonita zręcznie go rzuci i rozpocznie cierpliwe poszukiwania następnego kochanka. Od każdego z nich uczy się różnych użytecznych rzeczy – o winach, malarstwie, samochodach sportowych lub zabytkowym szkłe – bo bardzo chce być naprawdę wyrafinowana.

Bonita była podstępny, uperfumowanym potworem. Bóg jeden wie, skąd się biorą takie kobiety. Zjeżdżają do wielkich miast. W jakiś sposób wszystkie wyglądają podobnie. Uważają się za intelektualistki. Kupują zwyżkujące akcje. Bardzo się martwią o swoje piersi i zakres obowiązków w roli sekretarki. Myśl, że mogłyby mieć dzieci, wydaje im się groteskowym żartem. To by bolało. A potem trzeba by się opiekować dzieckiem. Zawsze rozmawiają na najmodniejsze tematy. Gdziekolwiek się pojawiają, są najlepiej obsługiwane. A kiedy w końcu ogarnia je lekki strach, rozpoczynają swoje największe łowy. Zwierzyna, na którą polują, musi być wymieniona w „Who’s Who” i należeć do śmietanki towarzyskiej. Dzięki swojej zręczności skłaniają wybranego sukinsyna do rozwodu z żoną i zatruwają mu resztę życia.

Uśmiech Bonity był starannie wyćwiczony, uroczy. Makijaż, fryzura i suknia doskonale podkreślały jej urodę.

– Trav, mój drogi, wypijmy za ponure, bogate kobiety, takie jak biedna Terry. I za niedzielne popołudnia w październiku. I za nowe przyjaźnie.

– I prywatność.

Zrobiła smutną minę.

– Wspaniała rzecz, której mam bardzo mało. Każdego dnia muszę spędzić trochę czasu samotnie. Czuję się dzięki temu odświeżona, wiesz? Żal mi ludzi, którzy nie mają wystarczających zasobów wewnętrznych, by spędzać czas w samotności. Zamykam się w swoim pokoju w ogromnym apartamencie, myślę i czytam. Bardzo dużo czytam. To jedyne sposoby, by prowadzić więcej niż jedno życie.

– Bardzo ciekawie to ujęłaś, Bonito.

Ułożyła rysy twarzy w atrakcyjny grymas zamyślenia.

– Przypuszczam, że wszyscy czujemy się uwięzieni w jednym życiu – ciągnęła. – Czasami mamy przez to ochotę zrobić coś szalonego. Bycie rozważnym jest bardzo nudne.

– Wymyśl jakieś szaleństwo.

– Jasne – odpowiedziała. Jej chłodne oczy rozbłyły. – Jedźmy taksówką do Idlewild. Kupmy szczoteczki do zębów, lećmy na Florydę, wsiądźmy na twoją łódź i zaszyjmy się wśród wysp.

– Pójdę sprawdzić odloty.

– Kochany, bardzo bym chciała móc polecieć na Florydę, naprawdę. Ale czasem musimy się zadowolić czymś mniejszym, prawda?

Mówiła bardzo osobistym tonem, świetnie wyrażającym niuansę. Zacząłem się czuć jak smaczny owad siedzący na końcu gałęzi. Lada chwila z paszczy wysunie się lepki język, chwyci mnie i zostaną pożarty. Bonita miała ogromną wprawę. Powtarzała większość moich własnych kwestii.

– Co cię zadowoli, Bonito?

– Następny drink, mój drogi.

– To drobne życzenie.

– Wszystko jest względne, Trav. Wszystko powinno pasować do chwili, nie sądzisz?

– To się rzadko zdarza.

– Dlatego że większość ludzi nie wie dokładnie, czego chce. Zdawać sobie z tego sprawę to wielkie błogosławieństwo.

– A ty wiesz, czego chcesz?

– Ciągle nie zamówiłeś drinka. – Kiedy to zrobiłem, spytała: – Długo zostaniesz w Nowym Jorku?

– Jeszcze kilka dni, może tydzień albo trochę dłużej.

– Mieszkasz u przyjaciół? – Wymieniłem nazwę swojego hotelu. Spojrzała na mnie z dezaprobatą. – Te nowoczesne hotele są zupełnie pozbawione charakteru.

– I całkowicie anonimowe. Lubię ten rodzaj prywatności.

– Czy pokoje są ładne? Wyobrażam je sobie jako małe białe klitki.

– Są dość wygodne.

Przez ułamek sekundy spoglądała w dół i wiedziałem, że otworzyła wysadzany klejnotami zegarek. Zacisnęła lekko wargi. Byłem tępy uczniem. Zastanawiałem się, czy chwyci mnie za ucho i odprowadzi, płaczącego,

z powrotem do hotelu. Miała ochotę na seks, wszystko zaaranżowała, lecz brakowało jej czasu. A ja zapomniałem właściwych słów.

Widziałem, że zaczęła się zastanawiać, czy uznałem ją za nieatrakcyjną. Wytrąciło ją to z równowagi. Musiałem ją uspokoić.

– Szkoda, że nie mogę obejrzeć twojego dawnego mieszkania.

– Musiałam się go pozbyć. Złamało mi to serce.

Wszystkie moje cenne rzeczy trafiły do magazynu. Niestety, nie mogę ci pokazać apartamentu, w którym teraz mieszkam. Nie przyjmuję gości. Chyba rozumiesz...

– Oczywiście, Bonito.

Coraz trudniej przychodziło mi wyobrazić ją sobie jako osobę zamieszaną w spisek, defraudację na dużą skalę, a może morderstwo. Miała jasne oczy i zdrową cerę. Błada, wydłużona szyja o wdzięcznym wyglądzie sugerowała siłę. Bonita była pachnąca i pragmatyczna; wiedziała, jak najlepiej wykorzystać swoje oczy i usta. Siedziała naprzeciwko mnie na gładkich poślądkach, patrząc na mnie wilgotnym wzrokiem, pochylona lekko do przodu, uśmiechając się ironicznie i czekając na okazję, by przekształcić krótkie spotkanie w sobotę po południu w upojną, szaloną październikową przygodę – pośpiesznie wzniesione, prowizoryczne rusztowania romansu miały zamaskować wulgarne śwędzenie. Utrata własnego ukochanego mieszkańca pozbawiła ją możliwości działania w nieśpiesznym tempie, do jakiego była przyzwyczajona, lecz najwyraźniej nie zrezygnowała z zaspokajania własnych potrzeb seksualnych i nawiązywania przelotnych kontaktów z mężczyznami, gdy nadarzyła się okazja. A dzięki Terry miałem odpowiedni prestiż. Kiedy dość atrakcyjna kobieta nauczy się postępować z niemal męską bezpośredniością, staje się bardzo groźna. Bonita była tak zręczna, że potrafiła nasycić rozmowę erotycznymi aluzjami, nie deklarując niczego wprost. Gdybym posłusznie zaprowadził ją do plastikowej klitki na górnym piętrze hotelu o biało-złotym lobby, najpierw skłoniłaby mnie, bym ją pocałował, a potem roześmiała się protekcjonalnie i nazwała mnie „drogim, niemądrym chłopcem”. Zdjęłaby czarną sukienkę, powiesiła na wieszaku i owinęła swoją skomplikowaną fryzurę turbanem z ręcznika, by nie potargać włosów. A potem łaskawie, wspaniałomyślnie zaciągnęłaby mnie do łóżka, w którym wydawałaby mi szczegółowe polecenia i instrukcje cichym, melodyjnym, tajemniczym głosem zawodowej sekretarki. Październikowe szaleństwo, mój drogi. Wszystko powinno pasować do chwili. Mu-

simy się zadowolić tym, co możemy mieć. W końcu, odprężona i usatysfakcjonowana, starannie by się ubrała, przez cały czas wesoło paplając, a przy drzwiach czule poklepałaby mnie po policzku i nazwała „drogim chłopcem”, przekonana, że nigdy, przenigdy, nie zapomnę magicznego popołudnia, gdy prawdziwa księżniczka rozjaśniła moje szare dni dzięki swojej impulsywnej wspaniałomyślności.

Gdybym zaakceptował jej reguły gry, nigdy więcej bym jej nie zobaczył; poza tym nie miałem ochoty na uczestnictwo w parodii miłości. Obrażenie Bonity miałyby identyczny skutek. Aby się czegoś od niej dowiedzieć, musiałem się postarać, by nasza znajomość trwała.

– Mógłbym udowodnić, że pokoje hotelowe to nie ciasne białe klitki, Bonito, ale obawiam się, że Walker obudziły się i zrobił awanturę.

– Walker?

– Był wczoraj zbyt pijany, by jechać z powrotem za miasto. Siostrzeniec Bunny.

– Och?

– Bunny Rodriguez. Terry o niej wspomniała.

– Ach tak, oczywiście – odrzekła, niepewnie unosząc jasne brwi.

– Kiedy wyszedłem na spotkanie z Terry, spał jak zabity. Wyglądało, że się obudzi dopiero w poniedziałek. – Uśmiechnąłem się. – Gdybym tylko wiedział...

Wyciągnęła szybko rękę i poklepała mnie po dłoni.

– Oglądanie nieruchomości to dość nudne zajęcie, mój drogi. I na pewno nie chcielibyśmy przeszkadzać Walkerowi, prawda?

– Mógłbym go wyeksmitować.

– Jesteś zabawny, Trav. Lubię przebywać w twoim towarzystwie.

– Jesteśmy parą uchodźców. Uwolniliśmy się od Terry Drummond. Moim zdaniem to kwestia pieniędzy. Osoby dysponujące takim majątkiem nigdy nie są całkiem rzeczywiste. Nie wyobrażam sobie, Bonito, że Charles McKewn Armister jest rzeczywisty.

– Ależ jest, z pewnością, choć czasem zachowuje się w sposób zupełnie nierealny. Pamiętam sytuację, gdy jeszcze pracowałam dla Baynarda. Było to ponad rok temu, nim Charles zachorował. Wrócił z lunchu w jednym ze swoich klubów i był bardzo zdenerwowany. Zwykle płacił za lunch półtora dolara, lecz cena wzrosła do dolara i sześćdziesięciu pięciu centów. Napisał list do rady klubu, wyrażając swoje oburzenie. Przypuszczam, że jadał tam

lunch dwadzieścia razy w roku. Dwadzieścia razy piętnaście centów to trzy dolary. W tym samym miesiącu on i jego żona podarowali siedemset tysięcy dolarów Uniwersytetowi Princeton. Oczywiście z pieniędzy fundacji. Ale ten kontrast...

– Terry powiedziała, że Charlie nie chodzi już do klubów.

W bladobłękitnych oczach pojawił się chłodny błysk.

– W tej chwili nie. Struktura inwestycji majątku Armisterów bardzo się zmienia. Kiedy Charlie pojawia się w miejscu publicznym, nawet w prywatnym klubie, bardzo wielu ludzi chce się dowiedzieć, jakie ma plany; sugerują różne rzeczy i starają się coś zyskać. Kiedy restrukturyzuje się majątek wart około siedemdziesięciu milionów dolarów, ludzie zaczynają mieć strasznie mądre pomysły. Część mojej pracy to ochrona Charliego przed takimi osobami. – Znów poklepała mnie po dłoni; tym razem trwało to dłużej. – Ale nie chcę rozmawiać o sprawach zawodowych. Mam dziś wolny dzień, co zdarza się bardzo rzadko. Czuję się jak na wakacjach. Powinnam wrócić do apartamentu najpóźniej o siódmej.

– Jest za kwadrans czwarta. Czy będę mógł się z tobą wkrótce zobaczyć, Bonito?

Zrobiła smutną minę.

– To naprawdę trudne, Trav. Jestem na ich każde zawołanie.

– Nie masz wolnych wieczorów?

– Powinnam, ale nie mam. Wykonuję w apartamencie specjalne prace dla Baynarda. Jedną z wolnych sypialni przekształcono w gabinet. Jesteśmy wszyscy bardzo zajęci. Ale... możesz do mnie zadzwonić. Najlepiej do biura.

Zamówiłem następną kolejkę. Widać już było działanie drinków na Bonitę, ale gdy próbowałem rozmawiać o Charliem Armisterze, w dalszym ciągu odpowiadała wymijająco.

– Ile Terry ci zaproponowała za namówienie Charliego do powrotu do Joanny? – spytałem w końcu.

Przygryzła wargę.

– Przypuszczam, że Terry i tak ci powie. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Czy to nie absurdalne?

Wzruszyłem ramionami.

– Ma pieniądze i kocha siostrę. Szkoda, że nie możesz go przekonać.

– Charlie jest hojnym pracodawcą.

– Jednak nie aż tak, prawda?

– Nie. Ale stać mnie na zaspokajanie swoich potrzeb, Trav.

– Masz kosztowne upodobania?

Uśmiechnęła się.

– Ubrania, futra, ładne wnętrza. Ale gdybym miała miliony, chyba dalej bym pracowała. To całe moje życie.

– Lubisz władzę?

– To moja słabostka. Uwielbiam, gdy mali ludzie tańczą, jak im zagram. Mam własną sekretarkę, pannę Angelę Morse. Mała, tęga, pokorna kobietka, która bardzo się stara sprawiać mi przyjemność. Kiedy do niej mówię, poci się ze strachu. Ale w ciągu kilku lat może zrobię z niej człowieka.

Zapamiętałem te informacje. Kilka minut później znów zdołałem wrócić okrężną drogą do plotek o Charliem.

– Kiedy przeżył załamanie nerwowe, czy natychmiast przeprowadził się do apartamentu? – spytałem.

– Jakie załamanie nerwowe?

– W porządku. Kiedy zachorował.

– Tak, chciał zostać w Nowym Jorku. Baynard znalazł apartament. Wprowadziliśmy się i przygotowaliśmy mieszkanie dla Charliego. Był bardzo zadowolony.

– A potem miałaś z nim krótki romans?

– Niedługo zaczęłam żałować, że w ogóle o tym wspomniałam. Charlie nie mógł spędzać dużo czasu w biurze. Przynosiłam mu dokumenty do podpisu. Jak powiedziałam, przyczyną była bliskość. Terry zachowywała się, jakbym była okropną małą dziwką usiłującą uwieść bogatego mężczyznę. Jestem na to zbyt dumna.

– To oczywiste.

– Dlaczego ciągle rozmawiamy o Charliem?

– Może jestem zazdrosny?

Ujęła mój nadgarstek drobną, pulchną dłonią i mocno go ścisnęła.

– Nie powinieneś być zazdrosny. To się skończyło przed wieloma miesiącami. Od tamtego czasu żyję jak prawdziwa zakonnica.

– A Charlie jak mnich?

– Bynajmniej!

– Mówisz to z dużym przekonaniem.

– Czy nie wspominałam, że się wyzwolił z pruderii? Ma wielką ochotę na hulanki; zbierało się to w nim całe życie. Biedny Baynard się boi, że Charlie zrobi z siebie głupca albo zacznie go szantażować jakaś dziwka, więc... cóż, wszystko załatwia.

– Panie na noc?

– Biedny Baynard się tym zadrecza. Ale widziałam kilka z tych dziewcząt i wydają się dość eleganckie. To pewnie kwestia ceny. Wyglądają jak studentki, które dorabiają na boku jako modelki. Nie mam pojęcia, skąd się biorą, ale źródło wydaje się niewyczerpane. Harris przywozi je lincolnem; korzystają z windy dla personelu. Rano wychodzą tą samą drogą. Wyobrażam sobie, że są całkowicie godne zaufania. Dzięki temu Charliemu nie grożą kłopoty. To takie dziwne, że... – Nagle urwała i puściła mój nadgarstek. Wpatrywała się we mnie. – Chyba się upiłam, Trav... Nie powinnam mówić takich rzeczy...

– Jestem twoim przyjacielem.

Wyprostowała się.

– Doprawdy? Może chcesz się czegoś ode mnie dowiedzieć? Skąd mam pewność, że nie zaaranżowała tego wszystkiego Terry Drummond, żebyś mnie wybadał?

– Jesteś przesadnie podejrzliwa.

– Bynajmniej. Raczej naturalnie ostrożna. I bardzo lojalna. Mówiłam ci, że jestem lojalna. Bardzo, bardzo lojalna wobec szefa. I kocham jego najbliższego współpracownika.

– Baynarda?

– Nie bądź głupcem. Mówię abstrakcyjnie.

– Podobno żyjesz jak zakonnica.

– Tak, rzeczywiście. Tragiczne, prawda? Ale czasem tak bywa. Czy prosiłam o tego drinka? Ile już wypięłam? Kochanie, czy to grzech się upić w niedzielę?

– To najlepszy dzień.

Rozpromieniła się i zatrzepotała rzęsami.

– Mężczyźni nie chcą się angażować. Wiem, jacy są mężczyźni. Myślę w ten sam sposób. Czy to dziwne?

– Wcale nie.

– Mężczyzna chce się zabawić, a potem nie mieć żadnych problemów. Raz, dwa, trzy i po krzyku. Zgadza się?

– Tak.

– Rozwiązłość... rozwiązłość to oszukiwanie mężczyzny. Zawsze sobie powtarzałam: Bonito, musisz kochać i być lojalna, bo inaczej zostaniesz dziwką. Jezu, jak mi brakuje mojego cudownego małego mieszkanka...

Dziewczyny powinny umieć się dobrze bawić. Wiesz co? Boże, nienawidzę takich, co tylko się mizdrzą. Bez przerwy udają. Mam rację?

– Masz.

– Mężczyźni chcą, żeby dziewczyny były miłe. Smaczne kolacyjki we dwoje i seksowne ciuchy. Dobra kuchnia. Zioła. Używam mnóstwo ziół. I mają być cholernie dobre w łóżku. Właśnie to jest najważniejsze, wierz mi, kotku. – Urwała i rozszerzyły jej się oczy.

Miałem wrażenie, że nasłuchuje. Nagle na jej bladym czole pojawiły się kropelki potu.

– Przepraszam – odezwała się cichym głosem, wstała i oddaliła się pośpiesznie, lekko pochylona. Długo jej nie było. Kiedy wróciła, miała zapadnięte oczy. Lecz wydawała się trzeźwiejsza.

– Chyba lepiej zabierz mnie do domu.

W domu numer sto dwadzieścia jeden przy Wschodniej Siedemdziesiątej Pierwszej drzwi otworzył nam portier. Minąłem recepcję i zaprowadziłem Bonitę do windy. Uśmiechnęła się przepaszająco, dotknęła mojej ręki, weszła do kabiny, wcisnęła guzik i pojechała na ósme piętro.

Wróciłem do recepcji. Błady portier spojrzał na mnie podejrzliwie zza okularów w grubych oprawkach.

– Tak, proszę pana?

– Panna Hersch źle się poczuła. Chciałbym do niej zatelefonować, gdy dotrze na górę, by się upewnić, że wszystko w porządku.

Zawahał się, skinął głową i postawił na ladzie aparat telefoniczny. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do apartamentu dziewięć A.

– Tak? – odezwała się Bonita.

– To ja, Trav. Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Tak. Miło, że zadzwoniłeś.

– Pragnąłbym znowu się z tobą zobaczyć.

– Zatelefonuj do biura. Dzięki za drinki i miłą rozmowę.

Podziękowałem recepcjoniście i wyszedłem. Zapadał zmrok i w powietrzu wyczuwało się chłód. Uprzejmie porozmawiałem z portierem o pogodzie i dałem mu dolara, by wezwał dla mnie taksówkę. Chciałem, by mnie zapamiętał jako normalnego gościa tej starannie strzeżonej twierdzy.

Zastukałem do drzwi Niny. Otworzyła, chwyciła mnie i wciągnęła do środka. Pocałowaliśmy się namiętnie, a potem odsunąłem ją na odległość ramienia i spojrzałem na nią z podziwem. Związała włosy z tyłu; nosiła kwiecistą bluzkę i seksowne czarne legginsy. Wyglądała świeżo jak poranek, delikatnie jak koronki, niewinnie jak jagniątko. Nagle mrugnęła do mnie rubasznie, marszcząc połowę twarzy.

– Potrafię puszczać oko tylko w ten sposób – powiedziała. – Muszę mieć drugie zamknięte, co wygląda śmiesznie. Gdzie się podziewałeś, do cholery?

– Czyżbyś zaczęła odczuwać skruchę i poczucie winy?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Skruchę?! Poczucie winy?! Do licha, postanowiłam nie zachowywać się pruderyjnie, więc czemu o to pytasz?

– Po prostu dla pewności.

– Wymyśliłam pięćdziesiąt nowych rzeczy, które możemy robić. Kochanie, możesz się czuć jak posiadacz klucza do sklepu ze słodyczami.

– Przerażasz mnie.

– Dobrze! Gdzie byłeś?

– Z istotą płci żeńskiej. Ale chcę ci coś powiedzieć o tobie. Po spędzeniu z nią godziny w kameralnym barze wydajesz mi się jeszcze cudowniejsza, Nino. Bezcenna, szczerza i uczciwa.

– Oczywiście.

– Bardzo sprytne małe samce pewnego gatunku pajaków chwytają muchę, owijają ją pajęczyną, a potem zabierają się do zalotów. Mają nadzieję, że zdążą skończyć kopulację, nim wielka dzika samica zje muchę.

– Przynosisz mi muchę?

– Nie.

– To nieostrożnie z twojej strony.

– Muchę należy podsunąć Bonicie Hersch.

- Zrobiłeś to?
- Nie zbliżyłem się do pajęczyny.
- Jeśli kiedykolwiek to zrobisz, McGee, obedrę cię ze skóry tępym nożem i rzucę na pożarcie wężom.
- Jest pani dziś bardzo groźna, panno Gibson.
- Jestem po prostu dzika, zdrowa i zmęczona czekaniem, człowieku!

Bez ostrzeżenia, z wyjątkiem psotnej miny, wskoczyła na mnie, obejmując mnie ramionami i oplatając nogami w talii. Przyłożyła wargi do mojej szyi i wydała z siebie ciche, zadowolone warknięcie. Zacząłem z nią chodzić po mieszkaniu, jakby na mnie nie wisiała. Zagwizdałem jakąś melodię, podniosłem gazetę i przejrzałem ją, podążyłem do kuchni i napiłem się wody. Później wróciłem do pokoju i posadziłem Ninę na łóżku. Obróciła głowę, przyłożyła swój nos do mojego i spojrzała na mnie rozszerzonymi oczami.

- Nino, kochanie! Skąd się tu wzięłaś?
- Zagramy w sowę?
- Jasne. Jak się w to gra?
- Otwórz szeroko oczy. Kto pierwszy mrugnie, ten jest głupią sową.

Wygrała trzy rundy z rzędu. Powiedziałem jej, że jeśli zagra zgodnie z moimi regułami, nie będzie jej tak łatwo wygrać. Odparła, że i tak wygra, niezależnie od reguł. Zaproponowałem grę w rozbieraną sowę. Stwierdziła, że z radością mnie zdeklasuje. Położyliśmy ubrania na krześle. Wygrałem trzy rundy z rzędu. Nazwała mnie brudnym, podstępny oszustem i dodała, że jeśli przyszedłem tylko po to, by grać w dziecinne gry, mogę wracać do Bonity. Odparłem, że w tej formie nie jest to gra dla dzieci, lecz raczej dla młodych dorosłych. Zauważyła, że gdybyśmy siedzieli bez ruchu jeszcze przez jedną cholerną minutę, zwyciężyłaby w ostatniej rozgrywce i w całym turnieju, bo nie da się grać w żadną grę, kiedy ktoś nieustannie rozprasza partnera.

Była cudowna. Wygrała, odwracając moją uwagę. Kiedy się roześmiałem i mrugnąłem, wydała okrzyk triumfu i powoli zrobiła zęza, spoglądając wielkimi błękitnymi oczami na czubek swojego nosa. Śmiałyśmy się, aż dostała czkawki, po czym postanowiła przeprowadzić eksperyment, czy pomoże jej uprawianie seksu. Stwierdziła, że jeśli tak, może się to stać znacznie popularniejsze od wstrzymywania oddechu lub popijania wody małymi łykami.

W poniedziałek rano Nina smażyła jajecznicę, ubrana do wyjścia do pracy, i nagle odwróciła się w moją stronę.

– Hej, posłuchaj! – zawołała.

– Co takiego, kochanie?

– Po prostu coś mi się przypomniało. Wyleczyłam się z czkawki.

– Tak, ale czy możemy to opatentować?

Uśmiechnęła się psotnie.

– Może nie, ale będziemy wiedzieć, co robić, jeśli jej znowu dostanę.

Poklepałam ją i odrzekłam:

– Nowoczesna medycyna zajmuje się nie tylko leczeniem, lecz również profilaktyką, Nino.

Zastanawiała się przez kilka sekund.

– Wiesz, kochanie, to naprawdę niesamowite, ale może już nigdy w życiu nie dostanę czkawki. Przynajmniej tyle możesz dla mnie zrobić.

Była cudowna. Podała jajecznicę i włożyła patelnię do zlewu. Później odwróciła się i spojrzała na mnie z wyrazem lekkiej desperacji.

– Powiedz mi: czy nie zachowuję się zbyt kokieteryjnie jak na twój gust? – spytała.

– Jak?

– Jak mała rozbrykana dziewczynka, niesmacznie figlarna, łobuzerska. Wiesz, co mam na myśli. Kokieteryjnie, na litość boską! Nie potrafię być dystyngowaną damą, która wzdycha z miłości. Kiedy uprawiam z tobą seks, mam ochotę na zabawę, żarty, z wyjątkiem chwil, gdy naprawdę jest mi dobrze. Czy to cię wkurza?

– Wcale nie.

– Mogłabym spróbować być bardziej czarująca.

– Siadaj i jedz jajecznicę, nim wystygnie, głupia kobieto!

– Kiedy mnie dotykasz, zaraz zaczynam chichotać. To po prostu radość. Ale nie chcę, żebyś mnie traktował jak głupią dziewczynkę.

– Uwielbiam twój chichot i żarty. Gdybym to ja cię wynalazł, stworzył, zaprojektował, dał ci głos, byłabyś dokładnie taka sama jak teraz. Czy to cię uspokaja?

– Tak... Ale czy miłość powinna być taka cholernie zabawna?

– Chyba zawsze taka była, dopóki nie pojawiła się pruderia.

Przez kilka minut z poważną miną jadła jajecznicę, zerkając na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Trav?

– Tak, kochanie?

– Więc może właśnie na tym polega mój problem. Za bardzo się martwię, że tak się cieszę miłością. Uwielbiam każdą chwilę. Obejmuję cię, kiedy śpisz, i czuję słodycz w sercu. Chciałabym być tobą. Chciałabym, żebyśmy się stali jedną istotą, mającą tę samą skórę, wspólnie odczuwającą ból i przyjemność. Ostatniej nocy, gdy spałam sama, odwróciłam głowę i pocałowałam własne ramię. Dostrzegłam w tym pewien sens i głośno się roześmiałam, bo to było nasze wspólne ciało i całowałam je naszymi wspólnymi ustami.

Spojrzałem na jej szczerą, zatroskaną twarz.

– Nino, odczuwanie przyjemności nie jest głupie ani złe. Złość to celowe wyrządzanie ludziom krzywdy. Kocham cię taką, jaka jesteś. Dajesz mi wielką radość. I parzysz koszmarną kawę.

– Wiem. Prawda, że okropna?

Odprowadziłem ją do pracy. Kiedy się zegnaliśmy, powiedziała:

– Pozwalam ci siedzieć na murku i gapić się lubieżnie na Królową Śnieżkę, gdy na mnie czekasz.

– Lubię kobiety w białych sweterkach.

– Więc kup mi taki. Jeśli jesteś fetyszystą, chętnie poznam twoje upodobania.

Włączyła się w tłum ludzi wchodzący do biurowca.

8

W poniedziałek rano ogoliłem się w hotelu, a następnie poszedłem do skrytki, wyjąłem tysiąc dolarów, ponownie zakleiłem kopertę i schowałem ją do sejfów.

Chociaż czułem lekką bezradność na myśl o próbie przeniknięcia przez mur złożony z pieniędzy, jakim otaczają się bogacze – może dla ochrony przed ludźmi mojego pokroju – to byłem przekonany, że potrafię dotrzeć do świata ekskluzywnych call girls działających w Nowym Jorku. Nigdy nie korzystam z tego rodzaju usług, lecz moja pewność siebie może świadczyć o pozycji społecznej. Musiałem kiedyś rozwiązać pewną sprawę w Chicago, gdzie miałem do czynienia z tym środowiskiem, i domyślałem się, że w Nowym Jorku sytuacja wygląda podobnie.

Zakładałem, że w mieście nie ma wielu agencji towarzyskich zapewniających usługi kosztownych, luksusowych prostytutek. Nie interesowały mnie prywatne przedsięwzięcia kilku dziewczyn – dwóch lub trzech przyjaciółek znających dostatecznie wielu strażaków, by rozpocząć działalność o charakterze półzawodowym. W Nowym Jorku musiały pracować setki takich prostytutek, lecz Baynard Mulligan uznałby korzystanie z ich usług za zbyt ryzykowne. Nie podlegały żadnej kontroli i mogły się okazać neurotyczkami, alkoholiczkami, złodziejkami lub cierpieć na choroby weneryczne. Zależałoby mu na nawiązaniu kontaktów z agencją prowadzoną w sposób profesjonalny – dyskretną, luksusową, godną zaufania, dokładnie sprawdzoną i płacącą za niezbędną ochronę. Nie wyobrażałem sobie, by w Nowym Jorku mogły istnieć więcej niż trzy firmy tego typu.

Trafiłem przy pierwszej próbie. Zwróciłem się do dyrektora hotelu, w którym niegdyś mieszkałem, nim stałem się do tego stopnia rozpoznawalny, że straciłem część swobody ruchów. Dyrektorowi przedstawił mnie wicedyrektor, będący moim znajomym. Mój rozmówca zachowywał się

bardzo nerwowo i ostrożnie. Powiedziałem mu, że do miasta przyjeżdża trzech moich przyjaciół z Wenezueli i chciałbym im zapewnić towarzystwo trzech pięknych dziewcząt – wysokiej klasy, inteligentnych, eleganckich i chętnych spełniać życzenia klientów – cena nie gra roli. Wykręcał się, wahał i udawał, że nie może pomóc, lecz w końcu poradził mi, żebym spróbował skorzystać z pomocy agencji Arts and Talents na Zachodniej Trzydziestej Ósmej Ulicy. Powinienem się skontaktować z panią Smith, ale mam działać we własnym imieniu i nie wolno mi się na niego powoływać.

Zatelefonowałem i poprosiłem o połączenie z panią Smith. Miała nudny, zmęczony, rozlazły głos.

– Agencja artystyczna Arts and Talents. Czym mogę służyć?

Powiedziałem, że chciałbym zatrudnić modelkę, a ona spytała, czy posiadam konto w agencji. Odparłem, że nie, lecz pragnąłbym je otworzyć. Zaproponowała, bym przyszedł do biura osobiście i porozmawiał z nią na ten temat; gdybym zamierzał przybyć wkrótce, mogłem iść prosto do pokoju numer tysiąc sto trzydzieści, nie zgłaszając się do recepcji.

Siedziba agencji mieściła się w wielkim, brzydkim budynku biurowym przypominającym labirynt, z hałaśliwymi windami i wąskimi zagraconymi korytarzami. Arts and Talents okazała się dużą firmą, mającą wielu klientów, prawdopodobnie całkowicie legalną. Przed głównym wejściem do biur na dziesiątym piętrze stały grupki młodych ludzi, którzy pili colę i paplali. Wyglądali na uczestników castingu dla aktorów.

Zapukałem do drzwi pokoju numer tysiąc sto trzydzieści i wszedłem do środka. Znalazłem się w kwadratowym pomieszczeniu o wymiarach trzy na trzy metry, z jednym wąskim oknem, dużym, odrapanym biurkiem, trzema telefonami i rzędem segregatorów. Pani Smith pisała na maszynie. Była bardzo gruba; miała siwe włosy o niebieskawym odcieniu, twarde jak kamień oczy i niewielkie usta. Nie wyglądała złowrogo. Wydawała się zmęczona, znudzona i pochłonięta pracą biurową. Spojrzała na mnie wzrokiem rzeźnika taksującego porcję wołowiny.

– Telefonowałem w sprawie otwarcia konta.

– Proszę usiąść. Przepraszam na moment. – Skończyła pisać, wyjęła kartkę z maszyny i schowała do kartonowej teczki leżącej na biurku. Jej tłuste dłonie były bardzo zręczne. Wreszcie odwróciła się w moją stronę. – Czy mógłby pan podać swoje nazwisko?

– Wolałbym najpierw poznać procedury.

Popatrzyła na mnie lekko urażonym wzrokiem.

– Dane naszych klientów są całkowicie poufne. Jeśli otworzymy panu konto, otrzyma pan indywidualny numer identyfikacyjny. Nie prowadzimy kartoteki zawierającej nazwiska klientów, ale muszę obejrzeć pański dokument tożsamości i zatwierdzić wydanie numeru identyfikacyjnego.

– Nazywam się Travis McGee – odrzekłem i wręczyłem jej swoje prawo jazdy wydane na Florydzie.

– Gdzie pan mieszka w Nowym Jorku?

Podaliśmy nazwę hotelu. Poprosiła mnie o wyjście na korytarz, aż mnie zawoła. Czekałem około czterech minut. Otworzyła drzwi i skinieniem głowy zaprosiła mnie z powrotem do środka.

– Zwykle nie otwieramy kont bez weryfikacji dokonanej przez jednego z naszych klientów. Musimy również wiedzieć, kto nas zarekomendował.

– Człowiek, który państwa zarekomendował, zastrzegł, bym nie wymieniał jego nazwiska. Dlatego prosiłbym, by nie zwracała się pani do niego. – Spytała, kto to był. Udzieliłem odpowiedzi.

– Zna pan właścicieli innych kont?

– Sądzę, że tak. Ale w tej sytuacji wolałbym nie wymieniać nazwisk. Czy wystarczyłby adres?

– Możliwe.

– Wschodnia Siedemdziesiąta Pierwsza Ulica, apartament dziewięć A. Uważam, że to jedno z aktualnych kont.

Przekręciła się w fotelu, odwracając się do mnie tęgimi plecami. Otworzyła segregator z fiszkami. Po chwili go zamknęła i znów na mnie spojrzała.

– Tak, naturalnie – rzekła i jej ton stał się znacznie mniej nieufny. – Czy ten klient również nas polecił?

– Konkretna rekomendacja ze strony tej osoby byłaby mało prawdopodobna, pani Smith. Ale słyszałem pozytywne komentarze o... usługach świadczonych przez państwa firmę. Miały one charakter ogólny.

– Właściciele indywidualnych kont pokrywają należności gotówką. Minimalne honorarium modelki wynosi dwieście dolarów. Czy to panu odpowiada?

– Naturalnie.

– Moim zdaniem możemy otworzyć panu konto. Czy zechciałby pan zanotować numer?

Pożyczyłam pióro i na brzegu jednej z moich kart kredytowych zapisa-
łem cyfry dziewięćdziesiąt siedemnaście. Potem podyktowała mi zastrzeżo-
ny numer telefonu, gdzie miałem dzwonić, i również go zanotowałem.

Wkręciła do maszyny formularz formatu dwanaście i pół na dwadzieścia
centymetrów i rzekła:

– Standardowa procedura wygląda następująco. Nasi klienci dzwonią pod
otrzymany numer telefonu, podają numer swojego konta i czas, gdy chcieli-
by zaangażować jedną z dziewcząt. Jednocześnie zostawiają własny numer
telefonu, gdzie możemy oddzwonić w ciągu godziny. Wypełnię teraz pań-
ską kartę preferencji. Kiedy pan zatelefonuje, zajrzemy do niej, sprawdzi-
my, które dziewczęta spełniające pańskie wymagania są wolne, umówimy
spotkanie, oddzwonimy i podamy szczegóły. Muszę zadać panu kilka pytań
na temat pańskich oczekiwań, by zapisać je na karcie.

– Oczywiście.

– Po pierwsze, czy chodzi o normalne usługi świadczone przez modelki?
Czy będzie pan jedyną osobą uczestniczącą w spotkaniu i czy nie pojawią
się bardzo nietypowe wymagania?

– Jestem zainteresowany wyłącznie normalnymi usługami.

– Przybliżony wiek?

– Eee... od dwudziestu dwóch do dwudziestu sześciu lat.

– Typ rasowy?

– Słucham?

– Nordycki, śródziemnomorski, azjatycki, egzotyczny?

– Nordycki.

– Budowa?

– Szczupła, dość wysoka.

– Specjalne oczekiwania?

– Cóż... umiarkowana inteligencja i reprezentacyjny wygląd.

– Wszystkie dziewczęta pracujące w naszej agencji są inteligentne, repre-
zentacyjne i eleganckie. Z wyjątkiem niektórych modelek egzotycznych
można je wszędzie zabrać. Wiele z nich ma świetną pracę.

– Czy na pani karcie znajduje się rubryka „poczucie humoru”?

– Przekona się pan, że nasze modelki potrafią się dostosować do każdego
wymaganego nastroju. To cudowne dziewczęta. Chciałby pan zaangażować
jedną z nich na dzisiejszy wieczór? Czy dobrze pana zrozumiałam?

– Jeśli to możliwe.

– Wolimy dwudziestoczworogodzinne wyprzedzenie, ale w poniedziałek wieczór nie ma szczególnego problemu. – Obróciła się i przesunęła fotel w stronę niskiego segregatora. Widziałem, że przegląda i sortuje fotografie, porównując je z listą. Później odwróciła się z powrotem do biurka i położyła na blacie cztery półmatowe zdjęcia formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Spodziewałem się fotografii w erotycznych pozach i ze zdziwieniem zobaczyłem, że są to artystyczne zdjęcia portretowe wykonane przez dobrego fotografika potrafiącego ładnie ustawiać oświetlenie. Cztery bardzo piękne dziewczyny, blondynki o wrażliwych twarzach. W prawym górnym rogu każdego zdjęcia znajdował się skomplikowany kod złożony z cyfr.

– Te modelki pasują do danych zawartych w pańskiej karcie preferencji. Gdyby w którymś momencie chciał pan zmienić swoje wymagania, proszę zatelefonować pod numer, który panu podałam, albo przyjść do nas osobiście, by obejrzeć fotografie dziewcząt.

– Podziwiam znakomitą organizację państwa firmy, pani Smith.

– Dziękuję. Działamy na rynku od bardzo dawna. Nie możemy sobie pozwolić na niedbalstwo. Jeden z właścicieli kont korzysta z naszych usług od jedenastu lat i każdego roku zabiera którąś z dziewcząt na długi rejs jachtem, zwykle od trzydziestu do czterdziestu dni, płacąc ryczałtem pięć tysięcy dolarów. Powinien pan rozumieć, że dobieramy klientów i modelki z najwyższą starannością. Muszę pana uprzedzić, że prosimy nasze pracownice, by opowiadały nam o ewentualnych problemach z klientami. Jeśli uznamy, że sprawia pan kłopoty, pana konto zostanie zamknięte. Jesteśmy to winni dziewczętom.

– Oczywiście.

– Która z tych modelek się panu podoba?

– Wszystkie są piękne. Zastanawiam się, czy jedna z nich była zatrudniona przez właściciela konta, o którym wspomniałem?

– Dlaczego?

– To dobre pytanie. Gdyby tak było, chętnie bym ją wybrał. Ten klient czy właściciel konta, niezależnie od tego, jak to nazwiemy, wydawał się bardzo zadowolony. Czy mogłaby pani sprawdzić?

– Bardzo dziwne życzenie.

– Nie chciałbym sprawiać kłopotów. Po prostu czułbym się pewniej... za pierwszym razem.

Spojrzała na mnie kamiennym wzrokiem, a później wzruszyła ramionami.

– Sprawdzenie zajmie tylko chwilę. – Trwało to dłużej niż chwilę. Kilkakrotnie ciężko westchnęła. Zajrzała do segregatora z fotografiami i powiedziała: – Nasze modelki również wypełniają karty preferencji. Sądzę, że wszystkie cztery byłyby gotowe pana zaakceptować. – Odwróciła się z powrotem do biurka. – Klient, o którym pan wspomniał, nie korzystał z usług żadnej z tych czterech dziewcząt. Zaangażował dwie inne, pasujące do pańskiej karty preferencji.

Pierwsza miała dość banalną, ładną buzię, lecz druga wyglądała bardziej interesująco. Jej nieco przebiegła twarz miała ostre rysy, a górne powieki były dość ciężkie.

– Ta – powiedziałem.

– Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że musi pan dysponować apartamentem, do którego mógłby ją pan zabrać?

– Tak.

– Czy zechciałby pan poczekać na korytarzu?

Tym razem oczekiwanie trwało dłużej niż przedtem. Kiedy znów zaprosiła mnie do gabinetu, powiedziała:

– Spotka się z panem dziś wieczorem za kwadrans siódma w barze Satin House przy Zachodniej Czterdziestej Ósmej. Pozna ją pan na podstawie fotografii. Wolałaby, aby przyszedł pan trochę wcześniej i siedział przy barze, gdy się pojawi, by od razu ją zauważyć. Ma na imię Rossa. – Przeliterowała imię dziewczyny, wymawiane „Rosa”.

– Nazwisko?

– Zgodnie z naszą polityką dziewczęta same podejmują decyzję, czy chcą podać swoje nazwisko klientowi. Jeśli nie, nazywa się Rossa Smith. To czarująca dziewczyna. Jej honorarium wynosi dwieście pięćdziesiąt dolarów. Powinien pan umieścić pieniądze w niewielkiej zaklejonej kopercie i przekazać je w dogodnej chwili. Poza tym muszę pana poprosić o pozostawienie mi kaucji w wysokości dwustu dolarów. Zostanie ona zaksięgowana na pańskim koncie. To zabezpieczenie na wypadek, gdyby nie pojawił się pan na spotkaniu. W takiej sytuacji przed następnym spotkaniem poprosimy pana o wpłacenie nowej kaucji tej samej wysokości. Jeśli nie ma pan przy sobie gotówki, może pan przynieść mi ją dziś do piątej po południu.

– Mam pieniądze.

– Dobrze. Dziękuję. Gdyby w którymkolwiek momencie chciał pan złożyć skargę na modelkę, proszę się nie wahać tego zrobić. Muszę dodać, że takie skargi są bardzo, bardzo rzadkie. Numer telefonu, który panu podałam, jest czynny całą dobę. Ma pan jakieś pytania?

– Jeśli Rossa mi się spodoba, czy będę mógł znów o nią poprosić?

– Tak, oczywiście. Wielu właścicieli kont prosi o konkretne dziewczęta.

– Uśmiechnęła się lekko, wykrzywiając maleńkie wargi. – Jestem pewna, że wyda się panu czarująca. Ach, zapomniałam wspomnieć, że gdyby chciał pan urządzić przyjęcie i potrzebował dwóch lub więcej dziewcząt, byłibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał się pan pojawić u nas osobiście, zamiast ułatwiać formalności przez telefon.

– Rozumiem. Eee... jak wysokie mogą być stawki?

– Najczęściej dwieście lub dwieście pięćdziesiąt dolarów. Kilkanaście dziewcząt bierze trzysta dolarów; kilka czterysta, a dwie pięćset. Honoraria się zmieniają w zależności od wielkości naszej listy i zalet konkretnych modelek. Mieliśmy dziewczęta, których stawka wynosiła tysiąc dolarów, ale nie ostatnio.

– Z jakiego powodu usługi niektórych modelek są warte pięćset dolarów?

Wyraz twarzy pani Smith świadczył o tym, że uznała moje pytanie za wulgarne.

– To dziewczyny powszechnie znane, zwykle z telewizji. Niektórzy klienci lubią się pokazywać publicznie z modelkami, które są rozpoznawalne. Przeważnie nie zostają one długo na naszej liście. – Nagle jej uśmiech stał się zaskakująco złośliwy. – Albo pną się w górę, albo lecą w dół.

Pożegnałem panią Smith, opuściłem budynek, po czym okazało się, że zaczął padać deszcz i chodniki pokryły się kałużami czarnej brei. Nie udało mi się wypatrzeć pustej taksówki. Wszedłem do drogerii na rogu. Spoglądałem na ładne dziewczęta śpieszące ulicą w strugach ulewy. Chociaż wiedziałem, że to absurd, patrzyłem na nie innymi oczami i zacząłem się zastanawiać, czy one również figurują na jakiejś liście. Widziałem tylko grubą, nalaną kobietę w niewielkim, tanim biurze, lecz łatwo wyobrażałem sobie resztę organizacji – ludzi zajmujących się werbunkiem, grzecznych, muskularnych mężczyzn dbających o to, by dziewczęta nie sprawiały kłopotów. Nie kochały się jak siostry, a pani Smith nie była matką.

Zadzwoiłem z drogerii do Terry Drummond. Przeklinała mnie ochryple prawie przez trzy minuty, nim zdołałem ją uciszyć i przeprosić, że nie opo-

wiedziałem o spotkaniu z Bonitą Hersch.

Zdałem szczegółowy raport. Zarzuciła mi, że jestem tchórzem. Odpowiedziałem, że to nie tchórzostwo, tylko obrzydzenie. Uważała, że mogłem się dowiedzieć czegoś użytecznego. Odparłem, że teraz mam większe szanse na ponowne spotkanie z Bonitą. Powiedziała, że nie zdawała sobie sprawy, iż jestem taki wybredny. Przestała na mnie warczeć dopiero wtedy, gdy wspomniałem, co zamierzam, i obiecałem przyjechać do niej za jakąś godzinę.

Zajął to dłużej niż godzinę. Boy hotelowy wziął ode mnie ciężki karton i zaniósł do apartamentu Terry. Patrzyła z zainteresowaniem, jak rozpakowuję i podłączam magnetofon. Mógł nagrywać przez dwie godziny i działał bardzo cicho; prędkość przesuwu taśmy wynosiła dziewięć i pół centymetra na sekundę. Idealnie się mieścił pod fałdami obicia kanapy, a w pobliżu znajdował się w ścianie kontakt elektryczny. Umieściłem magnetofon w taki sposób, by można było łatwo go obsługiwać ze skraju kanapy, za którą ukryłem w zasłoniętym miejscu niewielki mikrofon. Włączyłem urządzenie i zaczęliśmy eksperymentować; regulowaliśmy wzmocnienie, rozmawiając w różnych częściach pokoju, a następnie odtwarzaliśmy nagrania. Powinno się udać, jeśli dziewczyna nie opuści tej połowy pokoju. Terry była pewna, że potrafi ją skłonić do zajęcia miejsca na kanapie, idealnego do sporządzenia dobrego nagrania.

Miała wiele pytań, lecz nie zdążyła ich zadać, gdyż była umówiona na późny lunch. Zostało mi sporo czasu. Deszcz przestał padać. Zjadłem kanapkę, a potem poszedłem obejrzeć siedzibę firmy Armistera. Mieściła się w wąskiej bocznej uliczce w dzielnicy finansowej, w starym dwukondygnacyjnym budynku z kamiennymi ozdobami wokół gzymsów. Do dostojnego wejścia prowadziły trzy kamienne schodki. Obok znajdowała się mosiężna tabliczka z wygrawerowanym napisem „Armister-Hawes”; staroświeckie litery wytarły się od częstego polerowania. Na parterze budynku dyżurował umundurowany portier, który utrzymywał porządek i otwierał gościom drzwi.

Znalazłem automat telefoniczny w biurowcu położonym przecznicę dalej, zadzwoniłem do Niny i powiedziałem, że mogę się spóźnić. Kazałem jej coś zjeść i cierpliwie czekać.

- Nie chcę zaczynać, dopóki nie przyjdiesz – rzekła.
- To dowcip z zamierzonych czasów i jestem zaskoczony, że go znasz.

– Zamierzam być dla ciebie stałym źródłem niespodzianek i konsternacji, McGee.

– Jak dotąd świetnie ci idzie. Co z twoimi rozbitymi drzwiami? Wezwałś ślusarza?

– Dziś je naprawią. Co jest takie ciekawe, że nie możesz na mnie czekać, jak wrócę z pracy?

– Stoję w kolejce za wysoką blondynką.

– Chyba nie jesteś mną wystarczająco zajęty, kochany.

– Wracaj do deski kreślarskiej.

– Dostałam premię. To ładny niebieski czek. I znów mnie uszczypnięto w windzie. Czy coś ci to mówi?

– Powiem ci, co mi mówi, jak się spotkamy dziś wieczorem.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, zaczęło mnie prześladować jakieś niepokojące wspomnienie i przez chwilę nie mogłem się zorientować, o co chodzi. Potem przypomniałem sobie ordynarne, chaotyczne rozmowy przez telefon połowy, jakie prowadziłem kiedyś z Mikiem Gibsonem. Myśl o tym była jak nieoczekiwany cios w serce. Zastanawiałem się, dlaczego Nina i ja nie rozmawialiśmy już więcej o Mike’u. Może się domyślała, że wywoła to we mnie konsternację, poczucie winy? Nie chciała być fotografią dwunastoletniej dziewczynki w portfelu Mike’a. Wiedziałem, że to niemożliwe. Nie mogły być tą samą osobą. Nigdy.

Wrzuciłem do automatu kilka monet i wysłałem Mike’owi depeszę, którą miała przeczytać pielęgniarka. **WSZYSTKO IDZIE LEPIEJ, NIŻ PRZEWIDYWAŁEŚ. SZCZEGÓŁY WKRÓTCE.** Nadając telegram, czułem się jak świnia. „Wstrząśnij nią w razie potrzeby, Trav” – powiedział. Wielkie dzięki, stary.

Znów przeszedłem obok siedziby firmy Armister-Hawes, tym razem po przeciwnej stronie ulicy, zastanawiając się, czy mogę zaryzykować wejście do środka i rozmowę z Bonitą. Czy miałoby to jakiś sens? Minąwszy budynek, zerknąłem do tyłu i zobaczyłem zatrzymującego się przed nim wielkiego czarnego lincolna. Powoli wysiadł z niego ogromny, barczysty szofer w niebieskoszarym uniformie. Schowałem się w pobliskiej bramie i patrzyłem. Było za dwadzieścia czwarta. Szofer okrążył samochód, zatrzymał się, wyjął chusteczkę i wytarł plamkę na jednym z okien. Z budynku wyszedł portier; stanęli koło siebie i zaczęli rozmawiać. Od czasu do czasu portier zerkał przez szklane drzwi do wnętrza budynku. Nagle odwrócił się, wbiegł

po schodach i otworzył drzwi; uklonił się, uśmiechnął i dotknął palcami czapki. Z budynku wyszło dwóch mężczyzn oraz kobieta, Bonita Hersch, ubrana w ciemny dopasowany kostium biurowy i biały puszysty szal. Mężczyźni, opaleni i eleganccy, wyglądali na wysportowanych i zamożnych. Jeden był wysoki i szczupły, z pociągłą twarzą, długą szyją i spadzistymi ramionami. Nie nosił kapelusza. Jego siwe włosy ściśle przylegały do czaszki. Drugi mężczyzna, niższy i szerszy w ramionach, miał ciemny kapelusz i jasny płaszcz. Szofer otworzył tylne drzwi lincolna. Wyższy mężczyzna ruszył powoli w kierunku auta. Niższy przystanął i odezwał się do portiera. Ten odpowiedział. Mężczyzna w kapeluszu odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Uderzył portiera pięścią w ramię, a potem podskoczył kilka razy z uniesionymi rękoma, parodiując walkę bokserską. Bonita pociągnęła go za rękaw. Odwrócił się i podążył z nią do samochodu, znów wybuchając śmiechem. Wsiadli do wozu; szofer zamknął drzwi, śpiesznie okrążył samochód i usiadł za kierownicą. Duże lśniące auto ruszyło i odjechało mokrą ulicą.

Szybkim krokiem poszedłem w stronę budynku. Portier właśnie wchodził do środka. Zauważył mnie i przytrzymał drzwi. Był znacznie starszy, niż się wydawało z daleka.

– Czy to nie panna Hersch odjechała przed chwilą?

– Tak, proszę pana, ona, pan Mulligan i młody pan Armister. Skończyli pracę na dziś.

– Młody pan Armister?

Zrobił zawstydzoną minę.

– To po prostu nawyk. Dziś jest tylko jeden pan Armister.

– Panna Morse ciągle pracuje?

– O tak, proszę pana, wyjdzie dopiero o piątej lub później. Proszę iść prosto głównym korytarzem i na końcu skręcić w lewo. Jej biurko znajduje się przed wejściem do gabinetu panny Hersch.

Podziękowałem i poszedłem we wskazanym kierunku. Angela Morse była niską, tęgą blondynką z nerwowym wyrazem twarzy i brzydką cerą. Popatrzyła na mnie z lękiem, aja powiedziałem, że przed chwilą minąłem się z panną Hersch i chciałbym jej zostawić wiadomość, gdybym mógł dostać coś do pisania. Kobieta pośpiesznie podała mi notes i długopis.

„Wpadłem, by Cię zaprosić na kawę, lecz okazało się, że masz dyrektor-skie godziny pracy. Może następnym razem będę miał więcej szczęścia,

Trav” – napisałem.

Angela Morse dała mi kopertę. Włożyłem do niej list bez zaklejania. Powiedziała, że położy go na biurku panny Hersch. Nosiła granatowy kostium z białym kołnierzykiem uczennicy. W grobowo cichym gmachu wyczuwało się atmosferę bogactwa. Sufity były wysokie, dywany puszyste, a boazerie ciemne, lśniące i rzeźbione. Przez otwarte drzwi widziałem niewielką salę konferencyjną, urządzonej z surową prostotą. Biurko Angeli Morse znajdowało się w czymś w rodzaju obszernego, wewnętrznego foyer położonego w centrum budynku, skąd wchodziło się do gabinetów kierownictwa firmy. Na suficie wisiał kryształowy żyrandol, w ścianie znajdował się kominek. Niewielki punktowy reflektor oświetlał obraz olejny w ozdobnej złoconej ramie. Nagle zdałem sobie sprawę, że to na pewno nie reprodukcja stogów siana Maneta. Może kopia? Podszedłem i przeczytałem niewielką tabliczkę przymocowaną do ramy. Manet. Słumiony dźwięk elektrycznej maszyny do pisania Angeli Morse ucichł. W tym otoczeniu wydawał się zuchwały i głupi. Odwróciłem się i spostrzegłem, że kobieta patrzy na mnie, najwyraźniej zastanawiając się, dlaczego nie wychodzę.

– Bardzo ładne pomieszczenie – zauważyłem.

– Trochę jak jaskinia, nie ma prawie żadnego światła dziennego do pracy.

– Korzystają z obu kondygnacji?

– Nie. To znaczy w pewnym sensie tak. Na piętrze są przechowywane artykuły biurowe i stare niepotrzebne akta, które mają chyba tysiąc lat. Jest tam również zakurzony, nieużywany apartament, w którym od lat nikt nie nocował.

– Myślałem, że firma jest dużo większa.

– W tej chwili mamy dwudziestu trzech pracowników. W zeszłym roku było trzydziestu pięciu, lecz nie zarządzamy już tyloma nieruchomościami.

– Wyobrażam sobie, że pan Armister to sympatyczny szef.

Uśmiechnęła się.

– Och, jest naprawdę miły. Bardzo wesoły i dowcipny. Wcale nie nadęty, jak ktoś mógłby sądzić.

Wesoły Charlie Armister. Bogaty, rozrywkowy. Zabawy z Bonitą. Zabawy z modelkami z agencji Arts and Talents.

Podziękowałem jeszcze raz i powoli ruszyłem głównym korytarzem; zaglądałem do gabinetów po obu stronach, patrząc na sympatyczne dziewczęta, które obsługiwały cicho warczące elektryczne maszyny rejestrujące

przepływy finansowe, na spokojnych mężczyzn stawiających znaczki na marginesach sprawozdań księgowych i bankowców mówiących ściszonymi głosami do telefonów i dyktafonów. Był to najdostojniejszy salon bukmacherski na świecie. Podstawowy towar był taki sam.

Po siedzibie firmy Armister-Hawes mój hotel wyglądał jak artykuł jednorazowego użytku. W Nowym Jorku jest coraz więcej takich wysokich, pozbawionych gustu prostopadłościaków, kolorowych pudeł deprymujących ludzi zmuszonych w nich mieszkać i pracować. Psich bud. Jednorazowych klitek dla pracowników, których można w każdej chwili wymienić na innych.

Kiedy brałem prysznic, zastanawiałem się, czy te ohydne nowoczesne budynki, wznoszone w celu uzyskania ulg podatkowych, z zamkniętymi w nich ludźmi otoczonymi dręczącym szumem klimatyzacji, nie odgrywają ważnej roli w kreowaniu atmosfery Nowego Jorku, pełnej smutku i wściekłej goryczy – narastającej aury niezadowolenia i cynizmu. Brzydota rodzi brzydotę. Może się do tego przyczyniać architektura, podobnie jak krótkowzroczna chciwość małych, skrajnie bezwzględnych związków zawodowych. Wal się, koleś, mamy dostać, co nam się należy. Trzydziestogodzinny tydzień pracy. Dwudziestopięciogodzinny tydzień pracy. Wycisnąć ostatni grosz z przerażonej kury znoszącej złote jaja. Tygodniowy czas pracy spada do dwudziestu pięciu godzin, co oznacza, że stawka za godzinę wzrasta do dziesięciu dolarów, a wtedy wszyscy stają się cwani – wiedzą, że wystarczy zorganizować kolejny strajk i zablokować całe to nędzne miasto. A nawet jeśli pracują, to co robią z tym koszmarnym czasem wypełnionym nudą? Jak tylko ktoś spojrzy na ciebie trochę krzywo, masz ochotę go sprać na kwaśne jabłko. Nasz związek jest silny, człowieku. Trzymamy miasto za jaja. Tylko że coś się psuje i nikt dokładnie nie wie, o co chodzi. Widać to w oczach wszystkich ludzi.

9

W Satin House roilo się od elegancko ubranych gości. Przyćmione światło sprawiało, że kobiety wyglądały tajemniczo, a mężczyźni jak ludzie z charakterem. Skrzyło się szkło, błyskały uśmiechy. Dym z papierosów znikał pod sufitem, wessany przez klimatyzatory. Cicha muzyka tłumiła odgłos rozmów. Znalazłem stołek na końcu baru w pobliżu wejścia; prawy bark opierałem o ścianę, a po lewej stronie znajdowały się plecy potężnego mężczyzny w garniturze, zasłaniając mi widok. Barmani zręcznie zdejmowali z półek lśniące butelki i stawiali je na ladzie z ciemnego drewna z wykończeniem z czerwonej skóry.

Postawiłem przed sobą drinka i przez cały czas spoglądałem w bok, na drzwi. Przybyła punktualnie, nie rozglądając się, absolutnie pewna, że zostanie zauważona.

Była szczupła i wysoka, lecz nie tak bardzo, jak sądziłem na podstawie twarzy. Nosila szarozieloną wełnianą sukienkę, kurtkę z genetycznie zmodyfikowanych norek, pasującą kolorem do jasnokasztanowych włosów, i kapelusz, który wyglądałby śmiesznie na kobiecie pozbawionej jej urody i królewskiego spokoju; buty i duża torebka ze srebrną klamrą były wykonane ze skóry jaszczurki.

Szybko do niej podszedłem.

– Przybyłaś punktualnie, Rosso.

– Witaj! – rzekła z uśmiechem. Ciepło, które zabrzmiało w jej głosie, dorównywało subtelnością zapachowi jej perfum.

– Mam na imię Trav. Znalazłem dla nas miejsce w rogu.

Zaprowadziłem ją w stronę baru. Mężczyzna o szerokich plecach zajął mój stołek. Siedział odwrócony, rozmawiając ze swoim towarzyszem.

– Przepraszam – odezwałem się. Zerknął na mnie bez najmniejszego zainteresowania, nie przerywając konwersacji z przyjacielem. – Przepraszam

– powtórzyłem. Tym razem nawet na mnie nie spojrział.

Nowy Jork zaczynał mnie powoli męczyć. Usłyszałem, że przyjaciel mężczyzny nazywa go Bernie. Położyłem czubki palców na podbródku Berniego i obróciłem jego twarz w swoją stronę. Chwycił mnie za nadgarstek i próbował odepchnąć moją rękę. Napiąłem mięśnie i nie zdołał jej poruszyć nawet na centymetr.

– Zejdź z mojego stołka, Bernie, bo inaczej zrobię okropną, karczemną scenę – powiedziałem. – Mogę ci odgryźć jedno z twoich ślicznych uszek.

Zauważyłem, że z boku zbliża się barman, i czułem na plecach wzrok kierownika sali.

– Ach, siedział pan tutaj? – odezwał się Bernie. Podjął rozsądną decyzję i uniósł się z miejsca. Stał po drugiej stronie swojego przyjaciela i roześmiał się bardzo, bardzo serdecznie, ukazując lśniące zęby.

Rossa usiadła na moim stołku i zamówiła słodki wermut z lodem. Wcisnąłem się między nią a jednego z klientów i stanąłem przy barze.

– Tak naprawdę nie lubię wywoływać awantur – rzekłem.

– Od razu bym uciekła – odparła. – Jestem bardzo lękliwa.

Mówiła z leciutkim cudzoziemskim akcentem, prawdopodobnie duńskim lub skandynawskim. Kiedy szła i siadała na stołku barowym, poruszała się zgrabnie, w sposób płynny i zwinny. Miała wyrazistą twarz o ostrych rysach, której płaszczyzny i dołeczki wyglądały atrakcyjnie, lecz inaczej niż zwykła, krągła, ładna buzia. Brwi, ciemniejsze od włosów, były stale uniesione, nadając twarzy lekko pytający wyraz. Ciężkie, wąskie górne powieki przysłaniały jasnoszare oczy o kolorze podobnym do moich. Miała bardzo ładną cerę i szerokie, pełne wargi podkreślone pomarańczową szminką.

– Duszno tu, Rosso. Odnieść swoją kurtkę do szatni?

– Chcesz długo siedzieć w takim tłumie, Trav? – spytała, wymawiając moje imię z lekkim wahaniem.

– Chyba nie.

– Mnie też to nie odpowiada. W pobliżu jest bar, gdzie moglibyśmy wypić drinka. Nie ma tam tłoku i łatwo znajdziemy stolik. Chyba że znasz inny lokal, do którego wolałbyś iść?

– Chodźmy tam, gdzie proponujesz.

Uśmiechnęła się lekko, marszcząc nos.

– Dopijmy szybko drinki i pozwólmy Berniemu zająć jego stołek, co? Wtedy znów się poczuję ważny.

Przeszliśmy kilkaset metrów do następnego lokalu. Chodziła ładnym długim krokiem. Znaleźliśmy niewielki, odgradzony niebieskim przepierzeniem stolik dla dwóch osób pod ścianą pogrążoną w półmroku. Rossa zręcznie podtrzymała konwersację. Powiedziała, że nazywa się Rossa Hendit i pracuje w biurze linii lotniczych na Piątej Alei. Nie wymieniła nazwy. Domyślałem się, że chodzi o Swenska, Nordway lub Fiordlund; zapewne pracowała w jednym z niewielkich biur, które mają w oknie wizerunek samolotu i mapę z trasami lotów do dalekich krajów.

Powiedziałem, że jestem z Florydy. Rossa odwiedziła kilka razy Miami. Rozmawialiśmy o klimacie, owocach cytrusowych, plażach i olejku do opalania. Nie wyglądała ani nie zachowywała się jak kurwa, ale w naszej miłej rozmowie było coś dziwnego. Oboje wiedzieliśmy, że mam w kieszeni kopertę z pieniędzmi, która trafi do jej torebki. Jeszcze nigdy nie znalazłem się w takiej sytuacji. Przeanalizowanie jej zajęło mi dużo czasu. Wreszcie zdałem sobie sprawę, że nie pojawia się między nami żadne napięcie, ponieważ rezultat jest z góry ustalony. Była wyniosłą, piękną dziewczyną, modną i inteligentną, o błyszczących oczach i ładnych ustach. Ale flirt z nią nie miał żadnego smaku. Łania, która podbiega do myśliwego i ustawia się przed lufą strzelby, nie jest ciekawym trofeum. Napięcie jest efektem polowania – pojawia się, gdy tropimy zwierzynę i identyfikujemy jej słabości, stopniowo powiększając przewagę myśliwego. Tym razem wszystko zostało ustalone, nim się spotkaliśmy. Pani Smith wyraziła zgodę. Pozostawała tylko kwestia, jaka się okaże w łóżku. Sądząc po jej wyglądzie i cenie, można było mieć pewność, że będzie gładka, zmysłowa, ponętna, aktywna bądź pasywna zgodnie z życzeniami klienta. Wydawała się zdolna do namiętności, ale nikt nie zdołałby ustalić, czy jej reakcje są prawdziwe, czy sztuczne. Domyślałem się, że od pierwszej chwili zaczęła mnie oceniać, taksować, próbując się zachowywać tak, żeby sprawić mi przyjemność. Przede wszystkim chciała, by klient był zadowolony. Tego ją nauczono.

W pewnym momencie zerknąłem na nią znienacka i zauważyłem w jej oczach inny wyraz – całkowity chłód, ponurą, totalną obojętność, która natychmiast znikła, gdy Rossa zauważyła, że na nią patrzę. Właśnie tak wygląda spojrzenie kurwy – pomyślałem; sekret prostytutek polega na całkowitej obojętności, która je uodparnia. Jednocześnie zdałem sobie sprawę, że stosunki z takimi kobietami w ogóle mnie nie interesują, gdyż potrzebuję zaangażowania emocjonalnego. Kontakty z eleganckimi dziwkami są dobre

dla mężczyzn traktujących seks jako nieskomplikowaną czynność fizyczną, wykonywaną z mniejszą lub większą zręcznością z dowolną dziewczyną, która się na to godzi – dla mężczyzn palących cygara, pijących hektolitry ginu, klepiących kobiety po tyłkach; łysiejących dowcipnisiów zajmujących się interesami, brzuchatych przedsiębiorców korzystających z funduszu reprezentacyjnego, podszcypujących kelnerki i opowiadających sprośne kawały, aż wysiądą im nerki lub serce odmówi posłuszeństwa.

Ta elegancka, luksusowa prostytutka spędzała z nimi czas w nocnych lokalach i sama już nie pamiętała, z iloma łysiejącymi mężczyznami poszła do łóżka, by zręcznie zaspokoić ich żądze, gdy tymczasem na nocnym stoliku dymiło cygaro.

– Długo się tym zajmujesz? – spytałem po chwili milczenia.

Odpowiedź padła tak szybko i zabrzmiała tak racjonalnie, że wydawała się starannie przemyślana.

– Nie myśl o takich rzeczach, mój drogi. Będzie nam obojgu przykro. Pracuję przez cały dzień. Wieczorami lubię chodzić do lokali. Umówiłam się z tobą na randkę.

– To tylko przyjacielska ciekawość, Rosso.

– Proszę, skarbie, z tobą czuję się jak na prawdziwej randce. Pozwól mi dalej udawać.

– To znaczy, że z nami jest inaczej?

– Nie czujesz tego, skarbie?

Było to bardzo zręczne. Standardowa praktyka pozwalająca mężczyźnie czuć się ważnym. Każdy klient wierzył, że jest kimś szczególnym. A w końcu, w chwili wielkiego, udawanego orgazmu, Rossa przekonywała go o tym na zawsze. Każdy klient jest wyjątkowy.

– Być może. Ale chcę o tym porozmawiać.

Wydeła wargi w dość ładny sposób i powiedziała:

– Jak taka śliczna dziewczyna jak ty zaczęła się tym zajmować? Czy to nie banalne pytanie, Trav? Czy nie powinniśmy rozmawiać o czymś ciekawszym?

– Znasz stary dowcip o tym, co odpowiada piękna dziewczyna?

– Jasne. Mówi, że po prostu miała szczęście. Skarbie, to naprawdę chłopcę z twojej strony, że się tym interesujesz. Zaakceptuj mnie taką, jaka jestem. Jakbym się urodziła godzinę temu, tylko dla ciebie.

– Czysta, świeża, słodka i dziewicza.

Spuściła wzrok i zaczęła oglądać swoje paznokcie. Jej ręka przypominała dłoń Bonity Hersch, choć paznokcie były dłuższe. Popatrzyła na mnie, tym razem naprawdę wzrokiem kurwy, jawnie, niczego nie ukrywając. Pod apetyczną maską kryła się prymitywna, odrażająca wulgarność. Nie musiałem pytać, jak została prostytutką. Była do tego zawodu stworzona.

– Jeśli poczekaś tu godzinę, przyślą kogoś, kto ci się bardziej spodoba. Chyba jedną z nowych dziewczyn. Młodsza i może trochę zdenerwowaną.

– Nie zamierzałem cię obrazić, Rosso.

– Mój drogi, nie jesteś w stanie mnie obrazić. Trudno sobie wyobrazić taką sytuację. Chciałam po prostu sprawić, byś się dobrze ze mną czuł.

– Dobrze się z tobą czuję.

Nagle uśmiechnęła się olśniewająco. Wyglądała jak modelka pozująca do zdjęcia w profesjonalnym atelier fotograficznym, owiewana sztucznym wiosennym wiatrem.

– Bardzo ci się spodobam, nie obawiaj się. Jesteś ciekawym mężczyzną, Trav. Nie chcę, żebyśmy się tak nagle pożegnali. Zapomnijmy o wszystkim i traktujmy to jak zwykłą randkę. Przyszedłeś kupić bilet lotniczy i zaprosiłeś mnie na drinka po pracy. Jestem bardzo przyzwoitą dziewczyną i zastanawiam się, czy nie masz zamiaru sprawić, bym się stała nieco nierozważna. – Wyjęła niewielką złotą zapalniczkę, przypaliła mi papierosa, a później, zapalając własnego, upuściła ją niezręcznie na swoje kolana, skąd zapalniczka stoczyła się na podłogę. Rossa roześmiała się i rzekła: – Widzisz, skarbie? Jestem naprawdę trochę zdenerwowana.

Przykucnąłem koło niebieskiego przepierzenia i zajrzałem pod stolik, szukając zapalniczki. Zauważyłem błysk pod ścianą, wyciągnąłem rękę, podniosłem ją, usiadłem z powrotem na krześle, przypaliłem Rossie papierosa i oddałem zapalniczkę.

– Dziękuję, skarbie – rzekła, wspaniale imitując czułość. Dopiliśmy drinki i zamówiliśmy następną kolejkę.

Czułem, że jestem wyjątkowo sprytny. Zawiozę Rossę Hendit do hotelu Plaza, do apartamentu Terry, i młoda prostytutka nagle odkryje, że wieczór przebiega inaczej, niż się spodziewała. Potrzebowaliśmy tylko rozmowy o Charliem, a Terry mogła za nią bardzo dobrze zapłacić. Nagranie magnetofonowe pozwoli świetnemu adwokatowi Terry złożyć wniosek do sądu o przymusową obserwację Charlesa McKewna Armistera w szpitalu; podpi-

sze go Joanna Armister. Uwolniwszy się spod wpływu Mulligana i Bonity Hersch, Charlie zdemaskuje cały spisek.

Moja partnerka zaczęła okazywać lekkie roztargnienie. Bar był spokojny i goście powoli się rozchodzili. Poszła do toalety i długo nie wracała.

Rzeczywistość to dziwna konwencja. Każdy postrzega ją inaczej. Tworzymy własne wersje rzeczywistości w oparciu o informacje dostarczane przez zmysły, którymi nieustannie weryfikujemy prawdziwość swoich spostrzeżeń. Latem 1958 roku byłem w Acapulco, gdy doszło do silnego trzęsienia ziemi. Obudziły mnie zgrzyty poruszających się dachówek i wycie tysiąca psów. Podszedłem boso do okna. Pod stopami miałem chłodną terakotę i nagle zdałem sobie sprawę, że się rusza – zaczęła falować. Zachwiałem się, tracąc równowagę. To się nie miało prawa wydarzyć. Podłoga jest czymś trwałym i solidnym. Widok falującej terakoty podważył wiarygodność mojej percepcji zmysłowej i wywołał straszliwą, prymitywną trwogę, jakiej nigdy dotychczas nie odczuwałem. Nie mogłem dłużej polegać na własnych zmysłach.

Rossa wróciła z toalety, usiadła i uśmiechnęła się do mnie.

– Wypijmy kolejnego drinka w hotelu Plaza – odezwałem się. Zdanie to kazał wypowiedzieć wargom mój mózg, lecz to, co z nich dobiegło, było dziwnie zniekształcone. Usłyszałem odległe echo własnych słów: – Chodźmy na dół z końcem na zawsze.

Pochylała się w moją stronę z wyrazem żywego zaciekawienia na twarzy.

– Kochany – rzekła. – Kochany, kochany... – Jej słowa zabrzmiały głucho, jakby dobiegały z głębi studni. Otworzyła bardzo szeroko usta i gdy wymawiała głoskę „k”, zobaczyłem drgający różowy język.

Pośrodku jej czoła na linii włosów pojawił się niewielki punkcik. Poruszał się powoli w dół, a jednocześnie po obu stronach odchyłały się różowe, zakrwawione płaty skóry i zobaczyłem lśniąca, twardą kość o żółtawej barwie. Ruchoma linia podzieliła brwi, nos, wargi i podbródek Rossy; miękkie ciało odpadło i ukazała się naga czaszka z czarnymi oczodołami. Obnażone białe zęby uśmiechały się z trupią wesołością, lecz szczeka nadal się poruszała, widziałem wilgotny, różowy język i słyszałem słowa: „Kochany, kochany...”.

Zacisnąłem mocno powieki i z całej siły chwyciłem obiema rękami krawędź stołu. Nagle blat stał się wilgotny, miękki, zaokrąglony. Popatrzyłem w dół, próbując nad sobą zapanować – gdy na niego spojrzałem, zmienił się

w twarde drewno, lecz kiedy zamknąłem oczy, znów stał się miękki w dotyku. Ogarnęła mnie straszliwa trwoga jak podczas trzęsienia ziemi w Acapulco; przelatywała z rykiem przez mój umysł jak czarny wichur. W jakimś dalekim zakamarku mózgu pojawiła się rozsądna ocena sytuacji. Rossa upuściła zapalniczkę i kopnęła ją pod ścianę. Dało jej to dość czasu.

Rozpaczliwie próbowałem zachować jasność umysłu. Chciałem wypowiedzieć dwa słowa. Pragnąłem, by usłyszeli je wszyscy goście obecni w lokalu. Wezwijcie policję!

Usłyszałem, jak z moich ust wydobywa się bełkotliwe, zwierzęce wycie: „Czy Paul gówno zakopał, co?!”. Stężały mi mięśnie. Zaryzykowałem spojrzenie na czaszkę. Znikła. Tak mi się wydawało. Nie byłem pewien. Nie byłem niczego pewien.

Nagle sala gwałtownie się zakołysała i z hukiem uderzyłem barkiem w ścianę. Usiłowałem spojrzeć na ludzi. Stali półkolem na stromej krzywiźnie, wbijając we mnie wzrok. Jeszcze nigdy nie widziałem takich wysokich, smukłych postaci, z małą głowami wielkości pomarańczy. Jedna z nich była policjantem. „Hadda! – ryknąłem do niego. – Hassa hadda!”. Zacząłem wymiotować ze strachu. Z drzwiczek w wąskim brzuchu gliniarza patrzył na mnie wąż.

Potem zaatakowały mnie białe istoty chrząkające jak świnie. Ciągnęły mnie i szarpały, a ja walczyłem z nimi we śnie. Coś przygniotło mnie twarzą do ziemi i poczułem na pośladku lekkie, piekące ukłucie.

Znalazłem się pod nocnym niebem i zobaczyłem nad sobą tysiące małych twarzy. Pochylały się nade mną na smukłych, wiotkich ciałach. Usłyszałem łoskot, metaliczny zgrzyt i trzask drzwi. Ryknął silnik samochodu. Widziałem w górze przesuwające się lampy uliczne. Czułem, że tonę; pojawiła się obok mnie jakaś postać i poczułem dotknięcie na nadgarstku. Przewróciłem się na bok, a samochód pojechał w mrok, krzesząc snopy iskier.

Przez długi czas nie wiedziałem, czy jestem przytomny, czy śnię. Leżałem w łóżku w białym pomieszczeniu. Przez okno, zasłonięte gęstą siatką, wpadało dzienne światło. Mogłem poruszać tylko głowę. Widziałem białą ścianę. Pojawiały się na niej różne obrazy. Długo nie potrafiłem ich kontrolować. We śnie nie jest to możliwe. W ścianie powstawały dziury. Widzia-

łem przerażające miejsca i przerażające stwory. Kopulujące obrzydliwe istoty. Ogromne gnijące owady. Straszliwe bestie pożerające się nawzajem. Ze ściany wychodziły monstra i znikwały, gdy zbliżały się zbyt blisko do łóżka; sztywniałem, czekając, aż mnie zaatakują. W pewnym momencie śmiały się ze mnie setki ludzi. Znajdowali się za łóżkiem, gdzie nie mogłem ich zobaczyć. Ich głosy brzmiały ogłuszająco.

Po jakimś czasie, którego długości nie potrafię określić, zacząłem kontrolować ścianę. Mogłem ją zamknąć i sprawić, by stała się biała i pusta. Przypominało to zaciśnięcie pięści we wnętrzu umysłu. Jeśli rozluźniałem pięść, potwory znów się ukazywały. Po upływie długiego czasu mogłem stopniowo rozluźniać pięść i nic się nie pojawiało. Nabrałem przekonania, że jestem przytomny. Później potrafiłem wywoływać przerażające obrazy tylko wysiłkiem woli: myślałem o nich i zaczynały istnieć. Zblakły, przestały być trwałe. Wreszcie straciłem zdolność ich tworzenia. Znajdowałem się w białym pokoju. Leżałem w łóżku. Mogłem poruszać tylko głową.

Do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn. Stanęli przy łóżku i popatrzyli na mnie. Pierwszy, ubrany w garnitur, miał łysą głowę i młodą twarz. Drugi był wysoki, młody i mocno zbudowany, ubrany w biały fartuch.

– Jak się pan czuje? – spytał mężczyzna w garniturze.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Varn. Doktor Varn. Chciałbym wiedzieć, czy ciągle ma pan halucynacje?

Zrozumienie pytania i znalezienie odpowiedzi zajęło mojemu umysłowi dużo czasu.

– Nie. W ścianie nic się nie pojawia.

– Słyszysz pan jakieś dziwne dźwięki?

– Już nie. Gdzie jestem?

– W szpitalu Toll Valley, panie McGee, na południe od New Paltz koło Nowego Jorku. To prywatna klinika zajmująca się leczeniem zaburzeń nerwowych i psychicznych.

– Dlaczego tu przebywam?

– Bo jest pan chory, panie McGee. Jerry, idź i powiedz doktorowi Moore'owi, że o drugiej możemy poddać pana McGee hipnoterapii.

Mężczyzna w białym fartuchu wyszedł. Usłyszałem odgłos zamykanych drzwi.

– Nie jestem chory.

– Jest pan bardzo chory, panie McGee. Bredził pan i zachowywał się agresywnie w obecności świadków, w tym funkcjonariusza policji. W stanie Nowy Jork każdy policjant może skierować na obserwację psychiatryczną osobę, która zachowuje się groźnie i irracjonalnie, a także, jego zdaniem, stwarza zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego.

Żałowałem, że mój umysł jest taki powolny, zmęczony i mętny.

– Nie powinienem trafić do państwowego szpitala?

– Zazwyczaj tak się dzieje. Ale lecę pana już od jakiegoś czasu, panie McGee. Kiedy zaczął się pan dziwnie zachowywać, pana przyjaciółka, panna Hendit, przestraszyła się i zatelefonowała do mnie. Postarałem się, by skierowano pana do nas.

– Leczy mnie pan od jakiegoś czasu?

– Wynika to z mojej dokumentacji medycznej. Może to również potwierdzić moja pielęgniarka. – Pokręcił głową. – Do wczorajszego wieczoru naprawdę sądziłem, że pana stan się poprawia.

Jego słowa brzmiały tak wiarygodnie, że przeraziły mnie równie mocno, jak obrazy w ścianie. Zmusiłem się do powrotu do rzeczywistości.

– Co ta kurwa wsypała mi do drinka?

– To irracjonalne pytanie, panie McGee.

– Więc proszę udzielić irracjonalnej odpowiedzi. Sprawi mi pan przyjemność.

– W ciągu ostatnich kilku lat dokonaliśmy bardzo ciekawych odkryć dotyczących relacji między składem chemicznym krwi a zaburzeniami psychicznymi. W celu uzyskania reakcji, jakiej pan doświadczył, musiałaby panu podać dość niebezpieczną dawkę skomplikowanego związku chemicznego, który sprawia, że normalny człowiek zaczyna okazywać wszystkie fizyczne i psychiczne objawy schizofrenii w fazie ostrej.

– Ale nie musiała tego robić, bo już wcześniej byłem wariatem.

Spojrzał na mnie z lekkim zdziwieniem i pewną dozą aprobaty.

– Ma pan zdumiewające siły żywotne, psychiczne i fizyczne, panie McGee. Złamał pan rękę dobrze wyszkolonemu sanitariuszowi.

– Doskonale.

– Spodziewałem się, że będzie pan mówił nieco niekoherentnie, lecz pańskie odpowiedzi brzmią rozsądnie. Możemy rozpocząć szybciej, niż oczekiwałem.

– Terapię, o której pan wspomniał?

– Doktor Moore stosuje łagodne środki nasenne w połączeniu z hipnozą. Widzi pan, musimy się o panu znacznie więcej dowiedzieć, panie McGee. Jesteśmy szczególnie zainteresowani pańskimi działaniami w ciągu ostatnich kilku dni.

– Nic wam nie powiem, do cholery!

– To irracjonalne twierdzenie. Ale może wyraziłem się niedokładnie. Nie jesteśmy szczególnie zainteresowani pańskimi działaniami. Zlecono nam przygotowanie dokładnego raportu na ich temat. Znacznie bardziej ciekawią nas pana reakcje na środki psychozomimetyczne.

– Co takiego?

– Nasz specjalista w zakresie chemii organicznej, doktor Daska, syntetyzując pochodne psylocybiny i dwuetyloamidu kwasu lizergowego o zwiększonej sile działania, stworzył kilka ciekawych odmian substancji psychoaktywnych badanych przez Alberta Hofmanna. Związek, który podała panu dziewczyna, ma charakter eksperymentalny i nosi tymczasową nazwę laboratoryjną Daska Piętnaście. Jedna kropla bez zapachu i smaku. Mniej więcej stutysięczna część grama rozpuszczona w wodzie destylowanej. Podstawowe studia w tym zakresie przeprowadziło Centrum Badania Osobowości Uniwersytetu Harvarda, lecz Daska osiągnął większą powtarzalność wyników. Daska Piętnaście wywołuje nieprzyjemne halucynacje, zaburzenia percepcji i komunikacji werbalnej podobne do występujących w trakcie ostrych psychoz i tak dalej. – Najwyraźniej zapomniał, że mówi do mnie. Było oczywiste, że pracuje z poświęceniem i entuzjazmem.

– Gdzie ja właściwie jestem, do cholery?! – spytałem ostro.

Jego młoda twarz stężała, gdy skupił uwagę na mnie, przestając myśleć o odległych perspektywach swoich badań.

– Słucham? Ach, to oddział psychiatryczny szpitala Toll Valley, panie McGee. Zajmujemy się środkami psychozomimetycznymi, neurochirurgią, elektryczną i chemiczną stymulacją mózgu. Nasze podejście do zaburzeń psychicznych ma charakter mechaniczny, a nie psychiatryczny w klasycznym sensie tego słowa.

– Jak lekarz może postępować w taki sposób, do cholery?! Przecież pan wie, że nie powinienem tu przebywać!

– Robimy znaczące postępy w wielu dziedzinach.

Bardzo istotne postępy. – Mówił dziwnie przepraszająco, jakby chciał mnie koniecznie przekonać.

– I co z tego?

– Mamy szympanasy, małpy i gryzonie, które również nie prosiły, by je tu przywieziono, panie McGee.

Mój umysł zaczął pracować szybciej.

– Chce pan powiedzieć, że jestem czymś w rodzaju królika doświadczalnego?

– Nasza praca jest hojnie wspierana środkami fundacji.

Gdybym był postacią z komiksu rysunkowego w gazecie, nad moją głową pojawiłaby się zapalona żarówka.

– Jednej z fundacji Armistera?

Zrobił smutną, przepaszającą minę.

– W tej dziedzinie konieczne jest stosowanie niekonwencjonalnych środków, panie McGee. Nieliczne, jednostkowe wypadki... naruszenia zasad etycznych zostają zrównoważone przez maksymalne korzyści dla ogółu... Bardzo trudno porównywać te dwie rzeczy. Poza tym... – Umilkł niepewnie.

– Co poza tym?

– Próby rekrutacji zdrowych ochotników byłyby niezgodne z prawem. Nieliczni pacjenci szpitala ogólnego, których otrzymujemy, uzyskawszy wszystkie niezbędne zezwolenia, to przypadki tak beznadziejne, że nie jesteśmy w stanie prawidłowo ocenić rezultatów. – Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do mnie. Jego twarz, z której zniknął wyraz lekkiego smutku, wydawała się czysta i wyjątkowo przystojna pod lśniąca łysiną. – Nie jesteśmy potworami, panie McGee. Nie spotka pana nic tak nieprzyjemnego jak to, co pan dotychczas przeszedł. Wiele substancji chemicznych stworzonych przez Daskę ma bardzo miłe działania uboczne. Weźmie pan po prostu udział w serii eksperymentów, a następnie, poddany hipnozie, szczegółowo opowie o swoich przeżyciach i wrażeniach. Będziemy monitorować pana stan fizyczny i kontrolować pracę mózgu za pomocą elektroencefalografu. Pomiędzy eksperymentami poddamy pana wieloczynnikowym testom osobowości, by ustalić, czy pana sprawność się nie pogarsza.

– Bardzo mnie pan pocieszył, doktorze. Czy Charles Armister również tu przebywał?

Zawahał się i odrzekł:

– Gościliśmy go przez dziesięć tygodni. – Spojrzał na zegarek. – Zlecę podanie panu lekarstw i przyślę ludzi, którzy pana umyją i nakarmią, panie

McGee.

– Chce pan mnie utrzymać w dobrym zdrowiu?

– Tak, naturalnie – odpowiedział, uśmiechnął się, skinął głową i wyszedł.

Miałem dziesięć minut dla siebie. McGee, grzeczny, elegancki cwaniak. Z perspektywy czasu jestem zdumiony, jakie szczyty idiotyzmu osiągnąłem. Równie dobrze mógłbym poprosić grupę zawodowych kasiarzy zajmujących się okradaniem banków, by mi wytłumaczyli, jak to robią.

Oczywiście pani Smith z agencji Arts and Talents skontaktowała się ze swoim klientem. Dało to Mulliganowi i jego pomocnikom czas, miejsce i okazję, by się mnie pozbyć. Prawdopodobnie wcześniej zdali sobie sprawę, że zacząłem węszyć – piłem z Bonitą, zostawiłem dla niej w biurze list, nawiązałem kontakt z Terry Drummond, rozmawiałem z policjantami na temat zabójstwa Howarda Plummera, zaprzyjaźniłem się z jego narzeczoną. Kiedy moje działania stały się trochę zbyt irytujące, przeszli do kontrataku. Nawet nie podjąłem elementarnego środka ostrożności i nie pozostawiłem relacji na temat tego, co ustaliłem, by trafiła w ręce policji.

Nagle poczułem strach zupełnie inny od przerażenia wywołanego halucynacjami. Bałem się o Ninę Gibson; obawiałem się, co mogą jej zrobić, gdyby się zainteresowała moim niewytłumaczalnym zniknięciem.

Do pokoju weszła barczysta, jasnowłosa kobieta w białym fartuchu, obnażyła moje ramię, uniosła strzykawkę i zrobiła zastrzyk domięśniowy. Nie odpowiedziała, gdy się do niej zwróciłem. Przed zastrzykiem przetarła mi skórę spirytusem; to samo zrobiła później i opuściła pokój. Po chwili zacząłem się śmiać. Czułem się bardzo, bardzo dobrze. Pał to diabli, niech robią eksperymenty! To dla dobra ludzkości! Gdzieś w głębi mojego umysłu otwierały się drzwi szafy, z której wystawiał jaszczurczą głowę strach i próbował się rozglądać, ale wpychałem go z powrotem do środka. Zamknąłem drzwi szafy. Do pokoju weszli dwaj barczyści sanitariusze. Posadzili mnie i uwolnili z kaftana bezpieczeństwa. Przeprosiłem ich, że pogmiotłem pościel. Nie chciałem być dla nikogo ciężarem. Dyskutowali o zawodowym futbolu amerykańskim i zakładach, jakie zamierzali robić w tym sezonie rozgrywek. Pragnąłem im opowiedzieć jakiś dowcip, by zaczęli się śmiać razem ze mną, lecz nic nie przyszło mi do głowy. Zabrali mnie do łazienki wyłożonej kafelkami, przylegającej do mego pokoju. Kazali mi się rozebrać, a potem wejść pod prysznic z mydłem i szczotką. Umyłem się, nuczając pod nosem. Kiedy wyszedłem, dali mi jasnozielony kombinezon z zamkiem

błyskawicznym od szyi do pachwiny. Miałem wrażenie, że jeszcze nigdy nie nosiłem równie praktycznego i wygodnego ubioru. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego wszyscy nie noszą takich wspaniałych strojów. Dostałem kapcie ze słomianej plecionki. Nie mówili mi, gdzie mam iść, lecz popychali mnie w odpowiednią stronę. Nie przeszkadzało mi to. Byli zajęci rozmową. Jeden z nich uważał, że Green Bay Packers mogą znowu wygrać.

Usiadłem na łóżku. Postawili przede mną tacę na kółkach. Musiałem zjeść wszystko za pomocą twardej gumowej łyżki. Potrawy były pyszne. Sanitariusze stali koło okna zasłoniętego drucianą siatką i rozmawiali. Uśmiechałem się, gdy któryś z nich na mnie spojrzał. Nie zwracali na to uwagi ani nie chcieli się ze mną zaprzyjaźnić. Nie miałem o to pretensji. Kiedy skończyłem posiłek, jeden z nich zaprowadził mnie z powrotem do łazienki i wyjął elektryczną maszynkę do golenia. Obserwował mnie, aż nabrał pewności, że potrafię się nią prawidłowo posługiwać. Chciałem sprawnie się ogolić, by zrobić mu przyjemność.

Poprowadzili mnie korytarzem pomalowanym na szaro jak na okręcie wojennym. Zerknąłem przez jedno z okien i zobaczyłem ładne trawniki, drzewa, kwiaty i daleki parking; ścieżkami spacerowali ludzie. Wszystko było śliczne.

Zaprowadzili mnie do pokoju. Był tam doktor Varn. Ucieszyłem się, że go znowu widzę. Towarzyszył mu jego przyjaciel, doktor Moore. On również był miły, średniego wzrostu, podobnie jak doktor Varn, lecz o śniadej cerze. Posadzili mnie w głębokim fotelu, a potem ustawili go w taki sposób, że czułem się bardzo wygodnie. Zgasili światła. Doktor Moore zapalił nad moją głową małą lampkę, która zaczęła wirować. Obserwowałem ją. Doktor Moore powiedział, że jest mi bardzo wygodnie. Miał miły głos, przyjacielski. Interesował się mną. Bardzo chciałem sprawić mu przyjemność. Było mi dobrze; zamknąłem oczy i skupiłem się na sobie; miałem wrażenie, że spoglądam w ciemność wypełniającą moją głowę. Słyszałem swój głos i głos doktora Moore'a, jakby dobiegały nieco z boku. Mógłbym powiedzieć doktorowi Moore'owi wszystko. Dobrze jest mieć kogoś, komu można wszystko powiedzieć. Dobrze jest mieć kogoś, kto się o nas troszczy. Opisałem mu wszystkie swoje kłopoty, lecz w gruncie rzeczy nie wydawały się już bardzo ważne. Jeśli coś jest nie tak, zajmie się tym doktor Moore.

10

Znów zapadła noc. W moim pokoju zapaliły się światła. Potrząsał mną doktor Varn i nagle się obudziłem. Wyszedłem z łóżka i wstałem. Varn się cofnął. Towarzyszyło mu dwóch sanitariuszy. Inna para. Wyglądali czujnie i kompetentnie.

– Och, sukinsyny! – powiedziałem. – Wstrętni, odrażający dranie...

– Panie McGee, może się pan zachowywać rozsądnie lub nierozsądnie. Jeśli nie będzie pan rozsądny, umieścimy pana w kaftanie bezpieczeństwa. Jest tu ktoś, kto chciałby z panem porozmawiać. Chce, by pan coś zrobił, i zależy mu, by był pan przytomny. Jest pewien, że się pan zgodzi.

Powoli się opanowałem. Nic nie zyskałbym, atakując Varna.

– Będę się zachowywać rozsądnie – odrzekłem. Wymagało to wysiłku.

– Proszę za mną.

Towarzyszyli nam sanitariusze. W korytarzach paliły się niewielkie lampy osłonięte siatkami. Zeszliśmy po wąskich betonowych schodach. Staralem się zapamiętać rozkład pomieszczeń.

Znaleźliśmy się w niewielkiej sali widzeń. Posadzono mnie na metalowym krześle przytwierdzonym do podłogi. Sanitariusze obwiązali moje uda szerokimi pasami przypominającymi samochodowe pasy bezpieczeństwa. Kiedy zaczęli przymocowywać moje ramiona do poręczy krzesła, Varn kazał im przestać. Odesłał jednego z nich, a drugiemu kazał mnie pilnować. Wyszedł i po chwili wrócił z mężczyzną, którego widziałem wsiadającego do lincolna z Armisterem i Bonitą Hersch.

Miał pociągłą twarz i długą szyję. Na pierwszy rzut oka wyglądał na słabego fizycznie, lecz pod eleganckim garniturem rysowały się masywne barki. Miał duże kościste dłonie, grube nadgarstki i siwe kręcone włosy ściśle przylegające do czaszki. Na jego twarzy malowała się chłodna inteligencja. Wyglądał na kogoś ważnego.

Zatrzymał się i nie odrywając ode mnie wzroku, powiedział:

– Panie doktorze, czy mógłby pan poczekać ze swoim pomocnikiem na korytarzu? Zawołam was, jeśli pojawią się jakieś kłopoty, ale nie spodziewam się tego.

Varn i sanitariusz wyszli.

– Oczywiście wie pan, jak się nazywam?

– Baynard Mulligan.

Usiadł naprzeciwko mnie na stalowym stole i machał długimi nogami.

– Varn twierdzi, że jest pan bardzo inteligentny, panie McGee. Trochę trudno w to uwierzyć.

– Nie jestem przyzwyczajony do takiej wysublimowanej atmosfery, panie Mulligan.

– Mógł się pan samodzielnie domyślić pewnych rzeczy, gdyż wydają się dość oczywiste. To przedsięwzięcie jest dziesięć razy bardziej opłacalne niż te, o jakich pan kiedykolwiek słyszał. W związku z tym planowanie trwało dziesięć razy dłużej; realizacja jest prowadzona z dziesięć razy większą starannością; istnieje dziesięć razy więcej zabezpieczeń przed zdemaskowaniem. Na szczęście w operacji nie uczestniczy dziesięć razy więcej osób. Zwiększyłoby to ryzyko i zmniejszyło zyski.

– Ile osób się tym zajmuje?

– Dziewięć, w większym lub mniejszym stopniu. Pięciu szefów i czterech pomocników. To bardzo skomplikowane.

– Jak dużo zarabiacie?

– Działamy zgodnie z harmonogramem. Nie okazujemy nadmiernej chciwości ani lęku. Staramy się łączyć śmiałość z ostrożnością. Jak dotąd przełaliśmy sześć milionów dolarów na numerowane rachunki bankowe w Zurychu; poza tym odzyskaliśmy koszty własne. Oczywiście jesteśmy nieustannie kontrolowani przez urzędy skarbowe, co daje naszym działaniom oficjalną sankcję. Za półtora roku powinniśmy zakończyć operację; celem jest dwadzieścia milionów dolarów. To maksymalna kwota, jaką możemy zastąpić fałszywymi portfelami papierów wartościowych i fikcyjnymi inwestycjami. Naturalnie można by ją powiększyć, lecz staramy się dbać o bezpieczeństwo. Pan Penerra twierdzi, że przeprowadzenie audytu, który ujawniłby mechanizmy naszej operacji i sposoby zacierania śladów, zajęłoby kilka lat. Wtedy, oczywiście, wszystkich pięciu szefów będzie wygodnie mieszkać w krajach, które nie mają umów ekstradycyjnych ze Stanami

Zjednoczonymi. Kiedy stawka staje się tak wysoka, jeden człowiek nie ma szans na skuteczną interwencję, panie McGee. Co się stało? Wygląda pana na zdenerwowanego.

– Dużo mi pan powiedział.

– Tak, myślę, że jest pan dość inteligentny. Nigdy bym panu tego nie mówił, gdyby istniała najmniejsza szansa, że przekaże pan komuś te informacje. Zapewniam pana, że to absolutnie wykluczone. Czy chciałby pan zadać jakieś pytania?

– Skoro jest to taka starannie przygotowana, bezpieczna, genialna operacja, jak to się stało, że tak głupio postąpiliście z Plummerem? Właśnie dlatego zainteresowałem się tą sprawą.

– Wiem. Rozgoryczona, załamana dziewczyna, pańskie zobowiązania wobec biednego Mike’a i tak dalej. Doprawdy, bardzo wzruszające. Widzi pan, panie McGee, jest w tym jakaś dziwna ironia. Popełniliśmy drobny błąd w ocenie sytuacji. Plummer był inteligentny i stał się kłopotliwy. Usiłowałem go namówić do odejścia z firmy. Upraszczamy naszą działalność, brak przyszłości i tak dalej. W końcu się zgodził. Zaproponowałem mu pięć tysięcy dolarów odprawy. Zażądał dziesięciu. Wydawało się to dziwne. Poprosił o gotówkę. Przygotowaliśmy ją bez trudu. Myślę, że wiem, co zamierzał zrobić. Dziecinny pomysł, ale mógł się udać. Postanowił iść do urzędu skarbowego, powiedzieć, że w firmie dzieje się coś dziwnego, ale nie ma żadnych dowodów, a potem rzucić gotówkę na biurko i spytać, jak mógł dostać dziesięć tysięcy dolarów odprawy w gotówce, skoro jego podejrzenia są błędne. Śledziliśmy go. Okazało się, że umówił się na spotkanie w urzędzie skarbowym. Oczywiście nie mogliśmy dopuścić, by tam poszedł. Zaaranżowaliśmy, by przywieziono go do kliniki z bardzo wiarygodnych powodów. Ale tego samego wieczoru, kiedy zamierzaliśmy to zrobić, biednego Plummera napadnięto i zabito. Nie wiadomo, czyja to sprawa.

– Nie kazaliście go zabić?

– Niech pan nie będzie głupcem. To zbieg okoliczności, który ma w sobie coś ironicznego. McGee, jesteśmy zbyt inteligentni i zbyt cywilizowani, by się posuwać do morderstwa. Prowadzimy operację o charakterze biznesowym. Jeśli pan myśli, że zamierzamy pana zabić, proszę się nie niepokoić.

– Chcecie mnie tu trzymać na zawsze?

– Byłoby to zbyt niewygodne i zbyt kosztowne. W rzeczywistości jesteśmy pańskimi dłużnikami. Wszystko szło tak gładko, że staliśmy się nieco

nieostrożni. Pańskie pojawienie się na scenie przyniosło nam korzyści. Dzięki pana wysiłkom dowiedzieliśmy się, że Olan Harris, szofer i jeden z naszych pomocników, jest niebezpiecznie głupi. Przeszukiwanie tych mieszkań to niewybaczalny błąd. Przez dziesięć tysięcy dolarów naraził na niebezpieczeństwo projekt dotyczący kwoty, która jest dwa tysiące razy większa. Twierdzi, że nie mógł przestać myśleć o tych pieniądzach. Przebywa już w klinice, w tym skrzydle. Varn jest zachwycony, że go dostał. Harris jest równie silny fizycznie jak pan, panie McGee. Biedny Varn ubolewa, że nie może publikować rezultatów swoich badań.

– Panna Hersch też tu jest?

– Jest pan bystry, prawda? Nie pozbyliśmy się jej w ten sposób. A raczej, ściśle biorąc, nie pozbedziemy się do czasu zakończenia operacji. Panna Hersch odgrywa kluczową rolę. Pan Armister nie może się bez niej obejść, a ona świetnie sobie z nim radzi. Panna Hersch nie jest jednym z szefów przedsięwzięcia, choć tak uważa. Jej zachowanie było godne ubolewania. Jest, oczywiście, snobką. Kiedy pani Drummond ją wezwała, natychmiast do niej pobiegła. Wzięła pańskie wyjaśnienia za dobrą monetę. Upiła się. Za dużo panu powiedziała, stanowczo za dużo. Przyznała się do wszystkiego; zgodziła się, że postąpiła głupio, i obiecała, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Nie potwierdziła, że próbowała zaciągnąć pana do łóżka, lecz ponad wszelką wątpliwość wynika to z tego, co powiedział pan doktorowi Moore’owi. Panna Hersch wyraziła skruchę. Myślę, że znajdziemy dla niej odpowiednią karę. Bardzo odpowiednią, taką, po której nie będzie miała już ochoty na podobne wybryki.

– Co się ze mną stanie?

– Nic, dopóki nie nabierzemy pewności, że nikt nie narobi zamieszania z pańskiego powodu. Varn, Moore i Daska poddadzą pana testom. Nie powinni wyrządzić trwałych szkód. W odpowiednim czasie poddamy pana terapii i wypiszemy z kliniki.

Jego niedbały ton sprawił, że poczułem chłód.

– Intryguje mnie słowo „terapia”.

– Pan Armister stał się dzięki niej szczęśliwszy, McGee.

– Dlaczego?

– To niewielki zabieg chirurgiczny. Niegdyś często go stosowano w przypadku silnych zaburzeń lękowych, lecz w ciągu ostatnich kilku lat został zdyskredytowany. Jestem laikiem i oczywiście mogę podać tylko ogólny

opis. Varn przeprowadził wiele takich operacji. Zdaje się, że nacinają mózg w rejonie skroni, posługując się długim, cienkim skalpelem, i usuwają część płatów czołowych. Niszczy to stare wzorce zachowań zakodowane w mózgu. W wypadku normalnego dorosłego efekty są bardzo specyficzne. Ilość inteligencji spada o jakieś czterdzieści punktów; ma to charakter trwały. Na początku pacjent nie panuje nad czynnościami fizjologicznymi i trzeba go nauczyć dbać o siebie, ubierać się, jeść; przechodzi w tym celu specjalny kurs. Ma bardzo słabą zdolność koncentracji, ale może zarabiać na życie, wykonując pod nadzorem proste, rutynowe czynności. Zabieg ten pozwala wyleczyć wszystkie kompleksy i zahamowania. Pacjenci stają się bardzo sympatycznymi ludźmi. Doświadczają niezwykle mocnych, lecz krótkotrwałych impulsów seksualnych. Mają dobry apetyt, dobrze śpią i niczym się nie martwią. Jeśli ktoś ich irytuje, mogą reagować nieco zbyt gwałtownie, ale poza tym nie mają kłopotów z przystosowaniem do życia w społeczeństwie. Prowadzą przyjemne życie, proszę mi wierzyć. Pan Armister jest bardzo zadowolony. Przyzwoicie go ubieramy, utrzymujemy w dobrej kondycji fizycznej i dbamy, by mógł zaspokajać wszelkie swoje przelotne zachcianki. W zamian podpisuje wszystko, o co prosimy. Robi dobre wrażenie. Dłuższa rozmowa z nim nie jest szczególnie ciekawa, lecz nieźle się prezentuje, gdy podpisuje dokumenty i uczestniczy w konferencjach. Co najważniejsze, pacjenci poddani lobotomii słabo pamiętają, co się z nimi działo, i nie mają ochoty niczego zmieniać. Pan Armister pamięta swoją żonę i dzieci, ale nie chce ich widywać.

Nie byłem w stanie wykrztusić słowa. Zresztą żadne nie mogłyby wyrazić mojego przerażenia tym, co zrobili z Armisterem. I chcieli zrobić ze mną.

– Charlie to człowiek o ogromnym temperamentie – rzekł cicho Mulligan. – Tłumił swoje popędy seksualne i cierpiał. Teraz jest bardzo aktywny w tej sferze, ale bez finezji, jak to określa panna Hersch. Na początku myśleliśmy, że zaspokoi wszystkie jego potrzeby, ale po miesiącu poprosiła o zwolnienie z obowiązków i zgodziliśmy się dostarczać Charliemu dziewczęta, z którymi może sypiać. To niewielki wydatek w porównaniu z dochodami uzyskiwanymi przez nas dzięki temu, że jest zadowolony. Myślę, że teraz, w ramach pokuty, panna Hersch znów podejmie swoje wcześniejsze obowiązki. Tak czy inaczej, chciałbym, by pan coś zrobił. Wymeldowaliśmy pana z hotelu. Musi pan napisać dwa listy. Varn przyniesie niezbędne

przybory. Pierwszy na Florydę; każe pan sprzedać swoją łódź i przesłać pieniądze tutaj.

– Jest pan kompletnym wariatem!

– Drugi do panny Niny Gibson. Poinformuje ją pan, że nie jest zainteresowany dalszym podtrzymywaniem związku z nią i że dobrze jej życzy. Miłe, dość chłodne pożegnanie, które rozproszy podejrzenia. Chyba przydałby się również krótki list do Mike’a Gibsona. Może także do Terry Drummond? Sam nie wiem. Muszę się nad tym zastanowić. Jest trochę zbyt ważna i dobrze znana, by ją w to wplątywać. Osobiście sędzę, że się znudzi, machnie ręką na całą sprawę i wróci do Grecji.

– Nie napiszę ani słowa!

– Varn!

Drzwi otworzyły się tak szybko, że nie miałbym szans na zrobienie cze-gokolwiek – wiedziałem o tym. Czuję również, że w ciągu ostatniej doby moja koordynacja ruchowa nieco się pogorszyła. Kiedy Varn i sanitariusz spostrzegli, że nic się nie dzieje, sanitariusz wycofał się na korytarz i drzwi się zamknęły.

Doktor Varn odnosił się do Baynarda Mulligana z wyraźną ostrożnością.

– Panie doktorze, chciałbym, żeby opisał pan panu McGee przypadek Doris Wrightson.

– Moim zdaniem to niewskazane – odparł Varn.

Mulligan go zignorował. Spojrzał na mnie i powiedział:

– Mogę dokonać oceny jej stanu w chwili przyjęcia do kliniki z punktu widzenia laika. Była starą panną w wieku trzydziestu jeden lat, nieśmiałą, wątlą i zamkniętą w sobie, urzędniczką w kiepskiej kondycji fizycznej. Chroniczne migreny, podatność na infekcje dróg moczowych, bóle krzyża. Szybki, nieregularny puls. Ciągłe napięcie, niepokój, słabe przystosowanie społeczne i emocjonalne. W biurze wyprowadzało ją z równowagi każde odstępstwo od rutyny. Choć była dobrą pracownicą, łatwo się męczyła i płakała, gdy ktoś odezwał się do niej ostrym tonem. Przyszedł jej do głowy dziwny pomysł, że wysłano ją na leczenie do kliniki tylko dlatego, iż natrafiła na jakąś nieprawidłowość w księgach rachunkowych. Przyszła do mnie, płacząc i załamując ręce, i oskarżyła pana Pengerę o kradzież. – Zwrócił się w stronę Varna: – Z pewnością miała wiele problemów fizycznych i emocjonalnych, prawda, doktorze?

– Tak, naturalnie.

– Doktor Varn niechętnie rozmawia o swojej eksperymentalnej terapii, choć okazała się zaskakująco skuteczna.

– Myślę, że nie powinniśmy...

– Eksperymenty tego rodzaju są prowadzone od kilku lat w Związku Radzieckim, wspominał mi pan o tym, doktorze, prawda?

– Ale...

– Wszystkie inne działania podejmowane w klinice to standardowa terapia – ciągnął Mulligan. – Ale w Stanach Zjednoczonych traktujemy zwierzęta nazywane ludźmi w sposób tak sentymentalny, że gdyby opinia publiczna dowiedziała się o badaniach doktora Varna, prawdopodobnie pojawiłby się tutaj rozwścieczony motłoch i spaliłby szpital do fundamentów. Dlatego doktor Varn jest trochę nerwowy. Doktorze, proszę powiedzieć panu McGee, jaką terapię zastosował pan w wypadku Doris Wrightson.

Dwaj mężczyźni spoglądali na siebie w milczeniu. Zauważyłem lśnienie potu na łysinie Varna. Nagle lekarz lekko wzruszył ramionami na znak zgody i odezwał się idealnie beznamiętnym tonem:

– Po pełnej serii testów do mózgu pacjentki wszczepiono elektrodę w postaci bardzo cienkiego drucika ze specjalnego stopu. Umieszczono ją w rejonie odpowiedzialnym za generowanie przyjemnych doznań; konkretne miejsce wybrano metodą prób i błędów. Do elektrody podłączono tranzystorowy układ elektryczny, który pozwala regulować prąd w taki sposób, aby bodziec uzyskał maksymalne natężenie. Efektem jest intensyfikacja przyjemnych doznań: jednoczesne doświadczanie przyjemności o charakterze emocjonalnym i fizycznym. Pacjentka wykonuje ćwiczenia fizyczne, w granicach swoich możliwości, a aparaturę zaprogramowano w taki sposób, że po zakończeniu każdego ćwiczenia dochodzi do zwarcia obwodu i stymulacji ośrodka przyjemności przez dziesięć sekund. Odkryliśmy, że gdy rozpoczynamy eksperyment, pacjentka kontynuuje ćwiczenia z własnej woli aż do całkowitego wyczerpania. Wdrożywszy niezbędne procedury, przeprowadziliśmy szczegółowe studia nad wzrostem masy mięśniowej, psychologicznymi i fizjologicznymi mechanizmami snu, odżywiania i przyjemnych doznań.

– Czy moglibyśmy zobaczyć pacjentkę, doktorze? – spytał Mulligan.

– W tej chwili wypoczywa.

– Doktorze, jeśli mam okazję widzieć rezultaty pańskich eksperymentów, jestem bardziej przekonany o ich wartości. W tej chwili na moim biurku

leży lista zakupów nowego wyposażenia.

Varn podszedł do drzwi i powiedział coś do mężczyzny stojącego na korytarzu. Po kilku minutach przyprowadzono Doris Wrightson. Miała głowę obwiązaną chustką i nosiła szary drelichowy kombinezon szpitalny, który wydawał się na nią za mały – był luźny w pasie, lecz obcisły na piersiach i biodrach. Poruszała się jak doskonale wytrenowany atleta, zwinnie i lekko. Zauważyłem muskularną, kwadratową szczękę, umięśnioną szyję i potężne barki, które napinały tkaninę. Kiedy stała, jej ramiona i nogi stwarzały wrażenie krągłych i miękkich jak u kobiety, lecz przy najmniejszym ruchu widać było grę masywnych mięśni; przywodziły one na myśl ilustrację z podręcznika anatomii. Zastanawiałem się przez chwilę, kogo mi przypomina, i wreszcie zrozumiałem. Wyglądała jak artystka cyrkowa występująca na trapezie: sympatyczna, grzeczna, spokojna, wytrenowana, wąska w talii, mająca płaski brzuch i uda jak z granitu obciążonego cienką warstwą skóry podobnej do gumowej pianki. Nawet wysoko osadzone piersi wydawały się muskularne. Nie była to sekretarka prowadząca siedzący tryb życia; nie potrafiłem jej sobie wyobrazić w tej roli.

– Dzień dobry, panie doktorze! Dzień dobry, panie Mulligan! – odezwała się, po czym stanęła z boku, spokojna i obojętna jak grzeczny pies. Chociaż była bardzo blada, jej wilgotna skóra miała świetlisty odcień świadczący o idealnym zdrowiu. Białka jej jasnobrązowych oczu były lekko niebieskawe.

– Panna Wrightson uprawia ćwiczenia fizyczne na specjalnym symulatorze wiosłowania – rzekł Varn. – W tej chwili spala energię na poziomie osiemdziesięciu kilokalorii na minutę, czyli czterystu osiemdziesięciu na godzinę. Utrzymuje to tempo przez osiem godzin dziennie, ćwicząc w dwóch sesjach po cztery godziny. Musi spożywać pięć tysięcy kilokalorii dziennie, by nie tracić na wadze. Kiedy zwiększamy wymagany wysiłek, modyfikujemy ćwiczenia, by nie dopuścić do przerostu konkretnych grup mięśni.

– Jak się czujesz, Doris? – spytał Mulligan.

– Czuję się bardzo dobrze, dziękuję.

– Wszystkie dolegliwości fizyczne ustąpiły – zauważył Varn. – Normalne tętno w stanie spoczynku to około pięćdziesięciu uderzeń na minutę.

– Czy może pan wyjaśnić, jak funkcjonuje jej życie emocjonalne?

– Tylko przez analogię – odparł Varn. – Jak pan widzi, jest spokojna, miła i chętna do współpracy. Nie interesują jej interakcje społeczne. Przyjmuje obojętnie to, jak reagują na nią ludzie. Jest całkowicie pozbawiona zdolności do autorefleksji. Spełnia nasze rozkazy, gdyż dostarczamy jej przyjemnych bodźców, które wywołały tak silne uzależnienie, że nic poza nimi jej nie obchodzi. Odczuwa dumę z wykonywania trudnych zadań, jakie przed nią stawiamy; duma ta nieco się różni od przyjemnych doznań wywołanych bodźcami.

– A co z inteligencją? – spytał Mulligan.

– To trudne pytanie. Nasze metody badania inteligencji są zależne od czynników emocjonalnych. Testy zakładają szeroki zakres reakcji emocjonalnych. Doris odczuwa tylko jedną emocję, mającą charakter przymusu. Domyślam się, że inteligencja nie jest obniżona, lecz trudno ją zmierzyć z powodu obojętności wobec wszystkiego z wyjątkiem przyjemnych bodźców. Wydaje się, że Doris cierpi na zaburzenia pamięci dotyczące wszystkiego, co się z nią działo przed przybyciem do kliniki. Praktyczne umiejętności raczej się nie zmniejszyły.

– Jaka jest pańska ocena przyszłego przebiegu eksperymentu?

– Sądzę, że nie doszliśmy jeszcze do granic jej możliwości fizycznych, choć już teraz odznacza się zdumiewającą siłą. Staramy się, by stawała się coraz silniejsza, lecz nie dochodziło do uszkodzeń tkanki mięśniowej. Przypuszczam, że osiągniemy kres, gdy układ kostny nie wytrzyma obciążeń.

– Co się stanie, kiedy przerwiecie eksperyment?

– Nie! – zawołała Doris Wrightson z przerażonym wyrazem twarzy.

Varn szybko podszedł do niej i powiedział:

– Nie zamierzamy przerwać, Doris. Nie denerwuj się.

Poklepał ją uspokajająco po ramieniu jak nerwowego konia. Szybko się uspokoiła i przestała wytrzeszczać oczy, a Varn odprowadził ją do drzwi i przekazał komuś czekającemu na korytarzu.

– To szczególny problem – odezwał się po powrocie. – Kiedy próbowaliśmy przerwać eksperyment na jeden dzień, stała się bardzo niespokojna, lękliwa i trudna do opanowania. To niezwykle silny przymus. Ale, w przeciwieństwie do innych uzależnień, nie wzrasta poziom tolerancji. Nasilenie przyjemnego bodźca wywołuje omdlenie, dokładnie tak samo jak na początku. Identyczny efekt ma przedłużanie przyjemnych doznań.

– Co zamierza pan z nią zrobić?

– Zajmiemy się tym zagadnieniem w odpowiednim czasie, panie Mulligan. Doktor Moore ma kilka propozycji. Na początku wypróbujemy najmniej radykalne.

– Byłby pan zainteresowany inną pacjentką płci żeńskiej?

Na przystojnej twarzy Varna pojawiło się zainteresowanie, aż poczułem w sercu lodowaty chłód.

– Badania innego osobnika, wykorzystywanego do celów porównawczych, znacznie poprawiają wiarygodność eksperymentu – stwierdził. – Ale... chcielibyśmy mieć absolutną pewność, że... nikt z zewnątrz nie będzie nalegać na wizyty...

– Jak w wypadku panny Wrightson? Chyba mogę to zagwarantować.

– Wilkerson jest bardzo zainteresowany przeprowadzeniem eksperymentu dotyczącego zręczności, a nie siły. Zaprojektował płytę, której badany będzie musiał dotknąć, by zamknąć obwód elektryczny; mógłby codziennie umieszczać ją coraz wyżej...

Jego cierpliwe, bezosobowe wyjaśnienie utonęło w szumie krwi w moich uszach. Wyobraziłem sobie Ninę w małym, chłodnym, białym, wysokim pomieszczeniu, ubraną w szary drelich, z drutem w głowie, skupioną na jednej, powtarzającej się ekstazie, która stała się całym jej światem i życiem – przykucnięcie i podskok, przykucnięcie i podskok...

Varn odszedł. Mulligan popatrzył na mnie.

– Ktoś może się pochylić nad nią w barze w czasie lunchu, by sięgnąć po serwetkę. To najprostsza rzecz na świecie. Z raportu Moore'a wynika, że jesteś silnie przywiązany do tej dziewczyny seksualnie i emocjonalnie; instynktowi opiekuńczemu towarzyszy niewielka domieszka moralizatorskiego poczucia winy. To ostatnie trochę mnie zdziwiło.

– Jesteś sukinsynem, Mulligan.

– Doktor Varn jest bardzo rozgoryczony, że nie może publikować, lecz nie zmniejsza to jego ciekawości badawczej. Zmienianie ludzi w całkowicie zależne automaty z pozoru wydaje się nieprzyjemne i bestialskie, ale za sto lat historycy mogą uznać naszego doktora za pioniera, który wynalazł sposób przemiany człowieka w nadczłowieka. Na początku nagradzamy siłę lub zręczność, lecz czemu nie wzmacniać umiejętności rozwiązywania problemów, talentów artystycznych lub zdolności telepatycznych? A może powstanie świat, w którym wszyscy posłuszni durnie zostaną wyposażeni w przewody, a ludzie odznaczający się wybitną inteligencją i ambicją będą

naciskać guziki? Nasz mały łyśy doktorek martwi się o swoje badania, lecz starannie przestrzega procedur bezpieczeństwa. Jest dociekliwy, nie potworny. A ja nie jestem pozbawiony współczucia.

– Jesteś kompletnym maniakiem, Mulligan. To ciebie powinno się zamknąć.

– Nie bądź dziecinny. Przed laty, gdy szukałem właściwej metody, zdałem sobie sprawę, że głupotą jest aranżować nieszczęśliwe wypadki wszystkich ludzi, którzy próbują przeszkodzić w realizacji długoterminowego projektu o dużej skali. Szpital psychiatryczny doskonale się sprawdził. Kiedy ci lekarze zostali przekupieni, zmuszeni do popełnienia pierwszego przestępstwa i naruszenia etyki zawodowej, nie mieli wyboru i musieli współpracować. Mam w dupie ich racjonalizacje. Charlie to ich pierwszy projekt, ty jesteś szósty, Olan Harris siódmy, a panna Gibson może być ósma. Myślę, McGee, że napiszesz te listy. Myślę, że się postarasz, by brzmiały wiarygodnie i przekonująco. Myślę, że nie będziesz próbował żadnych sprytnych sztuczek. Kiedy przygotujesz listy, przestaniesz być dla mnie problemem i chyba nigdy więcej cię nie zobaczę. Jeśli cię spotkam po chirurgicznej modyfikacji twojej osobowości, prawdopodobnie mnie sobie przypomnisz i poczujesz lekką niechęć. Ale nie będziesz niebezpieczny.

– Stanę się bardzo szczęśliwym człowiekiem.

– Wszyscy o tym marzą, prawda?

– To ty, Mulligan, powinieneś się poddać terapii.

– Ja jestem szczęśliwy, przyjacielu. Czerpię satysfakcję z obchodzenia reguł, zakazów i zasad obowiązujących w naszym nudnym, uporządkowanym społeczeństwie. Dokonuję kradzieży o takiej skali, że przejdzie ona do legendy. I, podobnie jak doktor Varn, jestem nieco rozgoryczony, że nigdy nie będę mógł opublikować szczegółów swojej pracy. Ale powstaną o niej książki. Wydajesz się gotowy do napisania tych listów.

Byłem gotowy i napisałem je.

Wtopiłem się w rozkoszne obłoki, płynąc w ekstazie wysoko między miękkimi szczytami gór, wypełniony powolnym, słodkim, bolesnym ruchem potężnych mas koloru, który mnie przenikał, zmieniając się w prawie niezauważalny sposób. Byłem czystym doznaniem – wszystko, co mnie otaczało, stawało się częścią mnie, tworząc bajeczną jedność, aż wreszcie zrozumiałem istotę bytu, wiedząc, że nie można jej opisać słowami, bo jest niewyrażalna. Położyłem się na brzuchu i wyciągnąłem ręce w stronę dziwnej, podobnej do włosów trawy o metalicznej niebieskozielonej barwie, wyrastającej z miękkiej białej ziemi o wyglądzie ludzkiego ciała. Łodygi były grube jak ołówki i miały wysokość metra, a kiedy muskały moją skórę, czułem dziwne elektryczne mrowienie. Spojrzałem w górę i zobaczyłem pochylające się nade mną złociste, miękkie konary starożytnych marsjańskich drzew – dotykały mnie, przytulały, obejmowały, pieściły, niosły przez jasność ku mrocznej kotlinie między olbrzymimi piersiami, gładziły, wywołując długi, łagodny, niekończący się orgazm...

Wirujące maleńkie jasne światełko i mój głos w ciemnym pokoju. Szczotka, mydło i prysznic.

– Zawsze grał beznadziejnie, dopóki nie zrobili go obrońcą.

Światło w pokoju w nocy. Twarz za kratą w drzwiach.

Chłód elektrod na skroniach, rytmiczne zgrzytanie pisaka na taśmie.

– A teraz, Travis, biegnij w miejscu, aż każę ci się zatrzymać.

Obojętna twarz w nocy. Igła wbita w moje ramię. Dotyk wacika pachnącego spirytusem. Zapach lekarstw. Zapadam w sen...

Chcieli mieć posłusznego pacjenta, który w miarę chętnie wykonywałby polecenia. Chwilami miałem wrażenie, że wypływam na powierzchnię, a potem znowu tonąłem. Nie przysparzałem nikomu kłopotów. Kiedy zbli-

załem się do powierzchni, przeczuwałem, że wydarzy się coś strasznego, lecz nie wiedziałem, co to będzie.

Nie mam pojęcia, jaki błąd popełnili ani dlaczego tak się stało. Może była to po prostu drobna pomyłka w trakcie wykonywania rutynowych czynności – ktoś zapomniał mi podać lekarstwa przepisanego na karcie. Nagle obudziłem się w środku nocy. Nie wiedziałem, jaki jest dzień ani ile czasu upłynęło. Zdawałem sobie sprawę, że jestem przytomny i przerażony. W zakamarkach mojego umysłu snuły się resztki dziwnych snów i wizji. Nad podłogą paliła się nocna lampa osłonięta grubą siatką. Wyjrzałem przez kratę w drzwiach na pusty szary korytarz.

Chodziłem tam i z powrotem po pokoju, lecz gdy usłyszałem pierwszy szcęk rygła, szybko wszedłem do łóżka. Była to barczysta pielęgniarka o jasnych włosach. Napełniła w półmroku strzykawkę. Kiedy obnażyła moje ramię i pochyliła się nade mną, uderzyłem ją mocno w szczękę w okolicy podbródka. Upadła, nie wydając żadnego dźwięku. Kiedy ostrożnie ją poruszyłem, znalazłem strzykawkę. Wstałem, ułożyłem kobietę na podłodze i przejrzałem jej kieszenie. Znalazłem niewielką fiolkę, z której napełniała strzykawkę. Wstrzyknąłem jej w ramię zawartość strzykawki, a potem nabrałem trochę płynu z fiolki, przebiwszy igłą miękką gumową osłonę, i to również wstrzyknąłem. Miała dwa klucze na metalowym kółku. Nie wiedziałem, do czego służą.

Zostawiła lekko uchylone drzwi. Leżała na wznak na podłodze. Miała otwarte usta. Zaczęła pochrapywać. Ułożyłem ją na brzuchu. Gdy przestała chrapać, wepchnąłem ją pod łóżko. Łatwo się ślizgała na szarej winylowej wykładzinie. Miałem na sobie krótką szpitalną koszulę nocną, którą wkładałem do snu. Każdego ranka przynosili mi czysty kombinezon. Drzwi do wyłożonej kafelkami łazienki były zamknięte. Nie ośmieliłem się wyjść na korytarz. To mogła być moja jedyna szansa. Z pewnością wiedzieli, jak sobie radzić z pacjentami, którzy wydostali się na korytarz. Mieli bezpieczne, praktyczne, skuteczne metody. Nigdy nie dadzą mi drugiej szansy. Pozostaną tylko sny i wizje, aż skończy się seria eksperymentów, a później wbiją w mój mózg niewielki skalpel i przestaną się czymkolwiek martwić.

Drzwi do pokoju otwierały się do wewnątrz. Przytrzymał je gumowy klin. Nasłuchiwałem. Uchyliłem drzwi szerzej i zablokowałem. Nocna lampa paliła się, i przy drzwiach było dość jasno. Postanowiłem użyć przynęty i wykorzystałem klucze, które lśniły w świetle. Przyciągnęłyby uwagę każ-

dego przechodzącego w pobliżu. Normalną reakcją byłoby ich podniesienie. Zaczaiłem się za drzwiami, niewidoczny przez kratę. Czekałem długo. Wreszcie usłyszałem czyjeś kroki i słaby szelest ubrania.

Złączyłem ręce. Rozległ się czyjś cichy okrzyk. Kiedy zobaczyłem dłoń sięgającą po klucze, wyskoczyłem zza drzwi i zaciśniętymi rękami z całej siły uderzyłem pochylonego człowieka w kark. Runął z hukiem na podłogę. Wciągnąłem go do środka i przymknąłem drzwi, zostawiając tylko kilkucentymetrową szczelinę. Pociągnąłem mężczyznę w stronę łóżka. Miałem zamiar zrobić mu zastrzyk. Ale gdy go dotknąłem, zadygotał i po chwili umarł. Zdjąłem z niego ubranie i włożyłem na siebie. Nogawki i rękawy okazały się za krótkie. Martwiłem się o buty, gdyż ich potrzebowałem. Na szczęście pasowały. Umieściłem martwego człowieka na łóżku i przykryłem. Obszukałem kieszenie i znalazłem portfel. Zaniósłem go do światła. Nazywał się Donald Swane. Miał trzy klucze, w tym jeden identyczny jak pielęgniarka. Żal mi było tego martwego sukinsyna. Mógł nie wiedzieć, że część pacjentów to ofiary eksperymentów. Ciekawe ilu.

Znalazłem przy nim jedenaście dolarów, pół paczki cameli, zapalniczkę marki Zippo, trzy klucze, kilka tabletek aspiryny, pół tubki miętówek i żadnej broni. Kiedyś starałem się zapamiętać rozkład budynku, lecz teraz niewiele pamiętałem.

Nie chciałem wychodzić z pokoju. Wydawał się bezpiecznym miejscem. Nie wiedziałem, co czeka na zewnątrz. Donald Swane miał ciche buty o gumowych podeszwach. Schowałem strzykawkę i fiolkę do kieszeni białego fartucha. Otworzyłem drzwi i rozejrzałem się po korytarzu. Był pusty. Po lewej stronie nad drzwiami paliła się czerwona lampka. Pamiętałem, że są tam schody. Ruszyłem szybko naprzód, zamknąwszy za sobą drzwi. Wszedłem na klatkę schodową. Zostawiłem zegarek na nadgarstku mężczyzny. Było już po czwartej nad ranem. Postanowiłem zejść po schodach. Kiedy podążyłem w dół, piętro niżej otworzyły się drzwi i dwóch mężczyzn ruszyło do góry. Zrobiłem to samo i dotarłem na najwyższe piętro. Czekałem, by się przekonać, czy oni również tu idą. Kiedy okazało się, że tak, wyszedłem na korytarz bardzo podobny do tego znajdującego się piętro niżej. Otworzyłem jedne z drzwi i znalazłem się w laboratorium. Niebieska nocna lampa oświetlała rurki i retorty, metalowe stoły, stojaki na butelki. Upewniłem się, że drzwi można otworzyć od wewnątrz, i zamknąłem je. Przykucnąłem, nasłuchując odgłosów dochodzących z korytarza, lecz drzwi okazały

się zbyt grube. Odczekałem co najmniej pięć minut, a później rozejrzałem się po laboratorium. Szczelnie zamknięte dwuskrzydłowe okna miały stalowe framugi i nie dawały się otworzyć na tyle szeroko, bym mógł wyjść. Znajdowałem się na drugim piętrze. Mógłbym zaryzykować skok z tej wysokości.

Potrzebowałem broni. Przeszukałem niewielkie laboratorium. Znalazłem krótką, ciężką rurkę i obwiązałem ją ręcznikiem. Zajrzałem do dużej lodówki. Znajdowały się w niej stelaże z niewielkimi fiolkami zawierającymi bezbarwny płyn. Nosiły symbole zaczynające się na literę D. Od D-1 do D-17. Wiele z nich miało również dodatkowe cyfry w nawiasach. Wziąłem trzy fiołki oznaczone D-15

i kilkanaście z innymi numerami. Były małe. Przyszło mi do głowy, że jeśli zdołam się wydostać, mogą posłużyć za dowód, co się tu dzieje – prawdopodobnie były to związki chemiczne zsyntetyzowane przez Daszę. Wyobrażałem sobie, że wszyscy lekarze pracujący w klinice są podobni do Varna: niscy, przystojni i łysi.

Trzymając w ręku metalową rurkę, czułem się pewniej. Spodziewałem się, że lada chwila rozlegną się syreny alarmowe. Podejrzewałem, że mają jakiś sposób alarmowania o ucieczce pacjenta. Może syreny? Korytarz był pusty. Pobiegłem do klatki schodowej i popędziłem w dół. Dotarłem na parter, gdzie znajdował się szeroki korytarz. Pamiętałem, że bardzo dawno temu zaprowadzono mnie tam na rozmowę z Baynardem Mulliganem. Wydawało się, że korytarz na dole jest dłuższy. W oddali zauważyłem dwie pielęgniarki, które stały i rozmawiały.

Skoro nie widziałem ich twarzy, one nie mogły widzieć mojej. Gdzieś w tym rejonie musiało się znajdować wyjście, może w połowie drogi między mną a pielęgniarkami? Ruszyłem w ich stronę, starając się iść swobodnym krokiem. Nagle kilkanaście metrów przede mną wyszedł z bocznego korytarza mężczyzna i podążył w moim kierunku; spoglądał na kartkę papieru utrzymaną w ręku.

Otworzyłem pierwsze z brzegu drzwi i znalazłem się w kuchni, gdzie przy dużych stołach pracowali dwaj mężczyźni. Mieli senne miny i się nie śpieszyli. Przy jednym ze stołów stała dziewczyna o tępych wyrazie twarzy; ziewała i kroїła grejpfruty. Wokół lśniły zlewy i stojaki z nierdzewnej stali. Spojrzeli na mnie pytająco.

– Widzieliście Dona? – spytałem.

– Co miałyby tu robić, do cholery? Poszukaj go w jadalni.

Na krańcu pomieszczenia znajdował się długi korytarz prowadzący do obszernej sali jadalnej. Kończył się niskimi, dwuskrzydłowymi drzwiami, przez które mogłem widzieć jej część. Ruszyłem w tamtą stronę.

– Jak się nazywa ten Don? – spytała dziewczyna.

– Nieważne.

Jadalnia była pusta. Pod ścianą ciągnęła się długa lada z rzędem niskich stołków, a obok, przy wejściu do kuchni, spostrzegłem barek kawowy. Za ladą stała ruda, piersiasta dziewczyna w niebieskim nylonowym fartuchu, otwierała małe pudełka z płatkami śniadaniowymi i wrzucała ich zawartość do białych miseczek.

– Jeśli chcesz kawy, będzie mniej więcej za trzy minuty – odezwała się, zerknąwszy na mnie. – Wylałam starą, smakowała jak kwas do akumulatorów. – Skinęła ręką w stronę ogromnego, lśniącego ekspresu stojącego na ladzie.

Kiedy zacząłem się odwracać, spytała:

– Jesteś nowy?

– Zupełnie nowy.

– Szybko się uzależniłeś od kawy. Mój mąż mówi, że w marynarce wojennej jest tak samo.

Poszukaj drzwi i wyjdź! – pomyślałem. I co dalej? Co zastanę na zewnątrz? Mury, bramy, strażników? Czy klinika leży na odludziu? Czy znajdę sposób zdobycia samochodu?

– Poczekaj na kawę i odpocznij.

Musiałem odwrócić uwagę pracowników szpitala. Powinni się czymś zająć. Usiadłem na stołku. Fiolki znajdujące się w mojej kieszeni zagrzechały. Popatrzyłem na zniekształcone odbicie swojej twarzy w lśniącej powierzchni ekspresu. Dlaczego nie, do cholery?

– Mógłbym zerknąć na górną część ekspresu?

– Po co? Wystarczy patrzeć na te rurki. Kiedy robią się ciemne, kawa jest gotowa.

– Zastanawiałem się, jak teraz konstruuja takie ekspresy – powiedziałem. Wdrapałem się na ladę i uniosłem pokrywę.

– Hej! – zwołała.

– To bardzo ciekawe.

– Wskocz do środka i popływaj. Wyglądasz na wariata.

Wróciła do swoich zajęć. Zdjąłem gumowe zatyczki z fiolek oznaczonych literą D i wlałem ich zawartość do ekspresu. Może były nieszkodliwe, a może zawierały zarazki cholery? Może ulegały rozkładowi pod wpływem ciepła? Było za późno, by się nad tym zastanawiać. Dziesiątki śmiertelnych ofiar zatrucia kawą. Wytarłem ladę papierową serwetką. Usiadłem na stołku. Kobieta spojrzała na mnie i jej twarz straciła twardość, rozpuszczając się jak cukierek. Usłyszałem dziwny długi akord w tonacji molowej. Ściany wielkiej sali pochyliły się w moją stronę; wszystko stało się różowe.

– Dobrze się czujesz? – spytała. Jej usta spływały po szyi na kombinezon.

– To tylko resztki halucynacji...

– Słucham? Och...

– Wróć, by się napić twojej pysznej kawy, aniołku.

– Dobrze.

– Nie rozpuść się do tego czasu.

– Co takiego? Nie jest mi gorąco.

Kiedy zmierzałem w stronę drzwi, cały czas się oddalały. Dotarcie do nich zajęło mi trzy lub cztery godziny. Wyszedłem na korytarz. Znalazłem schowek na artykuły gospodarcze. Zwinąłem się w kącie na cementowej podłodze za wielkimi kartonami papieru toaletowego, przycisnąłem pięści do oczu i próbowałem powstrzymać świat od roztopienia się w różową nicłość. Po siedmiu lub ośmiu miesiącach rzeczywistość znów nabrała kształtu, zaczęła się zestalać. Muzyczne akordy ucichły, usłyszałem trzaski, krzyki i dźwięk dzwonka. Wstałem i wyszedłem na korytarz. Panowało straszliwe zamieszanie. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Dwaj mężczyźni próbowali obezwładnić trzeciego. Wrzeszczał histerycznie, szarpał się i wyrywał. Przeszedłem obok nich. Pod ścianą stała kobieta z zamkniętymi oczami i sennym wyrazem twarzy; powoli wbijała paznokcie w policzki i wyrywała kawałki ciała; na jej bezową bluzkę ciekła krew. Minąłem ją. Dotarłem do głównego wejścia. Za szklanymi drzwiami widziałem jasny, chłodny poranek. W rogu stał na czworakach jakiś człowiek i próbował się przebić przez ścianę – taranował ją jak wielki uparty zółw uwięziony w skrzyni. Na podłodze siedziała rozkraczona dziewczyna w bluzce podartej na strzępy. Ssała kciuk i powoli masowała małe obwisłe piersi.

Tuż przed głównym wejściem leżał nieruchomo mężczyzna. Przeszedłem nad nim. Usłyszałem syreny i zobaczyłem karetki pogotowia. W stronę bu-

dynku biegli ludzie. Nie zwrócili na mnie uwagi. Zauważyłem parking i ruszyłem w jego kierunku.

Po prawej stronie spostrzegłem grubą kobietę, która biegła w kółko niczym koń na lonży. Kiedy dotarłem do parkingu, zatrzymał się na nim z piskiem opon duży samochód. Wyskoczył z niego mężczyzna i krzyknął:

– Co tu się dzieje?! Co się tu dzieje, do cholery?! Obróciłem go tyłem i uderzyłem w głowę metalową rurką. Kiedy runął na ziemię, z ręki wypadły mu kluczyki do wozu. Zdjąłem z niego płaszcz, włożyłem go i odjechałem samochodem. Kwadrans później znalazłem się na autostradzie Thruway, zmierzając na południe w stronę Nowego Jorku. Po dwudziestu minutach pobocza drogi zaczęły się unosić i przybierać różowy kolor; znów usłyszałem muzykę. Musiałem się zatrzymać. Zjazd na pobocze zajął dwadzieścia minut. Auto ledwo się poruszało.

Kiedy znalazło się na poboczu, zaczęło podskakiwać w górę i w dół. Zahamowałem, o mało nie wpadłszy na drzewo, i leżałem na siedzeniu, obejmując głowę rękami. Czułem, że moja twarz się topi. Słyszałem, jak kapie na tapicerkę.

Kilka miesięcy później świat znów się zestalił i ruszyłem dalej.

Zjechałem z autostrady w Czterdziestą Szóstą Ulicę, dojechałem do Czterdziestej Czwartej i porzuciłem samochód kilka przecznic od Times Square. Ruszyłem na południe, znalazłem nędzny hotel i wynająłem niewielki, brudny pokój, płacąc pięć dolarów pięćdziesiąt centów. Wyciągnąłem się na łóżku, ciągle w skradzionym płaszczu, i czekałem, aż wszystko znów zacznie się stawać różowe. W holu znajdował się zegar. Było kwadrans po dziesiątej. Zastanawiałem się, jaki to rok.

Powinniśmy się uczyć na własnych błędach. Wplątałem się w sprawę Armistera z beztroską pewnością siebie krótkowzrocznej myszy, która szuka kawałka sera w klatce kobry.

Dzięki wyjątkowo szczęśliwemu zbiegowi okoliczności uniknąłem spędzenia reszty życia jako bardzo szczęśliwy robotnik zatrudniony w fabryce butów w New Jersey.

Teraz musiałem wykonać jakiś ruch, lecz wszystko, co przychodziło mi do głowy, budziło moje przerażenie. Grupa Mulligana dysponowała ogromnymi wpływami i środkami nacisku, a ja byłem szaleńcem, który uciekł ze szpitala psychiatrycznego. Wariatem o morderczych skłonnościach. I nie miałem absolutnie żadnych dowodów.

Moim żywym dowodem był Charlie. Mógłby rozwiązać wszystkie problemy, ale nie miałem pojęcia, jak się do niego zbliżyć.

Ale mógłby to zrobić ktoś inny, gdyby wiedział wystarczająco dużo...

Na przykład kochająca żona?

Podniosłem słuchawkę telefonu. Odezwał się w niej piskliwy kobiecy głos:

– Jeśli chciałby pan zatelefonować do miasta, musi pan zostawić w recepcji pieniądze. Jedno połączenie lokalne kosztuje dwadzieścia centów.

Zszedłem z lękiem na dół, wręczyłem recepcjonistce dolara i wróciłem do bezpiecznego pokoju. Później zdałem sobie sprawę, że postępuję głupio. Popełniłem wszystkie możliwe błędy. Przetarłem twarz zimną wodą i popatrzyłem na siebie w lustrze. Oczy wyglądały dziwnie. Płaszcz zapięty pod szyją zasłaniał białą bluzę. Miałem jednodniowy zarost. Wyraźny, ale nie wyglądał źle.

Znów zszedłem na dół, rozmieniłem dolara i znalazłem budki telefoniczne znajdujące się na tyłach dusznego, ciemnego holu.

Zadzwoiłem do hotelu Plaza. Nie zastałem pani Drummond. Podano mi adres korespondencyjny w Atenach.

Oparłem się o aparat i zatelefonowałem do informacji, gdzie otrzymałem numer rezydencji Charlesa Armistera na Long Island. Telefonistka powiedziała mi, jak wybrać numer i ile monet wrzucić do automatu.

W słuchawce rozległ się cichy głos kobiety mówiącej z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. Poinformowała mnie, że pani Armister przebywa w swoim apartamencie w Nowym Jorku. Podała mi numer. Zajrzałem do książki telefonicznej. Był to numer drugiego apartamentu, bliżej centrum miasta.

Wykręciłem go. W słuchawce rozległ się głos Terry Drummond. Ochrypły, ironiczny głos był jednym z najprzyjemniejszych dźwięków, jakie kiedykolwiek słyszałem.

– McGee! Kupili cię, oczywiście. O co chodzi, chłoptasiu? Chcesz się przekonać, czy nie zaoferuję lepszej ceny? Jak mnie znalazłeś?

– Nikt mnie nie kupił.

– Kochany, z twojej notatki w oczywisty sposób wynikało, że...

– Zamknij się! Muszę ci powiedzieć coś ważnego, Terry. Nie wiem, ile mam czasu. Nie kupili mnie, tylko zamknęli w szpitalu psychiatrycznym.

– Gdzie?!

– Weź papier i ołówek, by notować. Nie wiem, jak długo wytrzymam. Postaram się podać suche fakty.

– Zaczekaj chwilę, Trav.

Czekałem. Nagle w słuchawce rozległ się ostrożny głos:

– Halo?

Trochę przypominał głos Terry, lecz był znacznie bardziej stonowany.

– Trav? Przy drugim telefonie jest Joanna.

– To nie są rzeczy, które powinna słyszeć, Terry.

– Jeśli to ma coś wspólnego z moim mężem, muszę to wiedzieć – rzekła stanowczo pani Armister.

– W porządku. Nie wiem, w jaki sposób możesz to wszystko sprawdzić, ale jeśli masz dobrych prawników i uzyskasz pomoc władz, masz szansę coś zrobić. Baynard Mulligan kieruje grupą, która jak dotąd ukradła Charlesowi Armisterowi sześć milionów dolarów. Jest ich dziewięciu. Mulligan, Penerra i Bonita Hersch to jedyne nazwiska, jakie znam. Zamierzają zajmować się tym jeszcze przez półtora roku, dojść do dwudziestu milionów,

a później uciec. Kiedy ktoś zaczyna sprawiać kłopoty, umieszczają go na oddziale psychiatrycznym szpitala Toll Valley, który znajduje się koło Poughkeepsie, po drugiej stronie rzeki. Zapisz to wszystko. Trzymają tam ludzi, którzy weszli im w drogę. Olana Harrisa, szofera. Sekretarkę, niejaką Doris Wrightson, i innych, lecz nie znam ich nazwisk. Uzyskują nakazy przymusowego leczenia psychiatrycznego. Mnie też tam zamknęli. Uciekłem dziś rano. Zabiłem przy tym człowieka.

– Dobry Boże! – westchnęła Terry.

– Charles leżał w szpitalu Toll Valley, kiedy...

– Zamknij się, Joanno! – przerwała siostrze Terry.

– Kiedy Charlie przebywał w szpitalu, zrobili mu operację mózgu – ciągnąłem. – Zdaje się, że to się nazywa lobotomia. Dzięki temu łatwo nim kierują. Jest szczęśliwy i wszystko podpisuje. Ludzie, którzy go wcześniej nie znali, myślą, że jest zupełnie normalny.

Usłyszałem cichy, słaby okrzyk rozpacz i Terry powiedziała ostro:

– Weź się w garść, Jo!

– Zapisz nazwiska lekarzy. Bóg jeden wie, skąd pochodzą i jak zdobyli dyplomy. Mulligan trzyma ich w garści. Finansuje prowadzone przez nich eksperymenty. Varn, Moore, Daska i Wilkerson. Posłuchaj uważnie. Nie opowiadaj o tym na prawo i lewo. W tej chwili jest tam cholerny bałagan, ale jeśli uda im się szybko wszystko wyciszyć i wejdiesz im w drogę, obie skończycie z drutami w głowie, skacząc bezmyślnie jak mały, stymulowane prądem elektrycznym.

– Czy to może być prawda?! – Joanna zaszlochała.

– Ręczę za McGee, siostrze. To bardzo szorstki typ i wydaje się wściekły, ale to, co mówi, wyjaśnia wiele dziwnych rzeczy, które się zdarzyły. Gdzie jesteś, McGee? Czy mogę pomóc? Czego potrzebujesz?

– Pieniędzy.

– Mam tysiąc dolarów, którymi zamierzałam przekupić tę dziwkę, ale się nie pokazała. Czy to pomoże?

– Bardzo. Ale najpierw skontaktuj się z prawnikami. Posłuchaj. To bardzo ważne i dotyczy was obu. Nie jedzcie na mieście. Nie pijcie niczego w miejscach publicznych. Przyrządzajcie swoje własne jedzenie i nie pozwólcie nikomu się do niego zbliżyć. Niech nikt wam nie kupuje jedzenia.

– Ale dlaczego?!

– Jedna kropla bezwonnej, pozbawionej smaku substancji, i zabiorą was do szpitala psychiatrycznego. Zastosowali tę metodę wobec mnie, może Charliego i zapewne wobec innych. Człowiek zaczyna się zachowywać jak szaleniec.

– Kochanie, to wspaniały środek! Chętnie bym go użyła wobec paru osób!

– Masz znakomite poczucie humoru, Terry. Jesteś równie zabawna, jak kula inwalidzka.

– Przepraszam, Trav. Takie żarty to część mojego emploi.

– W tej chwili Mulligan chyba już wie, że uciekłem. Bardzo mu zależy, by mnie znaleźć i zamknąć mi usta. Ma wielu pomocników. Potrzebuję pieniędzy i miejsca dla dwóch osób, gdzie mógłbym się ukryć...

– Kochanie, gdzie jesteś?

Miałem pustkę w głowie i musiałem spojrzeć na zawieszkę na kluczu mojego pokoju.

– Hotel Harbon przy Zachodniej Czterdziestej Pierwszej. Pokój trzysta trzy.

– Poczekaj tam – powiedziała i odłożyła słuchawkę. Pośpiesznie odszukałem drugi numer telefonu i wrzuciłem do aparatu następną dziesięciocentówkę. Początkowo uważałem, że najlepszy sposób ochrony Niny to trzymać się od niej z dala. Ale kiedy mówiłem Terry, co Mulligan może zrobić, zdałem sobie sprawę, że Nina to jego najlepsza broń przeciwko mnie. Już tego dowiodł.

Chłodny brytyjski akcent recepcjonistki stanowił barierę nie do przebycia. Było jej niezmiernie przykro, panna Gibson uczestniczy w konferencji i nie wolno jej przeszkadzać. Powiedziałem, że to sprawa życia i śmierci. Kazała mi zostawić swoje nazwisko i numer; obiecała poprosić pannę Gibson, by do mnie zatelefonowała. Zakląłem, a ona westchnęła i odłożyła słuchawkę. Wrzuciłem do automatu ostatnią dziesięciocentówkę i zadzwoniłem jeszcze raz. Z wielką delikatnością podkreśliłem powagę sytuacji i poprosiłem, by panna Gibson jak najszybciej zatelefonowała do pana Jonesa w pokoju trzysta trzy w hotelu Harbon. Kilkakrotnie powtórzyłem numer pokoju. Byłem pewien, że w hotelu roi się od gości o nazwisku Jones, mężczyzn i kobiet.

Kupiłem gazetę. Schody zaczęły się kołysać. Balustrada przypominała w dotyku mokrego węża. Wsunąłem siedem kluczy do siedmiu otworów;

wszystkie pasowały i wszystkie się obróciły. Wszedłem do różowego pokoju i skuliłem się na łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę. Walczyłem z mdłościami, myśląc o ludziach ze szpitala Toll Valley – o człowieku uderzającym głową w ścianę, kobiecie wyrywającej sobie z twarzy kawałki mięsa, kobiecie ssącej kciuk, kobiecie biegającej w kółko jak koń – wszyscy znaleźli się w straszliwym świecie majaków, gdzie ze ścian wychodziły potwory. Wszyscy byli niewinni. Nie zdawali sobie sprawy, że prywatny szpital jest miejscem zbrodniczych eksperymentów. Pracownicy, goście, pacjenci ambulatorium – ludzie, którzy mogli wejść do jadalni i napić się koszmaru.

Wizje zaczęły ustępować. Miękkie różowe krawędzie przybrały z powrotem normalną barwę. Ogarnęło mnie straszliwe przygnębienie spowodowane halucynacjami.

Aby doświadczyć szczytów depresji, najlepiej przeżyć epizod sztucznie wywołanego szaleństwa w tanim pokoju hotelowym, nosząc odzież zabitego człowieka. Przez okno wpadało zimne światło, oświetlając zakurzony dywanik, jasne biurko z urwanymi gałkami, łuszczącą się farbę na wezgielciu łóżka. Dziesięć tysięcy ludzi pozostawiło w tym pokoju smród samotności. Chodzili po nim tam i z powrotem, kasłali, zaciskali pięści, pili drinki, brali tabletki, bekali, wzdychali, płakali, drapali się, śnili, rzygali, palili, przechwalali się, przeklinali i jęczeli. Każdy z nich cierpiał na swoją własną chorobę, czuł rozpacz, brał lub dawał to, co nazywał miłością.

Popatrzyłem na gazetę leżącą w miejscu, gdzie ją upuściłem, tuż za drzwiami. Podszedłem, podniosłem ją i usiadłem na łóżku. Kiedy przebywałem w mglistym świecie sztucznie wywołanych halucynacji, życie toczyło się normalnym rytmem. Był listopad, wtorek. Ustawa edukacyjna wróciła do komisji. Trzy osoby ranne w zamachu bombowym w Birmingham. Aktorka uniewinniona od zarzutu posiadania narkotyków. Siedmiu zabitych w wypadku na autostradzie. Tereny parkowe sprzedane inwestorowi, który finansował kampanię wyborczą. Ósmy tydzień strajku kierowców ciężarówek. Trzydzieści dziewięć ofiar katastrofy lotniczej. Modelka żąda rozwodu i twierdzi, że mąż złamał jej szczękę. Rozmowy rozbrojeniuowe utknęły w martwym punkcie. Nauczyciel oskarżony o zabójstwa nastolatków. Trzęsienie ziemi w Peru. Nieudany debiut giełdowy. Zablokowana decyzja o obniżce podatków.

Znalazłem się z powrotem w normalnym, rozsądnym, wiarygodnym świecie.

Do moich drzwi zapukała Terry Drummond. Wpuściłem ją. Miała na sobie lśniąca futro o wartości piętnastu tysięcy dolarów. Jej brązowa, małpia twarz zmarszczyła się z niesmakiem, gdy rozejrzała się po pokoju.

– Boże, co za podła dziura! – Futro się rozchyliło. Wieczna dziewczynka była ubrana w szare spodnie i bordowy zapinany sweterek. Popatrzyła na mnie. – Wyglądasz, skarbie, na zmęczonego. Schudłeś. Skąd wzięłeś to brudne, ponure ubranie?

– Ściągnąłem je z człowieka, którego musiałem zabić, by się stamtąd wy dostać.

Przełknęła ślinę i szybko usiadła.

– Wyrażasz się cholernie brutalnie. Może znam realia życia gorzej, niż przypuszczałam. W dzienniku telewizyjnym o dwunastej w południe dużo mówiono o szpitalu Toll Valley.

– Co powiedzieli?

– Coś na temat tajemniczego zatrucia. Cztery osoby zmarłe w gwałtowny, nieprzyjemny sposób, kilkudziesięciu rannych, kilkudziesięciu ludzi, którzy postradali rozum, ucieczki pacjentów i tak dalej. Wygląda na to, że pierwsza ekipa ratownicza, która przybyła na miejsce, nagle kompletnie zwariowała. Mówili coś o zbiorowym zatruciu środkami chemicznymi w wyniku eksperymentu, który wymknął się spod kontroli. Zdaje się, że wciąż panuje tam straszliwe zamieszanie; wszczęto śledztwo, sprowadzono ekspertów, pojawili się dziennikarze, policja, telewizja. To wszystko twoja robota, kochany chłopcze?

Nie odpowiedziałem. Cztery ofiary śmiertelne. Czterech niewinnych ludzi.

– Trav? – Jeszcze nigdy nie mówiła tak cichym głosem. Uniosłem głowę i spojrzałem na nią. – Proszę, nie zadręczaj się tym tak strasznie. Postąpiłeś tak, jak należało; jestem tego pewna. Podjęłam odpowiednie działania. Wierzę w to, co powiedziałeś o tych strasznych rzeczach, które zrobili Charlie-mu. Z tego, co mówią w telewizji, wynika, że udało ci się ich powstrzymać.

Nie pozwolę, by coś ci się stało z tego powodu, możesz mi wierzyć. Podawali ci narkotyki, prawda?

– Tak, podawali mi narkotyki.

– Więc nie ponosisz za nic odpowiedzialności. Co jest twoim zdaniem gorsze, Trav: śmierć kilku osób czy kontynuacja tego zbrodniczego procederu?

– Potrafię wymyślić własne racjonalizacje, dzięki.

– Nie bądź chłodny i okrutny. Kochany, przyniosłam pieniądze, ale kiedy udało mi się uspokoić Joannę, przyszedł nam do głowy inny pomysł. Potrzebujesz bezpiecznej kryjówki dla dwóch osób? Drugą jest ta mała, o której wspominałeś? Nina Gibson? Mój drogi Roger King zajął się mobilizowaniem armii prawników. Jestem pewna, że może załatwić ochronę apartamentu przy Wschodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej. Jest naprawdę ogromny, a Joanna ściągnęła tam część personelu z Long Island. Moim zdaniem nie potrzeba dodatkowej ochrony, ale na pewno będziesz się czuł bezpiecznie. Wróćmy tam, a potem przywiozę twoją małą przyjaciółkę, usiądziemy razem i zaplanujemy całkowite zniszczenie tego oślizgłego Mulligana.

– Jak tu przyjechałaś?

– Taksówką. Stoi na dole z włączonym licznikiem.

– Po prostu wyszłaś z mieszkania i wzięłaś taksówkę?

– Oczywiście – odpowiedziała z pustym wyrazem twarzy.

– I nikt cię nie śledził?

– Daj spokój! Czynie stajesz się trochę paranoidalny? Zadzwoił telefon.

– Halo?

– Trav! Och, Trav, kochanie, dzięki Bogu!

– List, który do ciebie napisałem...

– To największa bzdura, jaką w życiu widziałam! Rozpaczliwy krzyk o pomoc. Strasznie się martwiłam. Kiedy go dostałam, natychmiast poszłam do...

– Lepiej porozmawiajmy później. Zrób to, co powiem, Nino. To bardzo ważne. Jak najszybciej wyjdź z pracy. Najlepiej znajdź jakieś tylne lub boczne drzwi.

– Ale...

– Pamiętasz lokal blisko twojej firmy, gdzie poszliśmy pierwszego dnia? Idź tam i czekaj na mnie. Nie zamawiaj drinka. Po prostu na mnie czekaj. Z nikim nie rozmawiaj. Po prostu czekaj, sama.

– Trav, ja...

– Proszę!

Zgodziła się. Odłożyłem słuchawkę, odwróciłem się i spojrzałem na Terry Drummond. Jej dziwne zielone oczy wydawały się wilgotne.

– Ta mała jest dla ciebie ważna?

– Bardzo.

– Zaczynam się czuć jak stara, nudna baba, kotku. Przytulisz mnie na chwilę? Mam koszmarne myśli.

Podeszła do mnie. Otoczyłem ją ramionami, czując pod futrem jej dziewczęce ciepło. Wtuliła brązową, pomarszczoną twarz w moją szyję i westchnęła.

– Cóż, chodźmy, do diabła! – powiedziała. – Zabierzmy twoją panienkę i się ukryjmy.

Wepchnąłem do portfela martwego Donalda Swane'a plik banknotów o wysokich nominałach.

– Ominiemy twojego taksówkarza, Terry – powiedziałem.

– Nie możemy. Dałam mu dziesięć dolarów i kazałam czekać. Ale zrobię, co chcesz. Wymkniemy się inną drogą?

– Jeśli się zgodzisz.

– W porządku.

– Terry, co jakiś czas tracę przytomność. Mam halucynacje. Nie można się ze mną porozumieć. Nie wiem, jak długo to trwa. Ale nie bój się, po pewnym czasie dochodzę do siebie. Mam wrażenie, że za każdym razem coraz szybciej. Gdyby to się zdarzyło w miejscu publicznym, nie pozwól nikomu ze mną rozmawiać i daj mi czas, bym się ocknął.

Miała blade wargi.

– Dobrze, Trav.

Musieliśmy opuścić hotel głównym wyjściem, gdyż nie było innych drzwi. Znalazłszy się na ulicy, skręciliśmy i zaczęliśmy się oddalać od taksówki. Jednak płaszcz Terry cholernie rzucał się w oczy i kiedy dotarliśmy do rogu, dogonił nas zdyszany kierowca.

– Hej, proszę pani, przepraszam! – zawołał. – Czy wraca pani do wozu?

– Proszę zatrzymać pieniądze, dobry człowieku.

– Ale w taksówce czeka na panią jakiś facet.

– Jaki facet? – spytała ostro.

– Wyszedł z hotelu, gdy pani tam weszła, i powiedział, że kazała mu pani zaczekać w aucie. – Odwrócił się i wyciągnął rękę. Spojrzeliśmy w tamtą stronę. Przez Zachodnią Czterdziestą Pierwszą przechodził na ukos mężczyzna, zmierzając szybko w przeciwnym kierunku. – O, tam idzie! – dodał taksówkarz.

Chwyciłem Terry za rękę, skręciłem za róg i przyśpieszyłem kroku.

– Hej, przepraszam! Za wszystko – powiedziała.

Na następnym rogu zauważyłem ludzi wysiadających z taksówki. Pobiegłem i weszliśmy do środka. Kierowca uruchomił licznik.

– Niech pan zrobi kilka kółek – zwróciłem się do niego. – Bardzo niemiły doręczyciel wezwań sądowych chce oddać tej pani pismo.

– Zauważyłem, że państwo się śpieszą, ale czy to ma jakiś sens? – odparł, uruchamiając silnik. – Moim zdaniem prędzej czy później i tak was dopadnie.

– Wolałabym, żeby to się stało później – rzuciła Terry.

Kierowca był dobry. Na każdym skrzyżowaniu przejeżdżał na zielonych światłach jako ostatni. Krążył po mieście, aż dotarł do centrum, po czym się odezwał:

– Nigdzie go nie ma, przyjacielu, chyba że wynajął helikopter.

Podaliśmy mu adres na Park Avenue, a Terry powiedziała cichym głosem:

– Nigdy w życiu nie widziałam tego mężczyzny. Co chciał mi zrobić?

– Zaopiekować się tobą – zazartowałem ponuro. Uniosła dłoń do szyi. – Muszą się także zaopiekować Charliem. Jeśli umrze, nikt nie sprawdzi, co mu zrobili. Nie będzie można go zbadać.

– Nie mówisz poważnie. – Jej oczy przypominały płytki z zielonego szkła.

– Charlie to najważniejszy dowód.

Została w taksówce, aja poszedłem po Ninę. Siedziała między dwoma mężczyznami na lewo od wejścia, blada i napięta. Wyglądali na zręcznych, kompetentnych i śmiertelnie groźnych. Zatrzymałem się. Ich schludnie ogolone twarze zaczęły się zmieniać we włochate psie pyski, stali się psami w ciemnych garniturach, oświetlało ich różowe światło i siedział między nimi biały kotek. Metamorfoza cyklicznie się powtarzała. Zdawałem sobie niejasno sprawę, że wywołuje ją napięcie emocjonalne. Miałem ochotę skuć się na podłodze i przycisnąć pięści do oczu, lecz zatoczyłem się i pobiegłem do przodu przez różową mgłę, zmierzając w stronę najbliższego psa,

krzycząc do Niny zduszonym, ochrypłym głosem: „Uciekaj! Uciekaj!”. Byłem jej to winny, choć o to nie prosiła. Nie chciałem jej zobaczyć w szarym drelichu z drutami w głowie. Wolałem, by pożarły ją psy.

Chwyciłem jedno ze zwierząt za gardło i odrzuciłem daleko od siebie, przebiegłem w różowej mgle obok białego kotka, poczułem straszliwe uderzenie w głowę i upadłem, czując, jak moja świadomość zmienia się w czarny strumyczek, odpływa i niknie w ciemności...

Obudziłem się nagi w wielkiej mrocznej sypialni, czując dotyk świeżej pościeli. W odległym rogu pomieszczenia stała zapalona lampa z niebieskim abażurem, której błękitne światło wydobywało z ciemności kontury mebli. Słyszałem ciche odgłosy nocnego ruchu ulicznego. Powoli odwróciłem głowę. Drzwi, znajdujące się daleko od łóżka, były uchylone i paliło się za nimi jasne światło. Kręciło mi się w głowie. Uniosłem rękę do czoła i wyczułem bandaż umocowany plastrem.

Zastanawiałem się, czy jestem teraz szczęśliwym człowiekiem. Znajdowałem się w jaskini lwa, to jasne. W cichym, przestronnym i luksusowym sanktuarium, gdzie Mulligan i Hersch trzymali zwierzę domowe o nazwie Charlie Armister. Wspaniały talent organizacyjny.

Leżałem i zastanawiałem się, jaki jestem szczęśliwy. Zupełnie pozbawiony zahamowań. Może Mulligan zatrudni mnie jako szofera, zastępując chciwego Harrisa, na którym nie można było polegać. Ale taka praca wymagałaby inicjatywy. Ktoś musiałby mnie nadzorować. Może zebrali nas razem i uczynili szczęśliwymi? Terry, Joannę i Ninę.

Zdałem sobie sprawę, że wcale nie jestem szczęśliwy. Pamiętałem każdy ułamek sekundy spędzony z Niną, każdy pocałunek i dotknięcie.

Niezależnie od tego, co zrobili ci dranie, McGee będzie walczyć. Włoży zardzewiałą zbroję, uderzy ostrogami ochwaczonego, starego rumaka, zacznie machać jak wariat krzywą lancą. Przewróciłem się na bok i usiadłem na skraju łóżka. Moje bose stopy dotknęły grubego, miękkiego dywanu. Na toaletce stał rząd buteleczek i słoiczków, które połyskiwały lekko na tle luster. Dostrzegłem niewielki biały kominik, wstałem, zatoczyłem się i podszedłem do niego. Obok znajdował się stojak z lśniącymi narzędziami do podtrzymywania ognia. Mosiądz. Wybrałem pogrzebacz. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem swoje odbicie w lustrze na drzwiach. Wielka brązowa

zjawa z bandażem na głowie. Zatoczyłem się, uniosłem swoją broń i szepnąłem: „Walcz!”.

Podszedłem cicho do uchylonych drzwi. Zobaczyłem łazienkę w kolorze różowym, złotym i białym. Była pusta. Owinąłem sobie wokół talii duży ręcznik i związałem końce. Wróciłem do sypialni i przyłożyłem ucho do zamkniętych drzwi. Usłyszałem odległy szmer głosów. Otworzyłem ostrożnie drzwi i ujrzałem ciemny korytarz z dywanem na podłodze. Na końcu korytarza znajdował się salon. Widziałem jego część; w środku unosił się dym z papierosów. Zauważyłem bark mężczyzny w garniturze. Kilku ludzi mówiło jednocześnie. Spiskowali. Usłyszałem stukot lodu w szklankach.

Do diabła z nimi! Ruszę do ataku i spróbuję rozbić jak najwięcej czaszek, nim mnie pokonają. Ująłem oburącz mosiężny pogrzebacz i zaczerpnąłem tchu. Ruszyłem w stronę wielkiego salonu, a gdy tam dotarłem, wydałem okrzyk wojenny tysiącletniego, niegodziwego rodu McGee. Kiedy krzyknąłem, węzeł ręcznika się rozwiązał i tkanina opadła mi do kostek. Rzuciłem się dziko do przodu, wpadłem na oszklone drzwiczki ogromnego kredensu wypełnionego porcelaną, odbiłem się od niego, uderzyłem się w usta trzonkiem pogrzebacza i runąłem na podłogę. Leżałem, oszołomiony, spoglądając na zdumione twarze tuzina mężczyzn. Zauważyłem Terry Drummond, Ninę Gibson i stare, pomarszczone, dostojne oblicze Constance Trimble Thatcher.

– Czyj to apartament? – wykrztusiłem pokornym tonem.

Najważniejszy z mężczyzn siedział przy moim łóżku i ostrożnie udzielał mi wyjaśnień. Nie chciał zdradzić niczego, czego nie musiał powiedzieć. Nazywał się Beggs. Miał ogromny nos, niewielkie usta i maleńkie oczy o małym rozstawie.

– Już od pewnego czasu prowadzimy ciche śledztwo w tej sprawie – rzekł.

– My, czyli kto?

– Kilka zainteresowanych agencji federalnych, które podjęły wspólne działania. Zwrócono nam uwagę na pewne drobne nieprawidłowości. Kiedy panna Gibson przekazała FBI pański list, skierowano ją do nas i wszystko nam opowiedziała. Sytuacja stała się... eee... krytyczna. Uznaliśmy, że

panna Gibson powinna mieć stałą ochronę. Zaatakował pan dwóch naszych funkcjonariuszy, którzy jej towarzyszyli.

– Jak się spisałem?

– Doskonale, lecz po chwili potknął się pan i uderzył głową w krawędź stołu. Pani Drummond nalegała, by tu pana przywieźć.

– I co teraz?

– Co pan ma na myśli?

– Jak sobie radzicie z tą krytyczną sytuacją?

– Wszystko idzie w miarę dobrze.

– Czy nie mam prawa wiedzieć, co się dzieje?

– Prawa? Do narażania ludzi na niebezpieczeństwo nieprzemyślanymi działaniami?

– Przyrodzonego, danego od Boga prawa każdego cholernego głupca, panie Beggs!

W głębokim cieniu jego nosa pojawił się uśmiezek.

– Co szczególnie pana niepokoi?

– Co z Charliem?

– Ma pan dobry instynkt do takich rzeczy. Pani Drummond przekazała mi pańskie obawy dotyczące pana Armistera, toteż wstawiliśmy daty do nakazów rewizji, przygotowanych wcześniej in blanco, i dwie godziny temu wkroczyliśmy. Musieliśmy się włamać. Znaleźliśmy list pożegnalny napisany jego charakterem pisma i puste opakowanie po środkach nasennych. Był sam. Lekarze zastosowali płukanie żołądka i podali mu środki pobudzające. Jest oszołomiony i nie wie, co się stało. Przebywa w szpitalu. Towarzyszy mu żona.

– Co z Mulliganem?

– Sądzimy, że uda nam się go odnaleźć.

– A Bonita Hersch?

– Panna Hersch i pan Penerra są prawdopodobnie razem z panem Mulliganem. Zatrzymaliśmy dwóch innych mężczyzn, którzy uważają, że Mulligan zostawił ich na pastwę losu. Mogą dostarczyć nam dobrych wskazówek, gdzie szukać. Uważamy, że Mulligan i jego grupa zbyt długo zwlekali z ucieczką. Prawdopodobnie z powodu nadmiernej pewności siebie.

Zawahałem się przed zadaniem kolejnego pytania.

– A szpital Toll Valley?

– Co takiego?

– Czy został zlikwidowany?

– Bynajmniej. To renomowana klinika. Ale zamknięto oddział psychiatryczny, a wszystkich jego pracowników, którzy są w tej chwili zdrowi, oskarżono o nielegalne eksperymenty medyczne, podawanie pacjentom zakazanych środków chemicznych, przeprowadzanie zbędnych operacji chirurgicznych i inne podobne przestępstwa. Wyobrażam sobie, że śledztwo potrwa bardzo długo i do jego zakończenia opinia publiczna przestanie się nim interesować.

– Doktor Varn?

– Dziś o drugiej po południu popełnił samobójstwo.

– Byli tam jeszcze inni pacjenci...

Wyjął z kieszeni mały czarny notes.

– Olan Harris, George Raub, John Benjamin i Doris Wrightson. Tak. Przeniesiono ich do innych szpitali na oddziały intensywnej terapii. Wszyscy pracowali dla Armistera, pełniąc różne funkcje. Mam nadzieję, że dojdą do siebie na tyle, by zeznawać. Jeśli nie ma pan innych pytań...

– Co się tam właściwie stało?

W małych oczach Beggsa, spoglądających z obu stron nosa, nie można było niczego wyczytać.

– Zdaje się, że w magazynie pomyłono eksperymentalne środki chemiczne, po czym niewłaściwie je zastosowano. Doszło do takiego zamieszania, że wątpię, czy kiedykolwiek się dowiemy, co się właściwie wydarzyło. Jest nawet możliwe, że doktor Varn zrobił to celowo w ramach badań.

– Były ofiary śmiertelne?

– Cztery. Jeden zawał. Inny pacjent wpadł do fontanny i utonął. Pewna kobieta dźgnęła się widelcem. Sanitariusz zmarł wskutek upadku.

– Czy w dokumentacji są jakieś informacje o mojej ucieczce?

– Nie wiem, o czym pan mówi. Nie ma żadnej dokumentacji na pana temat: oficjalnie nigdy pan tam nie był, panie McGee. Pani Thatcher, nawiasem mówiąc, moja stara przyjaciółka, zapewnia mnie, że nie ma żadnych powodów, by trafił pan do takiej kliniki. Uważa, że jest pan niestabilny emocjonalnie, ale nie chory psychicznie.

– Czy będę musiał zeznawać?

– Pan, panie McGee? Chyba nie. Myślę, że poradzimy sobie bez pana. Kiedy uporządkujemy całą sprawę, wezwiemy świadków, którzy złożą zeznania na temat zarzutów objętych aktem oskarżenia.

Jego słowa przez chwilę mnie dziwiły, aż wreszcie zrozumiałem.

– Ach! Charlie...

Skinął głową, potwierdzając moje domysły.

– Oczywiście. Co byśmy na tym zyskali? I tak mamy dość kłopotów. Nie chcemy sensacyjnych artykułów w gazetach. Sądy wyznaczają powierników, którzy dokonają audytu, uporządkują sprawy finansowe i zaczną zarządzać pieniędzmi. Spodziewamy się odzyskać część funduszy. Jeśli zdołamy aresztować pana Mulligana, prawdopodobnie zechce negocjować.

– Powinno się go obedrzeć ze skóry i wypatroszyć.

– Ma pan bardzo okrutne myśli, ale wyobrażam sobie, że usunięcie z palestry, ubóstwo i całkowita anonimowość będą dla niego znacznie dotkliwszą karą.

Rozległo się pukanie do drzwi. Beggs podszedł do nich, przez pewien czas rozmawiał z kimś przyciszonym głosem, po czym wrócił i stanął koło mojego łóżka.

– Zamierzamy aresztować Penerrę na pokładzie samolotu lecącego do Mexico City, gdy wyląduje w Houston. A władze kanadyjskie zatrzymały Bonitę Hersch. Wygląda na to, że Mulligan ją oszukał i zostawił w Montrealu.

– A co z Mulliganem?

– Panna Hersch może mieć użyteczne informacje na jego temat. Posyłam tam człowieka, by ją przesłuchał. Z meldunku wynika, że jest bardzo zdeenerwowana.

– Czego pan oczekuje ode mnie?

– Panie McGee, bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby zebrał pan siły i wrócił na Florydę, skąd pan przybył, a później trzymał głowę na kłódkę. Jeśli pan tego nie zrobi, będę pana wzywał do sądu na każdą rozprawę związaną z tą historią, co może trwać od trzech do pięciu lat. Zmuszę pana do wysłuchania zeznań wszystkich świadków, rok po roku. Zapewniam, panie McGee, że nikt jeszcze nie groził panu w tak straszliwy sposób i nie mówił bardziej szczerze.

Uśmiechnął się, odwrócił swój potężny nos w stronę drzwi i wyszedł z sypialni.

Później rozmawiałem z Terry i Niną. Służący przynieśli tacę z kolacją, a Terry wino. Po jakimś czasie znów pojawił się lekarz i mnie zbadał. Chciał wiedzieć, co się stało z moimi wargami. Terry wyjaśniła, że wdałem

się w bój na śmierć i życie z oszklonym kredensem i przegrałem. Lekarz spojrział na nią podejrzliwie i oświadczył, że jestem kompletnie zdrowy, groteskowo zdrowy, niewiarygodnie zdrowy, lecz potrzebuję odpoczynku. Zostawił niewielkie tabletki o lawendowej barwie. Zążyłem dwie, popijając je winem. Rozmawiałem z Terry i Niną, zacząłem ziewać...

W środku nocy nagle poczułem ciepło czyjgoś ciała, woń perfum i ostrożną pieśszczotę.

– Nina? – wymamrotałem.

– Tak, kochanie – szepnęła.

Ciepły, słodki kształt w krótkiej, zwiewnej koszulce. Głowa wtulona w moją szyję. Długie, powoli narastające podniecenie, uwalnianie się spod działania środków nasennych, adaptacja ciała do potrzeb miłości. Czuję się jak w stanie słodkiej hipnozy. Nie śpieszyliśmy się. Kiedy była już gotowa i położyłem ją na plecach, by ją wziąć, nagle spostrzegłem, że coś jest nie tak – złożyło się na to wiele drobnych rzeczy, które mój umysł rejestrował niemal podświadomie. Nieco inny zapach, inna skóra, wzrost i nieco sztywniejsze włosy dotykające mojego policzka; sposób, w jaki unikała pocałunków, głębokie krzywizny, które wydawały się obce w dotyku, nawet zdyszany oddech. Znieruchomiałem, po czym przesunąłem dłoń po włosach i twarzy kobiety leżącej na łóżku. Wyczułem czubkami palców drobne zmarszczki.

– Terry! – szepnąłem.

Przytuliła się do mnie gorączkowo.

– Nieważne! – rzekła cichym, chrapliwym głosem. – Już za późno! Zrób to! Chodź, do cholery! – Chwyła mnie konwulsyjnie, próbując nas połączyć. Oderwałem od siebie jej ręce i nogi, wyswobodziłem się, przeszedłem na drugą stronę sypialni i usiadłem przy toalecie.

Siedziałem, drząc, i słuchałem ordynarnych przekleństw, jakimi mnie obrzuciła. Po chwili zaczęła mi grozić.

– Jo zamierzała być hojna, ale dopilnuję, żebyś nie dostał ani centa! – warczała basowo. – Powiem twojej głupiej cycatej paniencie, że mnie przeleciałaś! Za kogo ty się właściwie uważasz, do cholery?!

– Skończyłaś?

– Boże, ależ z ciebie świętoszek! Nie zasługujesz na normalną kobietę. Twoja specjalność to małe sprzedawczynie ze sklepów, McGee. Możesz zgrywać przed nimi wielkiego bohatera. Wróć tutaj i udowodnij, że jesteś mężczyzną!

– Skończyłaś?

Nie odpowiedziała. Widziałem jej jasny, niewyraźny kształt, gdy siedziała na skraju łóżka.

– Cholera, myślę, że warto było spróbować – rzekła swoim zwykłym, szyderycznym tonem.

– Przepraszam, Terry.

– Budzę w tobie takie obrzydzenie?

– Dobrze wiesz, że nie.

– Więc co cię zniechęciło? Powiedz, tak między przyjaciółmi.

– Kiedy się zorientowałem, że to ty?

– Tak, właśnie wtedy.

– Kiedy się zorientowałem, że to ty, zrozumiałem, że to nie Nina. To jedyna odpowiedź, jakiej mogę udzielić.

– Domyślam się, że nie może być inna – rzekła po chwili milczenia. – To zwariowane, ale cię podziwiam. Dziwna z ciebie bestia, McGee. Nie jestem przyzwyczajona do takich jak ty. Nigdy nie spałam z mężczyzną, który mógłby w każdej chwili wyjść z łóżka.

– To nie było łatwe.

– Dziękuję, skarbie. Pomogłeś mi, choć tak naprawdę jestem przez ciebie w strasznym stanie, wiesz.

– Weź zimny prysznic.

– Czeka cię romans. Cóż, byłam za sprytna i nic nie wyszło. Sama jestem sobie winna. – Widziałem błądy cień przesuwający się w kierunku drzwi. Stała w progu i powiedziała: – Niniejszym oskarżam cię, że prawdopodobnie jesteś dość dobrym człowiekiem.

– Dziękuję.

– A ja nie jestem bardzo miłą kobietą.

– Moim zdaniem jesteś milsza, niż chcesz przyznać, Tereso.

– Cha, cha, cha – rzuciła i wyszła. Kiedy zamknęła drzwi, rozległo się ciche szczęknięcie zatrzasku.

Wróciłem do łóżka. Było przesiąknięte jej zapachem. Moje serce ciągle biło szybciej niż normalnie. Śmiałem się z siebie w milczeniu. Szyderyczo,

ironicznie. Ocalałem swój honor. Cnotliwy świętoszek. Wiedziałem, co powinienem zrobić. Kiedyś w podobnej sytuacji podejrzewałem, że to inna osoba, ale milczałem. Zostawiłem sobie zdziwienie na później. Ile razy w życiu człowiek może iść do łóżka z legendą? Trzech panów McGee – pierwszy, którym nie chcę być, drugim chciałbym być, a trzecim naprawdę jestem. Gdybym się przespał z Terry, chyba okazałbym się tym pierwszym. Szkoda, że ten, którym naprawdę jestem, jest czasem tak podobny do kłowna. Dostaję w twarz tortem albo wsadzam nos w ogień. Może chcę być prawdziwym bohaterem, ale kiedy słyszę to słowo, przychodzi mi do głowy tylko Nelson Eddy krzyczący na Jeanette MacDonald, ubrany w kapelusz Misia Yogi.

Zapałem z powrotem w sen, zastanawiając się, czy nie przydałby mi się zimny prysznic.

Lekarz wyraził zadowolenie z postępów mojego powrotu do zdrowia, lecz nie podzielałem jego optymizmu. Rana głowy dobrze się goiła. Rozciąłem sobie czoło, uderzając w ostrą krawędź z laminatu, co wymagało przyszywania dziesięciocentymetrowego fragmentu skóry na granicy włosów. Po kilku dniach pod moimi oczami pojawiły się czarne kręgi o tak głębokiej barwie, że zacząłem przypominać wielkiego, niespokojnego szopa.

Nie martwiły mnie szkody fizyczne, tylko psychiczne. Wszyscy znajdujemy się w stanie chwiejnej równowagi; zdajemy sobie sprawę, jak bardzo jest delikatna, dopiero gdy zostanie naruszona – albo przez emocje, albo wyrafinowane środki chemiczne. Przestajemy wtedy ufać wiarygodnym komunikatom dostarczanym przez zmysły.

Przeżywałem bardzo silną huśtawkę emocjonalną. Bez powodu odczuwałem ogromną radość, po czym nagle wpadałem w depresję. Niekiedy miałem ochotę płakać jak mała dziewczynka. Mój mózg nie funkcjonował prawidłowo. Powiedziałem sobie, że nie mogę się zachowywać jak studentka drugiego roku Smith College, ale wciąż nie odzyskałem równowagi emocjonalnej i nigdy nie byłem zupełnie pewien, co za chwilę zrobię. Przystałem mieć halucynacje, lecz świat utracił stabilność. Od czasu do czasu drgał lekko – krótka kosmiczna czkawka.

Poznałem Charlesa McKewna Armistera i jego żonę. Byli do siebie podobni pod względem fizycznym – tędzy, jasnowłosi, wysportowani ludzie spędzający dużo czasu na świeżym powietrzu. Joanna Armister odnosiła się do męża łagodnie, z miłością, opiekuńczo i z odrobiną lęku. Zatrudnili barzystego szofera, pielęgniarza i służącego w jednej osobie, który miał stale towarzyszyć Armisterowi i dbać, by nie wywołał kłopotów. Gdybym nie znał losów Armistera, uznałbym go za zupełnie normalnego salonowego

nudziarza. Zachowywał się serdecznie i mówił o trywialnych rzeczach. Wydawało się, że zawsze jest w doskonałym humorze.

Uściskał moją dłoń i powiedział:

– Jesteśmy panu bardzo wdzięczni. Tak, proszę mi wierzyć. Bardzo brzydka sprawa. Znałem starego Baya od lat. Nigdy nie przypuszczałem, że spróbuje jakichś figli. Teraz firmą kierują naprawdę dobrzy fachowcy. Godni zaufania. Joanna mówi, że powinienem odpocząć i dobrze się zabawić. Podróże, żeglarstwo, trochę tenisa, prawda, staruszek? – Objął żonę w tali, uściskał ją serdecznie, wyciągnął piegowatą rękę w stronę jej tęgiej pupy i mocno ją uszczypnął, aż podskoczyła, wytrzeszczając oczy.

– Charles! – zawołała. Roześmiał się wesoło i spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Nie pozwalają mi pić alkoholu, wyobraża pan sobie? – odezwał się. – Twierdzą, że później zachowuję się zbyt hałaśliwie. Prawdę mówiąc, wcale mi tego nie brakuje. Nie trzeba pić, aby się dobrze czuć, prawda?

– Charles?

– Co takiego, moja droga?

Joanna spojrzała na niego wzrokiem kochającej matki opiekującej się niegrzecznym dzieckiem.

– Czy nie chciałeś spytać o coś pana McGee?

– Słucham? Ach tak, oczywiście. Czy pan i pana znajoma... jak brzmi jej nazwisko?... Czy nie mielibyście ochoty spędzić z nami trochę czasu na Long Island? Odpocząć, dojsć do siebie, trochę się zabawić? Cieszyłbym się, mogąc was gościć. Jestem waszym dłużnikiem.

Uśmiechnął się, wyciągnął rękę i z roztargnieniem podrapał się po kroczu przez idealnie skrojone spodnie.

– Eee... Bardzo dziękuję. Ale wyjeżdżam z panną Gibson do Karoliny Północnej, by odwiedzić jej brata. Może innym razem.

– W każdej chwili, przyjacielu. Po prostu do nas zadzwoń.

– Charles, kochany – odezwała się Joanna. – Czy nie zechciałbyś teraz zejść na dół z Wade'em i poczekać na mnie w samochodzie?

– Co takiego? Oczywiście, staruszek! Jasne!

– Wyjeżdżam pojutrze na kilka dni, Charlie – rzekła Terry. Podeszła do szwagra i pocałowała go w policzek. Zaśmiał się i nim zdążyła się odsunąć, położył ręce na jej piersiach i ścisnął je jednocześnie niczym kłown bawią-

cy się gumowymi piłeczkami. Później, ciągle chichocząc, wyszedł przez drzwi, które otworzył przed nim Wade.

Kiedy zniknął, siostry padły sobie w objęcia, zaczęły się tulić i płakać, pocieszając się cichymi głosami. Podszedłem do okna i stanąłem odwrócony do nich plecami. Słyszałem pochlipywania, pociąganie nosami, odgłosy smarkania.

– Panie McGee? – odezwała się Joanna. Odwróciłem się. Terry i jej siostra odzyskały panowanie nad sobą i uśmiechały się, lecz miały lekko zaczerwienione oczy. Joanna sięgnęła do torebki, wyjęła złożoną kopertę i podała mi ją. – To wyraz naszej wdzięczności za próbę udzielenia pomocy mojej siostrze, mnie i Charlesowi, a także niewielkie zadośćuczynienie za to, co pan... musiał wycierpieć z rąk człowieka, którego niegdyś kochałyśmy i darzyłyśmy zaufaniem.

– Nie musi pani tego robić.

– Chcę. Te pieniądze pochodzą z moich prywatnych środków. Przez długi czas, dopóki wszystko się nie wyjaśni, nie będziemy miały dostępu do majątku Charlesa. Rozmawiałam o tym ze swoim adwokatem, który zasugerował, że z przyczyn podatkowych najlepiej potraktować to jako darowiznę. W przyszłym roku wyślę panu identyczną kwotę; podobnie za dwa lata. Adwokat uważa to za dobre rozwiązanie.

– Czuję się trochę dziwnie...

– Dlaczego, na litość boską?! – wtrąciła niegrzecznie Terry. – Gdyby nie ty, Charlie, niechaj go Pan Bóg ma w swojej opiece, już by nie żył. Joanna jest bogata i chce ci się odwdzińczyć. A ty jesteś permanentnie bezrobotny z własnego wyboru, prawda, McGee? Więc czemu się wahasz? Wygląda na to, że ostatnio często rezygnujesz z wielu dobrych okazji – dodała, mrugając do mnie znacząco.

Schowałem kopertę do kieszeni. Nikt nie był w stanie znaleźć moich bagaży, które odebrano z hotelu. Dlatego nosiłem ubrania otrzymane w prezencie od Niny. Podałem jej rozmiary: długość 44, talia 35, buty 13 C, koszule 17-35. Zaniosiła spodnie do krawca, by je dopasował, a nawet kupiła porządną walizkę w sieci sklepów Abercrombie & Fitch, by spakować do niej rzeczy. Kupiła znacznie więcej odzieży, niż chciałem; chociaż ja wybrałbym nieco mniej włochate tkaniny, wszystko było w porządku.

Joanna podała mi rękę. Jej oczy lśniły. Pożegnała mnie i zeszła na dół do swojego szczęśliwego, nieskomplikowanego męża.

– Zawsze może zacząć startować w wyborach, jeśli ma ochotę czymś się zająć – odezwałem się do Terry.

– Och, jesteś bardzo, ale to bardzo dowcipny. Kiedy przyjedzie twoja mała projektantka?

– Nazywa się Nina. O trzeciej. Co masz zamiar zrobić?

– Dziś czy później? Dziś mam zamiar iść do miasta i kupować, kupować, kupować. Krzykliwe, drogie, absurdalne rzeczy. Będę terroryzować sprzedawców, robić sceny i kupować, kupować, kupować. To moja terapia, kochany. A potem uspokoję siostrę, wrócę do Aten, spędzę Boże Narodzenie w Montevideo z tłumem zawodowych uczestników przyjęć, na wiosnę pojedę do Meksyku, a latem w okolice Cannes. Moje późniejsze plany są mniej sprecyzowane. Spodziewam się, że będę po prostu odgrywać rolę Terry Drummond.

Miała w sobie coś wzruszająco bezbronnego.

– Powodzenia, Terry Drummond – powiedziałem.

– Jeśli chcesz mi współczuć, kochany, walnę cię w zęby.

Wziąłem kopertę, otworzyłem ją i spojrzałem na kwotę, na jaką opiewał czek. Była absurdalna, nierealna. Schowałem kopertę, walcząc z pokusą, by popatrzeć jeszcze raz i sprawdzić, czy prawidłowo odczytałem cyfrę.

Kiedy oddaliśmy bagaże i czekaliśmy na wywołanie naszego lotu, powiedziałem Ninie o kopercie w hotelu. Poszedłem tam, licząc na cud, i okazało się, że ciągle ją mają. Musiałem złożyć zaprzysiężone oświadczenie, że zgubiłem pokwitowanie, a następnie dokładnie opisać zawartość koperty, by mogli ją sprawdzić – po wyrażeniu przeze mnie zgody.

– Pieniądze należą do ciebie – rzekłem.

– Mam nadzieję, że spędzę z nim dużo czasu przed operacją, Trav.

– Zwykle nie noszę przy sobie tyle gotówki, kochanie.

– Myślisz, że Mike boi się operacji?

Nie bał się. Dziwnie się czuliśmy podczas pobytu u niego. Wynajęliśmy samochód i dwa pokoje w motelu około dziesięciu kilometrów od szpitala.

Rano jedliśmy śniadanie w restauracji motelu, a później wiozłem Ninę do brata. Spędziliśmy trochę czasu z Mikiem, po czym ją z nim zostawiałem. Był zimny, szary listopad; na niebie wisiały niskie chmury; często pojawiała się mgła i padał deszcz. Spędzałem całe dni samotnie. Zmagalem się z własnymi koszmarami. Uprawiałem ćwiczenia fizyczne, starając się odzyskać dawną formę. Kiedy osiągałem granice wytrzymałości, przypominałem sobie Doris Wrightson, wyglądającą jak artystka cyrkowa; zastanawiałem się, co z nią zrobili i jak udało im się nie dopuścić do pojawienia się sensacyjnych artykułów w gazetach.

O wpół do piątej wracałem do szpitala, rozmawiałem z Mikiem przez pół godziny, a później zabierałem Ninę z powrotem do motelu. Prawie nie rozmawialiśmy. Wydawała się odległa. Nie byliśmy kochankami.

Pocałowałem ją, lecz wyczułem w niej rezerwę. Była zbyt skupiona na bracie, może również zastanawiała się nad konsekwencjami swoich rozmów z Mikiem. Był jej jedynym żyjącym krewnym.

Obudziły mnie koszmary. We śnie znów coś wychodziło ze ścian. Najgorsze potwory lśniły i grzechotały.

Nina spędziła z bratem trzy dni, a później, nim zaczęto przygotowania do operacji, która miała się odbyć nazajutrz rano, gdy siostra pocałowała go i życzyła mu szczęścia, poprosił mnie o pozostanie przez chwilę w pokoju.

– Rozmowa między mężczyznami – zwrócił się do Niny, a po chwili spytał: – Poszła?

– Poszła, Mike.

Na jego zniszczonej, wychudzonej twarzy pojawił się uśmiech.

– Młodsza siostra. Musieliśmy to przełamać, odnaleźć siebie z powrotem. Cieszę się, że mieliśmy na to czas.

– Ona także.

– Starszy brat. Bohater wojenny, inwalida. Musiała spojrzeć na to innym wzrokiem i zrozumieć, kim naprawdę jestem. Bez gloryfikowania. Zrozumiała, że jestem po prostu człowiekiem. Teraz lubimy się nawzajem z właściwych powodów, Trav.

– Gibsonowie to dobrzy ludzie.

– Jesteś zdenerwowany. Myślisz, że na zawsze obarczę cię swoją młodszą siostrą. Rozmawiałem z nią o tobie.

– Mike, przysięgam, że to, co się między nami stało...

– Nie obrażajcie mnie tymi idiotyzmami, sierżancie. Nina jest kobietą. Potrafi dokonywać wyborów. Oboje macie temperament. Dzięki tobie zapomniała o Plummerze. Pozbyła się goryczy. Jest w tobie zakochana.

– Jesteś pewien?

– Bardziej niż ona sama. Traktuje to podejrzliwie. Uważa, że to fascynacja fizyczna. Ale teraz, gdy ją naprawdę poznałem, nie sądzę, by mogła wejść w związek tylko o charakterze fizycznym. Musi istnieć coś więcej, bo inaczej nie byłaby naprawdę szczęśliwa. Jednak zdaje sobie sprawę, podobnie jak ja, że próba trwałego okiełznania McGee mogłaby się okazać bardzo głupia. Jesteście zbyt nieprzewidywalni, sierżancie. Zbyt niespokojni, zbyt skłonni do włóczęgostwa. Może trochę za bardzo skupieni na sobie.

– Chyba mam to już za sobą, Mike.

– Zamierzasz poślubić moją siostrę, draniu?

– Co ty, Mike?!

– Nie denerwuj się, chłopcze. Postanowiłem z tobą porozmawiać, by się upewnić, że nie postąpicie jak para sentymentalnych idiotów i nagle nie weźmiecie ze sobą ślubu, kierowani niejasnym poczuciem winy. Małżeństwo to kiepski sposób na budowę pomnika brata. Weź ją ze sobą, z moim błogosławieństwem, chłopcze, i dobrze ją wykorzystaj. Inaczej będziecie kręcić się w kółko i tylko wzdychać jak wariaci. Za pół roku, jeśli dalej będzie między wami iskrzyć, podejmiecie świadomą decyzję, nie kierując się poczuciem winy ani chęcią zachowania pamięci o mnie. Jeśli postanowicie się pobrać, będę patrzył na was z niedowierzaniem z Walhalli.

– Za dwadzieścia lat przyjedziemy tutaj prosić cię o radę w sprawie wychowania twoich siostrzeńców i siostrzenic. I dostaniemy złą radę.

Wyciągnął rękę w moją stronę. Uścisnąłem ją.

– Zasłuż na Ninę, McGee. A potem stań się kimś, do kogo mogłaby przyjść, gdy będzie poraniona. A kiedy postanowi wyjść za mąż za jakiegoś sukinsyna, zastąp mnie: popatrz na niego uważnie moimi oczami i postaraj się, by z nim zerwała, jeśli on tego nie potrafi.

Lekarze operowali go przez sześć godzin. Ledwo przeżył zabieg i zmarł dwa dni później. Chwilami odzyskiwał przytomność, choć był oszołomiony środkami przeciwbólowymi. Kiedy odszedł, w wielkim domu weteranów

zapanowało wyczuwalne przygnębienie. Pochowano go na miejscowym cmentarzu, a ja zabrałem bladą, zapłakaną i milczącą Ninę do portu Bahia Mar w Fort Lauderdale, gdzie przy kei F-18 stała moja szesnastometrowa łódź, Busted Flush, napędzana silnikiem Diesla, ostentacyjnie luksusowa i gotowa do żeglugi. W ostatniej chwili zdążyłem zatelefonować do portu i wstrzymać sprzedaż. Zasiliłem swoje skromne konto bankowe czekiem Joanny. Przedstawiłem Ninę znajomym: Alabamie Tigerowi, kapitanowi Johnny'emu Dow i całej reszcie. Zrobiła dobre wrażenie. Kazałem jej szykować posiłki, wykonywać prace na pokładzie. Opalałem się z nią na plaży i opowiadałem barwne, zmyślane historyjki, by wywołać jej uśmiech. Wynajdywałem jej tyle zajęć, że szybko schudła, tracąc biurowąkrągłość; jej ciało stało się jędrne, wypiękniała. Ale mogłem ją tylko podziwiać. Miała własną kabinę. Nie była przygnębiona ani ponura, po prostu milcząca i zamysłona; na pewien czas jej dusza zastygła w martwocie. Niekiedy czuliśmy się trochę niezręcznie, gdy przypadkowy kontakt fizyczny przypominał nam, że celowo postanowiliśmy utrzymywać wyłącznie przyjacielskie kontakty.

Nie pozbyłem się zupełnie koszmarów. Od czasu do czasu stawałem się bardzo nerwowy. Busted Flush nigdy nie była tak starannie utrzymana. Martwiłem się o Boże Narodzenie. Święta szybko się zbliżały i wiedziałem, że będzie to dla Niny trudny okres.

To ona znalazła niewielką wzmiankę w środku numeru „Miami News”. Baynard Mulligan został skazany na trzy lata więzienia za defraudację i oszustwa podatkowe. Złożył apelację. Prokuratura straciła ważny dowód, gdy Mulligan poślubił jednego z kluczowych świadków oskarżenia, niejakąBonitę Hersch, sekretarkę, która pomagała okradać Armistera i przyczyniła się do aresztowania Mulligana. Inna sekretarka, Doris Wrightson, złożyła zeznania, które bardzo go obciążyły.

– Założę się, że w końcu będzie żałował, że nie poszedł na ugodę z prokuraturą, dobrowolnie poddając się karze dwudziestu lat więzienia – powiedziała Nina. Od długiego czasu był to pierwszy przebłysk autentycznego humoru z jej strony.

Obserwowałem ją. W naszym związku panował zastój. Czułem, że trzeba jakoś ożywić ponurą atmosferę, która wszystko psuła.

– Popłynijmy do Florida Keys, kochanie – zaproponowałem.

Wydawała się zaskoczona.

- Potrafisz sterować tą łodzią zupełnie sam?
- Będziesz mi pomagać.
- Jestem trochę przerażona. Nie znam się na linach, kompasach i jachtach.
- Damy sobie radę.

Naprawdę uważam, że odzyskałem miłość dzięki rybie – dużej, trzykilogramowej albuli z wytrzeszczonymi ślepiami. Chłodny wiatr odpędził owady. Płynęliśmy z warkotem przez Florida Bay. Kiedy Nina przestała odczuwać lęk, sterowała łodzią w sposób niemal nonszalancki, czytając mapy i wypatrując znaków w oceanie. Pewnego mglistego ranka w połowie drogi zaczęła łowić ryby. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Używała jednego z moich spinningów. Mocne szarpnięcie żyłki działało na nią elektryzująco. Był to dla niej nowy świat. Stała się zapalonym wędkarzem; bardzo uważnie ściągała żyłkę, przez cały czas ją obserwując. Straciła kilka ładnych okazów i robiła sobie wyrzuty z tego powodu, lecz nigdy nie popełniła tego samego błędu więcej niż dwa razy. Po raz pierwszy od śmierci Mike’a zauważyłem, że żywo się czymś interesuje.

Dopłynęliśmy do Content Keys, znaleźliśmy osłoniętą zatoczkę i rzuciliśmy kotwicę. Kiedy czegoś potrzebowaliśmy, braliśmy małą motorową szalupę i podążaliśmy na wyspę Ramrod. Spędziliśmy spokojne święta Bożego Narodzenia. Dałem Ninie w prezencie spinning z niewielkim różowym kołowrotkiem i zestawem kolorowych błystek. Była zachwycona. Podarowała mi dwie butelki znakomitej brandy, ładną czapkę marynarską i niewielkie radio tranzystorowe, by zastąpić odbiornik, który jej wypadł za burtę. Wesołych Świąt! Wesołych Platonicznych Świąt!

W ciepłe styczniowe popołudnie pływaliśmy razem w morzu, a potem Nina wzięła szalupę i samotnie popłynęła łowić ryby na płyciznach. Miałem zły dzień i zostałem na pokładzie. W nocy śniły mi się koszmary i obudziłem się wyczerpany, przygnębiony, bez apetytu. Próbowałem się opalać, lecz w końcu zacząłem chodzić tam i z powrotem po górnym pokładzie, zastanawiając się, czy szkody emocjonalne, za których sprawą zrobiłem się taki nerwowy, okażą się trwałe. Nagle usłyszałem krzyk Niny. Stała w łodzi i poruszała się gwałtownie. Pobiegnę po lornetkę i spojrzałem na nią.

Trzymała wysoko wędkę i gdy łódź obróciła się w moją stronę, zobaczyłem jej podnieconą twarz, na której malowały się determinacja i napięcie. Kiedy zdałem sobie sprawę, że złapała dość dużą albulę, straciła równowagę i wypadła z szalupy, nie przewracając jej. Nie puściła wędki i stanęła na dnie; woda sięgała jej w tym miejscu tuż poniżej talii. Odwróciła się z uśmiechem w stronę Busted Flush i znów krzyknęła. Patrzyłem, jak walczy z rybą, ostrożnie holując ją do szalupy; czterokrotnie próbowała ją wyciągnąć, bez powodzenia, aż wreszcie złapała lśniąca srebrzystą albulę podbierakiem. Wdrapała się na łódź, wyczerpała trochę wody, a następnie popłynęła z warkotem w stronę jachtu. Przywiązałem szalupę i pomogłem Ninie przejść przez reling. Jej niebieski kostium kąpielowy był przemoczony.

– Hej, czyż nie jest wspaniała! Naprawdę, fantastyczna! Krążyła dokoła łodzi z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę! Jak się nazywa? Możemy ją zjeść?

– To albula, i do tego ładna. O tej porze rzadko się tu pojawiają. Nie możemy jej zjeść.

– Nie?

– Nie.

Przygryzła wargę, uklękła i wyjęła z sieci rybę, której skrzela się poruszały. Chwyciła ją rękami i ostrożnie wrzuciła do wody. Albula odpłynęła na boku, słabo poruszając ogonem.

– Pośpiesz się, rybo! – zawołała Nina. – Jesteś bystrym zwierzakiem. Uprzedź swoich krewnych, że w pobliżu jest dziewczyna o nazwisku Gibson, która zamierza narobić mnóstwo kłopotów twojej rodzinie. – Albula powoli się obróciła, poruszyła silniej ogonem i znikła pod wodą. – Możesz w każdej chwili wrócić! – zawołała Nina.

Odwróciła się z uradowaną miną, chwyciła mnie opalonymi rękami i głośno pocałowała, dotykając mokrym kostiumem kąpielowym.

– Gratulacje! – rzekłem i odwzajemniłem pocałunek. Spojrzała na mnie z namysłem. Następny pocałunek był dłuższy. Jej twarz się zmieniła i złagodniała.

– Szkoda, że nie mogliśmy jej zjeść... – mruknęła z rozmarzeniem.

– Małe kraby są lepsze.

Po kolejnym pocałunku nie mieliśmy wyboru. Objąłem ją i zaprowadziłem pod pokład. Przeżyliśmy wszystko jeszcze raz, w sposób głębszy, bogatszy i bardziej zachłanny.

Luty, marzec, a później śliczny kwiecień.

Czasami przenosiliśmy się do innych zatoczek, innych plaż. Zawsze zupełnie pustych. Nie potrzebowaliśmy niczyjego towarzystwa. Nina spała w moich ramionach i wyczuwała, że za chwilę przyśni mi się koszmar, po czym budziła mnie, uspokajała, koła. Koszmarne sny stopniowo minęły. Na pokładzie rozbrzmiewał śmiech. Nasze problemy z praniem znacznie się zmniejszyły. Ubrania wkładaliśmy tylko wtedy, gdy było zimno, kiedy usłyszeliśmy nadpływającą łódź lub gdy musieliśmy zejść na ląd. Nasza miłość miała tysiąc permutacji i kombinacji. Uprawialiśmy ją w dzień i w nocy, bardzo szybko i bardzo powoli, wesoło i ze smutkiem, rubasznie i w sposób uduchowiony, prosto i zawile, łagodnie i burzliwie. Wydawało się, że nasza potrzeba nigdy nie wygaśnie i że tempo nigdy się nie zmniejszy.

Jednak w końcu oczywiście tak się stało. Trochę mniej magii pożądania, lecz więcej czegoś innego. Produktu miłości i dziesięciu milionów słów, jakie do siebie wypowiedzieliśmy – historii naszych objawień. Któregoś dnia oboje zdaliśmy sobie w milczeniu sprawę, że Nina musi wrócić do Nowego Jorku. Podczas wycieczki do Key West kupiła akcesoria swojego fachu; później spoglądała na mnie niemal przepaszająco. Zaczęła rysować, każdego dnia poświęcając na to coraz więcej czasu. I miała mniejszą ochotę na łowienie ryb.

Pewnego wieczoru siedzieliśmy na górnym pokładzie, trzymając się za rękę, obserwując ogromny, ognisty zachód słońca. Nina milczała przez długi czas.

– Trav?

– Tak, kochanie.

– Nie chcę, żebyś myślał... To znaczy nie chcę się wydawać...

– Tss! – powiedziałem, uniosłem do ust jej drobną, kochaną dłoń i pocałowałem czubki palców. – Wrócimy do Fort Lauderdale bez pośpiechu. Co sądzisz o pięciu dniach?

– Skąd wiesz?

– Ja też czuję, że pora.

– Zostanę w mieście dwa dni, a potem wsadź mnie do samolotu, kochanie. I nie pozwól mi się oglądać za siebie, bo nie będę w stanie cię opuścić. Wiedziałeś, że chcę wyjechać?

- Tak. Zauważyłem, że jesteś gotowa.
- Zawsze będę cię kochać, rozumiesz?
- Tak, ale nie próbuj nikogo o tym przekonywać, Nino.
- To zbyt osobiste, by o tym mówić.

Wracaliśmy do Fort Lauderdale, czując magię kwietnia. Była w tym jakaś niezwykła słodycz, bo wiedzieliśmy, że to koniec. Każdej pieszczocie towarzyszyła nostalgia.

Tygodnie, jakie ze sobą spędziliśmy, stały się w pewnym sensie pomnikiem. Ludzie wznoszą imponujące budowle ze znacznie gorszych materiałów. Kochałem ją i czciłem. Odzyskaliśmy siebie.

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Strona redakcyjna](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

13

14